

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 45 (1597)

ROK XXXI

5 LISTOPADA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

- Proces przywódców polskiego podziemia — str. 5
- Nie kuszą już pieniądze ani splendor władzy — str. 7
- Prawdy i fikcje o Bolesławie Bierucie — str. 1 i 4
- Opowiadanie laureata Nagrody Nobla — str. 10



Foto: Grzegorz Gałusiński

BOLESŁAW BIERUT: życiorys pełen mitów i zagadek (1).

Nie rzucił kałamarzem w portret cara!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Stanisław Łukasiewicz w latach 1945-1946 był prasowym sekretarzem Bolesława Bieruta. Jesienią 1987 roku ukazała się jego książka „Byłem sekretarzem Bieruta”. Jest to jedna z nielicznych książek o prezydencie Polski Ludowej. Przez wiele lat nazwisko Bierut było wykreślane z naszej przeszłości.

Na początku lat siedemdziesiątych — a może było to w ich połowie — postanowiliśmy w „Odgłosach” opublikować krótkie szkice o ludziach znanych z najnowszej historii. Jeden z nich dotyczył Bolesława Bieruta. Mieliśmy spore kłopoty z tą publikacją. Ukazała się znacznie okrojona. Można powiedzieć, że historia zemszcila się na Bolesławie Bierucie. Za

jego rządów wykreślono z życia i historii Władysława Gomułka. Później taki sam los spotkał Bolesława Bieruta.

Stanisław Łukasiewicz tak pisze o Bolesławie Bierucie:

„O Bolesławie Bierucie nie dotąd nie wiedziałem. Zresztą, niewielu ludzi, tak w kraju, jak i w samej Warszawie, wiedziało o nim coś konkretnego. To też w powszechnym odczuciu nie traktowano jego rządu serio, raczej uważano go za mistyfikację. Później dowiedziałem się, że nazwisko Bierut spotykało się dość często wśród chłopów i robotniczej biedoty w Lubelskiem. Dowiedziałem się również, że Bierut jest autentycznym Polakiem, pochodzi z biednej rodziny z przedmieść Lublina, był drukarzem, wcześniej zaczął swoją działalność polityczną. Za swoje przekonania i działalność całe

lata przesiedział w więzieniu. A więc skąd mogli go znać Polacy? Przecież podstawą i zasadą działalności komunistów była konspiracja, ukrywanie się. Później w Belwedzie poznałem drugiego Bierut, Antoniego, krewnego prezydenta. To jeszcze bardziej potwierdziło autentyczność nazwiska prezydenta, a przeczytało pogłoskom, iż naprawdę to się nazywa Biernacki-Rutkowski, a Bierut jest tylko jego pseudonimem partyjnym”.

Komuniści z konspiracyjnych potrzeb często używali fałszywych nazwisk, pseudonimów, które z czasem stawały się ich właściwymi nazwiskami. Włodzimierz Iljicz Ułjanow stał się Leninem, chociaż niekiedy w korespondencjach i pod artykułami podpisywał się swoim właściwym nazwiskiem. Josif Wissarianowicz Dżugaszwili stał się Stalinem i partyjny pseudonim stał się jego właściwym nazwiskiem. Władysław Michajłowicz Skriabin stał się Mołotowem, Siergiej Mironowicz Kostrikow stał się Kirovem. Przybrany nazwiskami posługiwali się Lew Trocki, Lew Kamieniew, Grigorij Zinowjew. Natomiast Feliks Dzierżyński, choć używał nazwisk przybranych, tak Leopold Bielecki, Edmund Iwanowski, Jan Krzeczowski, Władysław Ptaszyński, Roman Raciszewski, Jan Zebrowski — to powrócił do właściwego nazwiska. Tak samo pod własnym nazwiskiem w działalności politycznej występował Julian Marchlewski.

Również w polskim ruchu robotniczym wielu działaczy występowało pod innymi nazwiskami. Julian Leński — to Julian Leszczyński, Franciszek Grzelszczak — to Franciszek Grzegorzewski, Maksymilian Horwitz — to Henryk Walecki, a

MARGARET THATCHER — Najpierw trzeba stworzyć bogactwo a potem dyskutować o sposobie jego podziału.

Brytyjski heros w spódnicy

WIKTOR WYSZYWACZ

„Doświadczony premier potrzebny od zaraz — małe wynagrodzenie i duże kłopoty — gwarantowane” — taki anons ogłasza społeczeństwo w trudnych kryzysowych chwilach córka sklepikarza Margaret Hilda Thatcher przyjeżdża ofertę i po przedstawieniu swego programu oraz wygraniu wyborów w 1979 r. przejęła rząd w Anglii. Wielką Brytanię nekaly nlekończące się trudności i problemy. Lista, ich była długa, społeczeństwo niecierpliwe, a opozycja napastliwa i bezlitosna. Pomimo różnego systemu społeczno-politycznego uciążliwość życia obywateli i przejawy słabości kraju były w większości podobne do naszych. Zmniejszanie się dochodu narodowego, pogłębiająca się inflacja, obniżka płac realnych, malejący eksport i rosnące zadłużenie, deficyt budżetowy, wysokie podatki, krytyczne obniżenie wydajności pracy, plus 2,5-milionowa armia bezrobotnych.

Jaka jest ta kobieta, która dowiodła światu i Brytyjczykom, że można żyć lepiej, znacznie lepiej.

Urodziła się 13 października 1925 r. w miejscowości Grant-

ham położonej 160 km na północ od Londynu. Zdyscyplinowanie domowników, rzetelność i solidność w postępowaniu, oszczędność, samodzielność i pracowitość — w takim duchu wychowywana była mała Maggie w mieszkaniu nad sklepem spożywczym, należącym do jej ojca, działacza Partii Konserwatywnej Alfreda Roberta. Dom rodzinny był miejscem, gdzie nie piono alkoholu, a czas wolny od obowiązków dzielono pomiędzy kościół i częste odwiedzanie biblioteki.

Aktywność i pracowitość Maggie pozwalały jej łączyć pozycje nauczycielki w szkole z pobieraniem lekcji w pianinie, udziałem w szkolnym chórze czy funkcją kapitana drużyny w zajęciach sportowych. Ukończenie liceum w Kesteven z bardzo dobrymi wynikami umożliwiło jej uzyskanie stypendium i kontynuowanie nauki w Somerville College w Oxfordzie. Była świadoma faktu, iż ojciec nie byłby w stanie finansować jej studiów. Chemia fascynowała młodą Margaret. Druga nagroda i dyplom w zakresie nauk przyrodniczych był dowodem posiadania umiejętności ścisłego myślenia i biegłości w pracy laboratoryjnej. Zainteresowania panny Roberts jednak zmieniły się. Studiowała dalej prawo patentowe i podatkowe oraz z myślą o pracy w adwokaturze pobierała lekcje dykcji.

W 1944 r. w Oxfordzie wstąpiła do Partii Konserwatywnej. W dwa lata później została przewodniczącą stowarzyszenia Brytanii, które miało na celu nauczanie jej działalności partyjnej. Wzrosła w niej świadomość, że to ona, a nie jej ojciec, powinna być odpowiedzialna za swoją przyszłość. W 1947 r. w Oxfordzie wstąpiła do Partii Konserwatywnej. W dwa lata później została przewodniczącą stowarzyszenia Brytanii, które miało na celu nauczanie jej działalności partyjnej. Wzrosła w niej świadomość, że to ona, a nie jej ojciec, powinna być odpowiedzialna za swoją przyszłość.



Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,
fotoreporter 36-80-99,
publicysta: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożewski,
Andrzej Gębarowski,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Marek
Koprowski, Jerzy
Kwieciński, Bogda Madej,

Andrzej Makowski,
Paweł Tomaszewski,
Marian Zdrojewski.

Grafik: Jarusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejewski,
Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadamski,
Grzegorz Gazda, Andrzej
Kasprzak, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasył
Kocznow (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,
Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochocki, Jerzy
Panasewicz, Karol J.
Strvski, Maciej Świerkocki

Ogłoszenia: Biuro Reklam i O-
głoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5,
tel. 32-89-11.

Organizacja reklamy: Andrzej
Bartosiewicz, tel. 36-80-99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 01-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa-Książka-
Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerw-
nej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rekwizytów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woj-
wódzkich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — in-
stytucje i zakłady pracy zloka-
lizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch”, opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumerato-
rów — osoby fizyczne zamiesz-
kające na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urze-
dach pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miejsca
zamieszkania prenumeratę.
Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa-Książka-Ruch”. 3.
Prenumeratę ze zleceniem wy-
syłki za granicę przyjmuje
RSW „Prasa-Książka-Ruch”.
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw, ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa, konto PKO BP
KV Oddział w Warszawie nr
1658 201045 139 11. Prenumerata
ze zleceniem wysyłki za granicę
pocztą zwykłą jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceń nadawczych indywidu-
alnych i o 100 proc. dla zleceń
dla instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę —
od dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku nastę-
pnego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego.

Zam. 3332. S-11.

2 ODGŁOSY

Przegląd prasy

Sensacyjną hipotezę wysunął
dr inż. Benon Zbigniew Szalek
z Politechniki Szczecińskiej. Na
łamach popularnonaukowego
miesięcznika „PROBLEMY” (nr
9) wykazuje, że drewniane ta-
bliczki pokryte znakami hiero-
glificznymi, które znaleziono
na Wyspie Wielkanocnej, można
odczytać za pomocą dźwięk-
owego języka Tamilów. Zagad-
kowe pismo „rongo-rongo” po-
chodzi, jego zdaniem, z przed-
aryjskiej cywilizacji Indusu
(Mohendżodaro i Harappa).

Cywilizacja doliny Indusu ist-
niała w latach 2500—1500 p.n.e.
Stworzyły ją ludy drawidyjskie,
które podbili i zepchnęli na
południe subkontynentu indo-
europejscy Ariołowie. Obecnie
żyją tam m.in. Tamilowie (o-
kolo 40 mln osób). Jest to naród
bardzo śmiały i żeglarski.

Jeśli weźmiemy do ręki glo-
bus, to zauważymy, że Wyspa
Wielkanocna na Pacyfiku (na-
leżąca do Chile) znajduje się w
stosunku do Indii na przeciw-
ległym krańcu kuli ziemskiej.
Czy dzielni Tamilowie mogli
pokonać dwa oceany i dotrzeć aż
tak daleko? W każdym razie
legenda głosi, że tablice z pi-
smem „rongo-rongo” przywiózł
wieleś lat temu pierwszy
król — Hotu Matua. Umiejęt-
ność czytania znaków wygasła
prawdopodobnie w XVII—XIX
w.

Benon Zbigniew Szalek pra-
cował nad deszyfracją i inter-
pretacją napisów z Wyspy Wie-
lkanocnej od grudnia 1984 r. do
lutego 1987 roku. W bogato ilu-
strowanym artykule (15 rycin)
przedstawia dwa wnioski z tych
badań:

„1. Językiem napisów z Wyspy
Wielkanocnej jest język drawi-
dyjski, bardzo zbliżony do kla-
sycznego języka Tamilów.

2. Pismo z Wyspy Wielkanoc-
nej jest wynikiem ewolucji
kwitnacej w dolinie Indusu
2500—1500 lat p.n.e. Jest to pi-
smo w zasadzie sylabiczne, w
którym bazowe znaki mają
wartość sylab otwartych”.

Na wulkanicznej Wyspie
Wielkanocnej (pow. 180 km.
kw.) intrygują uczonych tajem-
niczne posągi kamienne i dre-
wniane tabliczki z zagadkowym pi-
smem. Nie ustalono dotąd po-
chodzenia ich twórców. Być mo-
że odkrycie naukowca szczeciń-
skiego jest kluczem do rozwią-
zania problemu. Piszcie oń:

„Wszystkie badane przeze
mnie tablice z Wyspy mówią
o bogu, którego nazwa w języ-
ku tamilskim — «Wi» — ozna-
cza jednocześnie «ptak» i
«śmierć». Wi, Ptak—Śmierć, ma
kilka przydomków, złoty, ogni-
sty, król, bóg. Ptak—Śmierć Wi
zwany jest w tekstach boskim
związkiem, awatarem, synem
Boga. (...) Być może należało-
by utożsamiać tego boga z indy-
jskim bogiem Garudą — złotym
ptakiem. W mitologii indyjskiej
i tamilskiej jest on czynnikiem
rodzaju Feniksa. Napisy z Wy-
syp Wielkanocnej zawierają
monotonne zestawy mantr-
modlitw do boskiego Ptaka—
Śmierci. (...) Tablice te sta-
nowią talizmany mające chro-
nić posiadaczy przed złem i
zapewnić zbawienie. Treść ta-
blic z Wyspy Wielkanocnej wy-
kazuje związek z legendami
wyspiarszy o bogu-ptaku Make-
make (na tablicach Makemaka
i Wie (na tablicach Wi).

Wyniki mojej deszyfracji po-
twierdzają słuszność spostrze-
żenia C. Loukotki i W. de
Hevesy’ego z lat trzydziestych
o zewnętrznym podobieństwie
części znaków z Mohendżodaro
i Wyspy Wielkanocnej”.

Tabliczki pokryte pismem
„rongo-rongo” miejscowa lud-
ność przechowywała w pokrow-
cach z trzciny, zawieszonych u
poważy domów. Większość zo-
stała spalona przez misjonarzy
europejskich. Zachowało się 20
tablic, 4 napisów i rzeźba
Człowieka-Ptaka, na których
czytano hieroglificzne.

Od siebie dodam, że pismo
cywilizacji Indusu jest podobne
do znaków pisma starożytnego
Elamu. Językiem drawidyjskim
prawdopodobnie mówili poprze-
dnicy Sumerów w Mezopotamii,
twórcy dość jednorodnej
kultury al-Ubajd. Z osiedli tej
kultury wzięły początek między

innymi: Ur, Uruk, Nippur, Szu-
rupak. A po drawidyjsku „ur”
oznacza osadę, miasto. W u-
bajdzkich, przedsumeryjskich
nazwach zawodów często wy-
stępuje przyrostek „gar”, co w
języku drawidyjskim znaczy re-
ka. Nie jest więc wykluczone,
że Drowidowie stworzyli naj-
starszą cywilizację miejską.

Praojczyną ludów drawidy-
jskich były przypuszczalnie zie-
mie od Mezopotamii i Indusu
po Kaukaz i Amu-darię. Od
połowy II tysiąclecia p.n.e. opa-
nowywali te rejony Ariołowie. W
ten sposób zaczęła się m.in. hi-
storia Afganistanu.

CO CZEKA AFGANISTAN?

Afganistan dopiero w XVIII
wieku pojawił się jako odrębne
państwo. Przedtem należał do
różnych imperiów. Dlatego wy-
stępują tam głębokie podziały.
Nawet ugrupowania opozycyjne
nie mogą się zjednoczyć. O ak-
tualnej sytuacji pisze w polskim
wydaniu tygodnika „NOWE
CZASY” (nr 40) Władimir Kuli-
stikow.

„Mając swą bazę w paki-
stańskim Peszawarze siedmio-
partijny sojusz raczej nie zdola
zająć wspólnego języka z o-
śmiopartijną koalicją zoriento-
waną na Iran. A przecież o-
prócz tego na terytorium Afga-
nistanu działają także niezale-
żne ugrupowania opozycyjne,
z którymi również trudno będzie
się dogadać. Zaostroża się także
rywalizacja między dowódcami
poszczególnych formacji zbroj-
nych a tymi, którzy żyją sobie
spokojnie na emigracji otrzymu-
jąc na dodatek szczodre finan-
sowe wsparcie. I wreszcie, nie
wiadomo jak zachowa się tra-
dycjonalistyczna warstwa star-
szyn plemiennej, która zawsze
niechętnie podporządkowywała
się władzom centralnym”.

Władimir Kulistikow przepr-
wadził w stolicy Pakistanu roz-
mowę z przywódcą Narodowe-
go Frontu Islamskiego Afgani-
stanu, którego formacja zbroj-
na liczą około 18 tys. osób. Pir
Sayyid Ahmad Gailani ma 55
lat, jest absolwentem wydziału
teologicznego Uniwersytetu Ka-
bulskiego. Był doradcą króla
Zachira Szacha i prezydenta
Dauda. W 1960 roku spędził
kilka dni w Moskwie. W pa-
męci zachował wspaniałe mia-
sto i dobrych ludzi.

Obecnie S.A. Gailani stoi na
czele własnej partii i tzw. sio-
demki peszawarskiej. Powiada,
że walczy przeciwko agresji ra-
dziejskiej i rządowi w Kabulu.
Zapytany o przyszłość kraju, po
wycofaniu wojsk radzieckich,
mówi stanowczo:

„Wycofując się niech zabiorą
ze sobą przywódców kabulskich.
Kiedy wojska radzieckie wyco-
fają się, dla tych ludzi nie bę-
dzie już miejsca w Afganistanie.
(...) Jesteśmy gotowi przeprowa-
dzić wybory powszechne i przy-
znać narodowi prawo do samo-
określenia. Ale reżim LDPA nie
ma nic wspólnego z demokra-
cją. (...) W wolnych wyborach
LDPA nie uzyskałaby nawet
dwóch miejsc w parlamencie.
Afganecy są ludźmi bardzo
religijnymi. Islam jest istotnym
składnikiem ich życia. Siad
przeciwni są reżimowi usiłują-
cemu propagować komunizm.
(...) Afganistan powinien stać
się państwem islamskim, demo-
kratycznym i niezależnym.
Będziemy musieli odbu-
dować to, co zostało zniszczo-
ne”.

Pir Sayyid Ahmad Gailani u-
chodzi za potomka proroka Mu-
hammad (Mahometa). Ma czi-
cieli w różnych krajach islamu.
Po zakończeniu wojny liczy na
pomoc nie tylko państw islami-
skich i zachodnich, lecz także
Związku Radzieckiego, z któ-
rym pragnie utrzymywać dobro-
sąsiednie stosunki. Obiecuje u-
wolnienie wszystkich jeńców
wojennych, ale pod warunkiem,
że dojdzie do bezpośrednich ro-
kowań między opozycją afgań-
ską a ZSR. W geście dobrej
woli już przekazano przedstawie-
ciom Międzynarodowego Czer-
wonego Krzyża dwóch jeńców.
Tak się jednak złożyło, że aku-
rat ci nie chcieli wrócić do oj-
czyzny...

KRYZYS FORMY CZY FORMACJI?

Przechodząc do spraw pol-
skich, zwracam uwagę na ar-
tykuł Bogusława Jasieńskiego
wydrukowany w „MIESIĘCZ-

NIKU LITERACKIM” (nr 8).
Autor podkreśla, że następuje
zmierzch formacji socjalistycz-
nej. Mamu bowiem do czynie-
nia z rzeczywistością widmową,
której nie popiera nawet aparat
partijny. Prawdowych komuni-
stów już nie ma...

„Żyjemy w rzeczywistości
widmowej — bardziej realne są
deklaracje, niż fakty: to, co nie
istnieje, osądza i wyrokuje o
tym, co istnieje. Świat stał się
na głowie nabitej ideologicz-
nymi frazesami i hasłami”.

W realnym socjalizmie pozór
wszędzie w rolę bytu. Wartością
numer jeden stała się polityka,
a nie rzeczywistość ekonomii i
bytu społecznego. W tej drugiej
sferze ciągle czegoś brakuje.
Permanenty niedostatek towa-
rów współistnieje z brakiem
społeczeństwa komunistycznego.
Dążenie do powszechnej szczę-
śliwości miało stanowić siłę na-
pędową życia społecznego. W
różnych dziedzinach goniono
niedosięgi ideał.

„I rychło okazało się, że ta
gonitwa jest drogą donikąd, ale
BRAK pozostał, bo bez BRAKU
socjalizm realny nie może ist-
nieć. Nadal więc brak mięsa,
waty w aptekach, mieszkań,
materiałów higienicznych dla
kobiet, a ideologzy dokonują
licze ekwilibrystycznych wyce-
nów, by omijać słowo komu-
nizm. Jednak ów BRAK nadal w
świecie ideału utrzymać, bo
bez niego wali się cała kon-
strukcja propagandowa. BRAK
jest powietrzem ideologii. (...)

Rzeczywistość realnego socja-
lizmu przerasta naszą wyobra-
źnię i nasz język badawczy —
jest to rzeczywistość najbardziej
awangardowego teatru współ-
czesnego. To nie literatura ma
tu odbijać rzeczywistość, ale na
odwrot: rzeczywistość literaturę.
Nazwać to proponuję paneste-
tyzmem socjalistycznym, a zjawis-
ko to powinno stać się w przy-
szłości przedmiotem solidnego
opracowania filozoficznego”.

Nie mogę powstrzymać się
tu przed dwoma uwagami. Po
pierwsze — już św. Augustyn
przyjmował, że zło absolutnie
nie istnieje, jest tylko... BRA-
KIEM dobra. I po drugie — sa-
mo pojęcie potrzebę związane
jest z sytuacją braku, zależno-
ściami człowieka od środowi-
ska.

NOWY MODEL PARTII

Kryzys socjalizmu jest dość
głęboki i uniwersalny. We wszy-
stkich sferach poszukuje się no-
wych rozwiązań. Trzeba również
zmienić model partii, ponieważ
mamy do czynienia z relikami
stalinizmu. Tak twierdzi w
„TRYBUNIE LUDU” (nr 245)
prof. Przemysław Wójcik z A-
kademi Nauk Społecznych.

„A stalinowski model to po-
 prostu instytucja nadzoru nad
wszystkimi innymi instytucjami,
grupami, organizacjami. Nad-
zoru różnych aparatów. To nie
cała partia sprawuje kontrolę
nad państwem, lecz różne jej
grupy, dla których partia jest
narzędziem i instrumentem. Ta-
ki model jest przestarzały,
pełni dysfunkcyjną rolę wo-
bec procesów odnowy. Bo jeśli
w partii nie będzie przynaj-
mniej tyle demokracji co w
społeczeństwie, tyle samo plura-
lizmu, co w narodzie — partia,
stanie się obiektywnie hamu-
lącym przemian. (...)

Marzy mi się powrót do sy-
tuacji z czasów Lenina, kiedy
w partii funkcjonowały różne
platformy programowe. Nie
frakcje, te Lenin ostro zwal-
czał. Ludzie skupiali się wokół
ważnych wizji i programów.
A zjazd, kierownictwo partii i
cała partia mogły wybierać po-
między tymi propozycjami, mie-
dzy różnymi tendencjami i grup-
kami. My natomiast wybieramy
towarzysza X lub Y nie wie-
dząc co on reprezentuje, jaki
ma program, jakie zamiary”.

Przemysław Wójcik uważa, że
postulat hegemonii robotni-
ków w państwie wymusiła biu-
rokracja. W rzeczywistości kla-
sa robotnicza jest najemnikiem
we własnym państwie. Władza
należy do kierowników, a robot-
nicy są tylko pracownikami.
Gdyby istniała hegemonia ro-
botników, to nie byłoby prote-
stów z lat 1956, 1970, 1976, 1980.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

JERZY BOROWICZ — filmowiec

Od kilkunastu tygodni czekam na decyzję władz miasta doty-
czącą budynku przy ul. Nawrot 13, gdzie od niedawna zamiesz-
kuje, a który przed rokiem został zniszczony przez wybuch gazu.
W minionym tygodniu, w jedno z przedpołudni, postanowiłem
sam dotrzeć do wielkich tego miasta i od nich dowiedzieć się,
jaka jest decyzja, lub o powody odwołania tej. Tak więc zate-
lefonowałem do PGM — Śródmieście i tu okazało się, że urzę-
dniczka, która być może „coś wie” na ten temat — jest nieobec-
na. Ani dyrektor techniczny, ani naczelny o tej „blahostce” nie
nie wiedzą. Następny telefon do wiceprezydenta miasta, zainmu-
jącego się strukturą mieszkaniową. Niestety, jest nieobecny. Se-
kretarka uprzejmie radzi, aby do naczelnika dziedzicy. Telefo-
nuję. Jest nieobecny. Sekretarka naczelnika radzi, by do kierow-
nika wydziału ds. budownictwa i architektury. Telefonuję. Jest
nieobecny. Sekretarka radzi mi, by do urzędnika zajmującego
się tymi sprawami. Telefonuję. Nareszcie... Od urzędnika dowi-
adam się, że ona nie wie i jednocześnie zdumiona jest, że
absorbuję takimi sprawami urzędy, zamiast cierpliwie czekać na
decyzję, czy będzie remont budynku czy też rozbórka. Na moje
nieśmiałe uwagi, że informacja ta potrzebna mi jest do konty-
nuowania bądź zaprzestania remontu, w który wkładam swoje
pieniądze, usłyszałem w odpowiedzi, że na razie mam gdzie cze-
kać i powinienem się z tego cieszyć. Niestety, po skończonej roz-
mowie moja radość nie powiększyła się ani odrobiny. Urzędnicy
są chyba za mało sugestywni...

ANDRZEJ PARUZEL — artysta, szef Biura Prze-
wodników po / sztuce i kulturze

Cały ubiegły tydzień, jak i wiele poprzednich, poświęciłem
sprawom biura. Obok działań mających charakter jedynie impu-
lsu, „zacieru koncepcji”, prowokacji czy pastiszu skierowanego
przeciwko instytucjonalizacji kultury, standardyzacji, komercjali-
zacji i unifikacji cywilizacji — biuro zainteresowane jest ujawni-
aniem współczesnych postaw artystów Europy Centralnej. Biuro
opowiada się za nowymi formami inicjacji, myśleniem ekologi-
cznym w sferze kultury. Z tym łączyć należy nowe wystawien-
ie „nowo”. Symultaniczne prezentacje — jest to próba ujawnienia
tego, co artysty urodzeni w Europie Centralnej — pracujący tu-
taj lub gdzie indziej, ale posiadający pełno rodzimych tradycji,
zapachu i muzyki środowiska naturalnego i narodowych wartości,
sporów i przyjaźni — mają dzisiaj do powiedzenia i czy to „uc-
wiedziane” przez nas w Łodzi, Kijowie, Pradze, Berlinie, Wied-
niu, Wilnie, Weimarze, Budapeszcie, czy nawet gdzieś dalej —
ma związek z miejscem naszego urodzenia? Święto sztuki lub
jej zwykły dzień, ożywione świadomością działania w kilku miej-
scach Europy Centralnej, to właśnie symultaniczna prezentacja.
Sieć wystąpień, akcji, instalacji, poezji, czytanej performance i
wystaw w tym czasie często równocześnie tych samych w kilku
miejscach Europy Centralnej. A może tylko informacja czy ślad
swojej obecności w danym miejscu? Czy ta świadomość nie jest
ważna dla każdego z nas? Biuro zaprasza do współpracy wszyst-
kich dobrych artystów Europy Centralnej. Prosimy o kontakt:
90-850 Łódź, Box 179, Biuro Przewodników po / sztuce i kulturze.

ANTONI S. PARODY — obywatel i esteta

Nie wiadomo, płakać, czy gryźć się zębami. Tyle było szumu w
prasie w związku ze skandaliczną eksmisją dóbr po ostatnim
łódzkim i polskim rablinie mieszkającym dziś z konieczności w
Nowym Jorku. Teraz pojawiła się ekipa remontująca mieszkanie
rabina, podobno dla wielodzietnej rodziny z Batut i co ta ekipa
robi? Ano, nie chce im się widocznie (bo zimno) myć brudny h,
dawno nie mytych szymb, więc je wybijają i wprawiają nowe, czy-
ste. Skandal więc trwa. Kto wreszcie za to odpowie?

Notował: MAREK KOPROWSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Wielka wyspa nielegalnej drukarni przy ulicy Wschodniej 19
w Łodzi nastąpiła przypadkowo. Gdy przenoszono papier z doroż-
ki do mieszkania Piłsudskiego spostrzegł to stojący na czatach szpi-
cel i doniósł komendantowi policji. Potem wydarzenia potoczyły
się błyskawicznie — artykuł ANDRZEJA KEMPY przedstawiający
okoliczności aresztowania Józefa Piłsudskiego i jego żony Marii.

— W dniu 7 maja 1920 r. pierwsze oddziały polskiej kawalerii
wjechały do Kijowa. Ludność stolicy Ukrainy przechodziła stras-
zliwy kryzys głodowy. Twarze przechodniów zdradzały niezwy-
kły stopień wyczerpania — kolejny fragment książki CEZAREGO
LEZENSKIEGO pt. „Kwatera 139”.

— Nikt nie wiedział, jaką siłę posiada Swizlak i do czego jest
zdolny, ale wszyscy byli przekonani, że może zrobić wszystko
i woleł nie wystawiać losu na próbę. Gdy na schodach rozlegały
się jego ciężkie kroki i stychać było świszający oddech, w kucha-
ni zamierało życie — opowiadanie BORYSA JAMPOLSKIEGO.

— Urok ciała kobiecego pociąga nie tylko mężczyzn. Nierad-
ko dla podniecająco również na kobiety. Mają ochotę dotknąć,
przytulić się, pocałować... Niektórzy mężczyźni odnają wrażeń,
że każda kobieta ma skłonność lesbijską. Ale normalnym ko-
bietom miłość taka wydaje się czymś obcym, budzącym lęk
i często wstręt — artykuł MIROSLAWY SARBINSKIEJ pt.
„Smutek miłości lesbijskiej”.

— Kiedyś stał tu drewniany budynek z malowaną fasadą i szyl-
dem z napisem „Poziomka”. Można było zaśpiewać, upić się, za-
kochać lub stracić w marzeniach porfel. Zima mogło być groź-
ne, natomiast latem przyjmował każdego las pod rozpostarty bal-
dachem liści — reportaż RYSZARDA BINKOWSKIEGO.

— Są w życiu Bolesława Bieruła momenty budzące wiele
wątpliwości, których „hagiografowie” nie starali się wyjaśniać,
a niekiedy wręcz jeszcze zagmatwali. Na przykład wzajemne sto-
sunki między Janiną Górzyską a Małgorzatą Fornalską. Podobno
układały się dobrze — artykuł LUCJUSZA WŁODKOWSKIEGO.

NR 45 (1597), 5 LISTOPADA 1988 R.

tożyc trzeba jeszcze jeden rekord — jest ona najdłuższą pełniącą funkcję szefem rządu w Europie Zachodniej.

Koncepcje polityczne wcielane w życie z charakterystycznym dla M. Thatcher sposobem rządzenia określono mianem „thatcherizmu”. Zawiera on elementy wyrafinowanej polityki jak i echo zdrowych kupieckich zasad wyniesionych z rodzinnego domu. „Pragniemy przywrócić bodźce, które skłaniają ludzi do ciężkiej pracy i chodzenia z podniesioną głową” — mówiła pani premier w 1979 r. Bodźcami tymi stały się pieniądze i posiadanie własności — elementy, które mają u-

Zachodem, ale realizowana z pożytkiem — „każdy chce zlikwidować broń atomową” ale „musimy prowadzić rokowania cierpliwie i z pożytkiem” i nie rezygnować z góry z tych środków, które posiadamy”.

Margaret Thatcher posiada wszelkie atrybuty kobiecości co nie zmienia faktu, iż dysponuje cechami, których jest brak wielu politykom męczyznom. Jest tytanem pracy. Zaczyna dzień przed 6, a kończy dobrze po północy. Jej czas wypełniony jest skrupulatnie co do minuty, aby sprostać tak wielu obowiązkom. Złośliwi twierdzą, że to właśnie ze względu na małą ilość wolnego czasu urodziła bliźnięta, nie chcąc go tracić dwukrotnie na to samo.

niały normalne życie kraju. 9 lat temu pani M. Thatcher rozpoczęła walkę z kolosem związkowym (ponad połowa zatrudnionych) i z żelazną konsekwencją prowadzi ją do dziś. Dotychczas ukazały się 3 antyzwiązkowe ustawy i przeciwnik „zepchnięty został do narożnika”. Czwarta jest w przygotowaniu — nie wyklucza się K.O.

Niewielu polityków posiada ten szósty zmysł, tę umiejętność przewidywania, intuicję polityczną. Drugą kadencję pani M. Thatcher rozpoczęła po wyborach rozpisanych 11 miesięcy przed czasem. Praktycznie sama ustaliła z ogromnym wyczuciem właściwy termin — i wygrała wybory. Ona też „odkryła” Michała Gorbaczowa w czasie jego wizyty w

przez nią wstrząsowa terapia gospodarki przywiodła Wielką Brytanię do czołówki nie tylko Europy, ale i świata. Dochód narodowy wzrasta średnio rocznie o 3 proc., inflacja zmalała z 20 proc. do 4 proc., powiększyły się płace realne, eksport rośnie około 3 proc. rocznie, wydajność pracy jest najlepsza w Europie, podatki są niższe a ilość bezrobotnych wyraźnie maleje. Rząd pani M. Thatcher dokonał bilansu budżetu (drugą raz po wojnie) a 3 mld funtów nadwyżki budżetowej przeznaczył na cele społeczne. Ta gwałtowna zmiana na lepsze musiała mieć swoją cenę, którą społeczeństwo w swej większości chciało i zapłaciło.

Margaret Thatcher jest bezspornie wyjątkowym człowiekiem i politykiem. Łączy kobiecą delikatność z niespotykaną siłą konsekwencji i bezwzględnością w działaniach dla dobra Wielkiej Brytanii. Polityczny patriotyzm i realizm w połączeniu z jej cechami dają skuteczność i sukces.

W tej chwili z pewną zadziornością można spoglądać na Albion, gdzie organizacja życia gospodarczego daje mierzalne pozytywne efekty. Nie wszystkie polityki brytyjskiej recepty na szybki powrót do dobrej gospodarczej kondycji są możliwe do stosowania w naszych warunkach. Jednak czerpanie z doświadczeń innych narodów jest dla nas życiową koniecznością.

Wizyta pani M. Thatcher uległa opóźnieniu ze względu na bezprecedensową sytuację w powojennej historii PRL — rezygnację gabinetu i utworzenie nowego rządu. Premier M. F. Rakowski chwytając za ster państwa w bardzo trudnym momencie kryzysu ekonomicznego i społecznego, zmniejszenia społeczeństwa permanentnie niedużą reformą, przerażającą inflacją i braku perspektyw. Wystąpienie premiera zapewniało o dążeniu do poprawienia jakości życia miast i wsi, stworzeniu gospodarki, która zagwarantuje stabilne ceny i trwałe dobrobyt, ukształtowaniu odpowiedzialnego społeczeństwa i umocnieniu poszanowania prawa oraz przeciwdziałaniu degradacji środowiska naturalnego. Niemal identyczne sformułowania przedstawiła pani M. Thatcher brytyjskiemu społeczeństwu 5 lat temu przed wyborami. Czy zbieżność głównych tez programowych obu premierów zapowiada podobny efekt ich działań?

WIKTOR WYSZYWCZAK

Z tej ziemi

Łódź — moje miasto

Pierwsze moje zetknięcie z Łodzią dokonało się za pośrednictwem książki Wandy Wasilewskiej „Pokój na poddaszu”. Jak z tej książki wynikało, nie było to miasto łatwe i przyjemne dla mieszkańców. Drugie zetknięcie nastąpiło z podłogi wagonu towarowego. Ojciec został zdemobilizowany z Wojska Polskiego już w czerwcu 1945 roku, dostał pracę we Włocławku i jechaliśmy prawie przez pół Polski z Chełma Lubelskiego do Włocławka na Kujawach. Jechaliśmy też przez Łódź. Pociąg jechał wiaduktem. W dole była ulica i przy kolejowym nasypie pętla tramwajowa. Była to ulica Pabianicka — dziś to wiem. Trzecie nastąpiło w 1952 roku.

Wysłała wtedy książka Igora Newerlego „Pamiętka z Celulozy”. Dziś znów można ją spotkać w księgarni wityrnie. Wywołała wtedy duże zainteresowanie, autor otrzymał nagrodę państwową, a Jerzy Kawalerowicz wziął się do kręcenia filmu na podstawie tej książki. Jesienią 1952 roku Koło Naukowe Polonistów UŁ zorganizowało dyskusję o „Pamiętce z Celulozy” a ja przywożąc na tę dyskusję robotników z włocławskiej Celulozy. W 1953 sam zacząłem studiować na UŁ i już zostałem w Łodzi. Łódź stała się moim miastem.

Gdy dziś wspominam o tamtej Łodzi i rozglądam się po Łodzi współczesnej, to widzę dwa różne miasta. Łączy je jednak nie tylko wspólna przeszłość, nazwa, ale coś więcej. Jest to miasto, które zawsze pozostawało w tyle, na drugim planie, które nie szukało przodownictwa, nie parło „do przodu”. Łódź dumna była z tego, że służy narodowi. Żałowała wojny dawała sukno na żołnierskie szyny i drech na mundur. Później ubierała i obszywała całą Polskę. Pomagała odbudowywać Stolicę. I gdy w lutym 1971 roku Łódź zastrajkowała, okazało się że jej zafocowanie wola o pomstę do nieba. Powstał wtedy plan modernizacji i rozbudowy miasta i jej przemysłu. Na obrzeżach Łodzi powstały dzielnice przemysłowe i całe „miasta w mieście” — Retkinia, Widzew Wschód, Radogoszcz, Chojny Zatorze, Wybudowano trasę W—Z. I...

Marzyła nam się wielka Łódź — nowoczesna, ucywilizowana. Przy alei Adama Mickiewicza miał powstać ogromny dom towarowy z podziemnymi garażami, barami i stoiskami czynnymi całą dobę. Ale nie powstał. Ktoś doszedł do wniosku, że Łódź „czegoś takiego” nie potrzeba. Pozostaliśmy przy „Centralu” i „Uniwersalu”. Miały być różne małe i duże restauracje. Miały być hotele i kina. Miały...

Ktoś wpadł na pomysł, aby w Łodzi zrobić festiwal filmów krótkiego metrażu. — Nie mamy kina festiwalowego, nie mamy hoteli, restauracji. — Powiedziano na to i festiwal przegarnął Kraków. Nam pozostały filmy społeczno-polityczne. Dobre i to, ale to mało.

Pamiętam gdzieś w początku lat siedemdziesiątych Zdzisław Lipski i Jakub Wujek urządzili w parku im. Henryka Sienkiewicza, w istniejącej tam sali wystawowej, wystawę projektów architektonicznych rozwiązania centrum Łodzi: od ulicy Juliana Tuwima do alei Adama Mickiewicza. W tym, za Piotrkowską, wzdłuż ulicy Henryka Sienkiewicza miało być kino festiwalowe, Filharmonia, pełno jakichś małych barów, barków, kawiarenek, czego Łódź stałaś brakuje, miało być takie funkcjonalne centrum kulturalne. Miało...

Pamiętam też film wówczas nakręcony o centrum Łodzi. Kamera zjechała do wnętrza podwórka i pokazała całą nędzę śródka prawie milionowego miasta. Był to film wstrząsający. Byłoby może dobrze i dziś go pokazać. Na przykład Radzie Narodowej dzielnicy Śródmieście. Co też się w środku Łodzi zmieniło od tamtych lat?

Nowej Filharmonii nie mamy. Muzeum Sztuki jak było tak jest. Przy ulicy Piotrkowskiej stoi kilka od lat remontowanych lub pustych domów. Na przykład przy rogu ulicy Więckowskiego, dawny Dom Towarowy na odcinku między ulicą Gabriela Narutowicza a Romualda Traugutta, były „Dom Buta”, który teraz ma być przybytkiem sztuki na rogu ulicy Juliana Tuwima, dalej rudera po „Solidarności”, którą dano Politechnice Łódzkiej, a teraz znów komuś innemu. Przewiduję wyjaśnienia: nie ma pieniędzy na remont, nie ma materiałów, nie ma ludzi, nie ma mocy, nie ma koncepcji, nie ma...

Przed 40 laty wygraliśmy w Polsce bitwę o handel, aby zaraz po tym niepotrzebnym zwycięstwie przekształcić twórczo handel w dystrybucję. A dystrybucja to nie innego jak rozdzielnictwo. Z handlem — jak pokazuje nam praktyka tych 40 lat po zwycięstwie w bitwie o handel — nie ma to nic wspólnego. Wprawdzie kilku pasjonatów, jak choćby Lech Sosnowski, pokazało, że nawet na dystrybucyjnej pustyni można handlować, jak się chce, ale wyjątki... potwierdzają tylko regułę... Handel pokonano i nie wskazuje, aby miał się odrodzić.

W poniedziałek, 24 października 1988 roku, po godzinie 18 szedłem ulicą Piotrkowską, aby coś kupić. Kiedyś na przykład księgarnie były w śródmieściu otwarte do godziny 19, teraz zamknięte są, jak w całej Łodzi, o godzinie 18. Wszystko było już w środku Łodzi zamknięte, pusto, ciemno, przeraźliwie. Nawet w „Aperitifie” nie było cienia kanapki, tylko wazetki i bezy. W „Delikatesach” w byłym „Domu Prasy” — „Dziennik Łódzki” przeniosł się na ulicę Henryka Sienkiewicza do Centrum Prasowo-Telewizyjnego, WITAMY — na półce królowały koniaki po 6 i więcej tysięcy złotych. W sklepach brakuje musztardy, cukru i oleju, że o wodce już nie wspomnę.

Tu dla rozrywki mogę opowiedzieć zabawną historię, jak któregoś sylwestrowego wieczoru, gdy w Łodzi nie można było kupić szampana, kilku młodych ludzi wsiadło w pociąg, pojechało do Warszawy, kupili co chcieli, wrócili do Łodzi i bawili się pysznie do białego rana. Dlaczego coś może być w Warszawie, a nie może być w Łodzi? Ostatnio parę osób wozilo z Warszawy do Łodzi... cukier. Czy my zawsze musimy być w cieniu, na drugim planie, bez polotu, fantazji i... koncepcji? I w końcu już sam nie wiem, czy jest to zabawna historia, czy powód do wściekłości?

Przywykłem już do tego, że u nas nikomu się nie opłaca. Można powiedzieć bez przesady, że Polska deficytem stoi. Stoczenie są deficytowe, huty deficytowe, kopalnie deficytowe, handel deficytowy, fabryki deficytowe... Skąd u licha rząd bierze pieniądze, aby do tych deficytowych interesów dokładać? Zupełny absurd. Najbardziej mnie boli, że nikomu nie opłaca się prowadzić kiosku RUCH, gdyż to również deficytowy interes. Zazdroścąc wtedy kolegom z radia i telewizji, bo oni nadają swoje programy niezależnie od tego, czy ktoś ich słucha lub ogląda. Mają po prostu nadzieję, że ktoś tam włączył i zapominał wyłączyć radio czy telewizor. Prasa bez czytelnika nie może istnieć, a czytelnik musi mieć gdzie kupić gazetę i pismo. Jeśli RUCH nie załatwi takich warunków, aby ludziom zaczęło się opłacać prowadzenie kiosków, to wszelkie wysiłki dziennikarzy mogą okazać się psu na buty potrzebne. Byłoby to niepotrzebna strata, gdyż niektóre gazety i pisma nie są — o dziwo — deficytowe.

Mamy względnie nową Radę Narodową Miasta Łodzi, no bo w końcu nie tak dawno wybrana. Jakoś do tej pory mało o niej wiemy. Być może weźmie się ona do roboty i zacznie zbiorowo myśleć nad tym, aby Łódź — moje miasto — stało się wielkim i pięknym miastem, w którym chciałoby się mieszkać, żyć i pracować. Czy to jest niemożliwe?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Brytyjski heros w spódnicy

szlachetnie człowieka przez rozwijanie jego przedsiębiorczości i inicjatyw. W swoim pierwszym wystąpieniu w 1975 roku przedstawiła ona koncepcję „wolnego społeczeństwa opartego na prywatnej przedsiębiorczości i prawie do nierówności”. Chcąc stworzyć dogodne warunki dla działalności gospodarczej społeczeństwa rząd pani Thatcher zmniejszył działalność gospodarczą państwa sprzedając prywatnym osobom na ogół deficytowe i zbiorowatyzowane przedsiębiorstwa państwowe, obniżył inflację stosując agresywną politykę kredytowo-finansową, obniżył podatki (np. od najwyższych dochodów z 60 proc. do 40 proc.), ograniczył swobodę związków zawodowych i możliwości organizowania strajków.

Przejmując władzę w 1979 r. M. Thatcher akcentowała ograniczenie władzy państwa nad obywatelami mówiąc o „straszniaku z siebie niewiary we własne siły, utrwalonej przez dziesięciolecia zależności od państwa, które zamiast być sługą było panem”. Były i zalecenia dla obu stron — obywatela i państwa, pozornie trywialne, kiedy to pani premier przypominała, że nie można wydawać więcej niż się zarabia, oraz że „najpierw trzeba stworzyć bogactwo, a potem dysktutować o sposobie jego podziału”. W początkach thatcheryzmu dała przykład ograniczając podwyżki dla ministrów i wyższych urzędników państwowych oraz pozostała sama przy niezmienionej pensji wynoszącej około 30 tys. funtów rocznie. Stara się ciągle wszelkimi sposobami wyeliminować „marnotrawstwo pieniędzy podatnika”. Thatcherizm to także polityka porozumienia i odprężenia między Wschodem

Przedsiębiorczość i niespożyta energia godne są pozazdrośczenia. W czasie obrad Partii Konserwatywnej w Brighton w 1985 r. dokonano na panią Thatcher nieudanego zamachu bombowego. Była ona jedną z pierwszych organizujących pomoc, niosącą otuchę i pocieszenie dla ofiar i ich rodzin. Wszystko to nie przeszkodziło jej w punktualnym przybyciu i uczestnictwie w obradach.

Odwaga brytyjskiego lwa drzemie w pani premier. Już po roku piastowania swego urzędu, podczas „szczytu” EWG w Brukseli w 1980 r., rozpoczęła samotną walkę o redukcję brytyjskich wpłat na rzecz EWG. W starciu z przeważającym przeciwnikiem, grupą doświadczonego europejskich polityków, nie dawano jej żadnych szans. Determinacja i odwaga przyniosły jej sukces i zgodę na zmniejszenie wpłat o 5 mld dolarów. Imponująca szybkość podejmowania decyzji i odwagę potwierdziła pani Thatcher wielokrotnie, lecz szczególnie spektakularny sukces osiągnęła w rozgrywce o Falklandy. Decyzja o wysłaniu brytyjskich sił interwencyjnych na Falklandy zapadła w ciągu kilku godzin. Wzięcie do niewoli 10-tysięcznego garnizonu argentyńskiego nastąpiło po niespełna 10 tygodniach. Osiągnięto zwycięstwo militarne i wielki sukces polityczny.

Określenie „Żelazna Lady” ma swe źródło w stanowczości i konsekwencji pani premier. Jakkolwiek jej przeciwnicy twierdzą, że bardziej przypomina to babski upór, to nie sposób odmówić mu zamierzonych efektów. W wyborach 1979 r. labourzyści szermowali hasłem — „Kto rządzi krajem — rząd czy związki zawodowe”. Ustawiczne strajki utrud-

Wielkiej Brytanii w 1984 r., przewidując, iż przyszłość rezerwuje dla niego ogromną polityczną rolę tak w jego kraju, jak i na arenie międzynarodowej.

Otwarta jest na wszystko co nowe i korzystne dla kraju. Zafascynowana osobowością i nowatorskimi posunięciami M. Gorbaczowa spotykała się już z nim trzykrotnie a stosunki radziecko-brytyjskie rozwijają się coraz pomyślniej. Podobnie po zwycięstwie papieża Jana Pawła II w 1982 r., po blisko 450 latach od czasów zerwania z Rzymem w 1543 r. przez Henryka VIII, nawiązane zostały stosunki dyplomatyczne między Watykanem a Londynem.

Sympatia i popularność Margaret Thatcher wśród Brytyjczyków jest faktem, o którym świadczą nie tylko głosy wyborców. Wyrażnie daje się odczuwać społeczna przychylność i uznanie Mass media używając wielu przezwisk pani premier, często złośliwych, ale nie pozbawionych życzliwości. Gabinet figur woskowych Madame Tussauds spreparował jej czwarte aktualne „wcielenie”.

Drugą pasją M. Thatcher poza polityką jest rodzina. Pani premier łączy zalety doskonałej gospodyni domowej, żony i matki. W trudnych dla siebie chwilach znajduje wsparcie i pomoc u swego męża Denisa. Wychowała bliźnięta — córkę Carol jest dziennikarką, syn Mark ożenił się niedawno i wyjechał do USA, gdzie prowadzi własne interesy. Świętę nie się ubiera, praktycznie nie pije, nie pali. Lubi kolor niebieski, opowiadania kryminalne i chodzenie na koncerty.

Ta sympatyczna pani o przyjemnej powierzchowności sprawiła, iż od roku 1979 z żelazną konsekwencją stosowana

Nagrody dla księgarzy

Jeden z wybitnych pisarzy (pragnący zachować anonimowość) ufundował 200.000 zł nagrody dla księgarzy, które wyróżniają się w promocji polskiej książki współczesnej. Zespół w składzie: Jan Gruszczyński, Wiesława Izdebska i Andrzej Gołabczak z „Domu Książki” oraz przedstawiciele tyg. „Odgłosy” — red. red. Edmund Lewandowski i Marian Zdrojewski, po dokonaniu wizytacji i oceny łódzkich księgarzy, postanowili pierwszą nagrodę przyznać załoz-

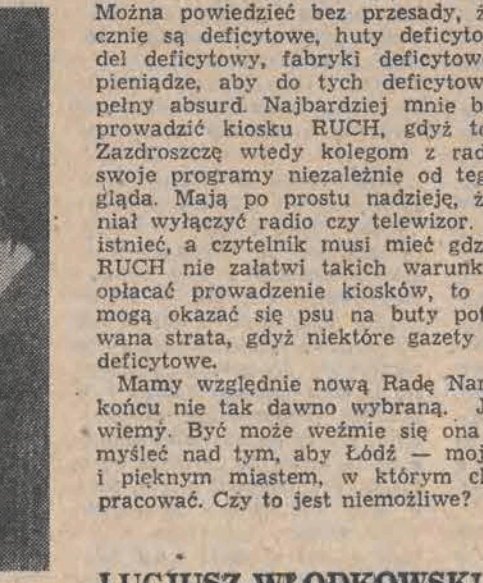
księgarni przy ul. Piotrkowskiej 123 w składzie: Zdzisław Misiewicz — kierownik oraz Antoni Leszczyński, Lucyna Gut, Elżbieta Krzywańska, Michał Brzozowski, Bożena Syta i Sławomir Rakowski. Dwie drugie nagrody załozde księgarni przy ul. Piotrkowskiej 102a w składzie: Henryk Frasiak — kierownik oraz Anna Agier, Bogdan Głowacki, Elżbieta Antosik, Lucja Wandachowicz, Jadwiga Stajno, Elżbieta Kowalczyk, i załozde księgarni przy ul. Piotrkowskiej

47/49 w składzie: Maria Szulich — kierownik oraz Maria Szymańska, Iwona Pietrucha, Danuta Pietruszka, Agata Błaszczyk, Anna Makowska, Jolanta Lewandowska, Helena Słupska, Krzysztof Krzywicki i Anna Kwiatkowska. Przyznano także nagrodę Iwonie Popławskiej, która jednoosobowo prowadzi księgarnię przy ul. Pabianickiej 212. Gratulujemy.

Eroczystego wręczenia nagród dokonał redaktor naczelny „Odgłosów” Lucjusz Włodkowski w

czasie XIV Walnego Zjazdu Sprawozdawczo-Wyborczego Księgarzy Polskich Okręgu Łódzkiego, który odbył się w ub. sobotę. Nowym przewodniczącym Okręgu został wybrany Bogdan Grałak. Wybrano także nowy zarząd. Komisję rewizyjną oraz delegatów na Ogólnopolski Zjazd SKP, który odbędzie się w listopadzie br. w Warszawie.

M. Z.



Wera Kostrzewska — to Maria Koszutska, natomiast Adolf Warski — to Adolf Jerzy Warszawski.

Przybieranie sobie drugiego nazwiska w najnowszej historii Polski jest niczym nadzwyczajnym. Wielu Legionistów występowało pod drugimi nazwiskami, które później wzięli do właściwych. Niektórzy pisarze używali też drugich nazwisk. Przecież Bolesław Prus — to Aleksander Głowacki. W polityce jednak stawała się sytuacja jakby dwuznaczna, podważała autentyczność polityka, pomniejszała jego wiarygodność. Inaczej przyjmują się konspiracyjne pseudonimy. Na przykład Władysław Gomułka występował w konspiracji jako Wiesław i tak wielu jego przyjaciół nazywało go do końca życia i do dziś używa się tego pseudonimu w literaturze historycznej. Również Bolesław Bierut był w ruchu robotniczym konspiracyjnym znany jako Tomasz.

Wyniesione z konspiracji nawyki i przekonania spowodowały również, że życiorysy przywódców przypominały nieco dzieje świętych, były nazbyt oficjalne i pozbawione jakiegokolwiek cech indywidualnych, prywatnych, intymnych. Życie prywatne przywódców partyjnych i polityków nie istniało. Więcej znani byli z dowcipów i anegdot o nich opowiadanych niż z oficjalnych enuncjacji. Poza tym w przedstawianiu lewicowych polityków obowiązywał hagiograficzny schemat. Już od zarania swoich dziejów byli rewolucjonistami, marksizm wysłali razem z mlekiem matki, choć matki często nie miały pojęcia kim był Karol Marks.

Schemat ten doskonale spariodował — mimo woli zresztą — pewien autor powieści sportowej, drukowanej w 1954 roku na łamach „Głosu Robotniczego”. W 1954 roku w polskiej drużynie kolarskiej w Wyścigu Pokoju jechał obok Mieczysława Wilczewskiego i Stanisława Królaka niewielki wzrostem kolarz — Eligiusz Grabowski. Na etapie w Łodzi był drugi za Mieczysławem Wilczewskim. Kibice oszaleli, choć dziś byłoby mi niezmiernie trudno powiedzieć, czym Elek Grabowski zdobył sobie ich sympatię. Zresztą Wyścigu Pokoju w 1954 roku nie ukończył, w 1955 roku był dopiero 30, a w 1957 ponownie startował i też Wyścigu Pokoju nie ukończył.

Autor biograficznej powieści o Elku Grabowskim chciał jak najlepiej wcielić w życie zasady, że już w niemowlactwie jego bohater, a kibiców ulubieniec, wykazywał niebywałe zdolności do kolarstwa. Napisał, że mały Elek leżał w łóżeczku tak szybko poruszając nogami, jakby... jechał na rowerze. Proszę — jakie to zdolne było dziecko, zdolność do kolarstwa wykazywało już w kołysce.

Schematu tego nie uniknął życiorys Bolesława Bieruta. Od lat wiąże się z nim śmieszna wręcz historia ze strajkiem szkolnym w Lublinie. W wydanym w 1987 roku, poprawionym i rozszerzonym I tomie „Słownika biograficznego działaczy polskiego ruchu robotniczego” znajduje się następujące zdanie w biografii Bolesława Bieruta:

„Od 1900 uczęszczał do szkoły elementarnej w Lublinie, z której został w 1905 usunięty za danie sygnału do strajku szkolnego”.

Proszę zwrócić uwagę, że Bolesław Bierut miał wówczas 13 lat. Urodził się 18 kwietnia 1892 roku w Rudach Bryłgowskich pod Lublinem, które dziś stanowią dzielnicę Lublina. Miał pięcioro rodzeństwa: braci Andrzeja i Michała oraz siostry Julię, Józefę i Antoninę. Jego matka Marianna — z domu Wolska — urodziła dwanaścioro dzieci — co wówczas nie było rzadkością, ale przeżyło tylko sześćoro, co też nie było rzadkością. Ojciec, Wojciech, był drobnym rolnikiem, dzierżawcą, przywedrował na Lubelszczyznę z okolic Tarnobrzega.

Henryk Rechowicz — autor biografii Bolesława Bieruta — w wydanej w 1974 roku przez Śląski Instytut Naukowy

PWN książkę pod tytułem: „Bolesław Bierut 1892—1956” — tak opisuje dzieciństwo przyszłego prezydenta:

„Mały Bolek spędzał swoje dzieciństwo w suterenie lub na podwórzu wśród innych robotniczych dzieci i właśnie środowisko robotnicze wywarło decydujący wpływ na ukształtowanie jego społecznej osobowości. Był dzieckiem wrażliwym. Żyjąc w niedostatku rodzina dążyła do wzajemnym szacunkiem i miłością, tworząc wzorową rodzinę robotniczą. Bolek kochał rodziców i rodzeństwo, chętnie pomagał w codziennych zajęciach domowych. Razem ze starszą siostrą Antonią palił krowę oraz nosił wodę z oddalonej o ponad pół kilometra studni”.

„Słownik biograficzny działaczy polskiego ruchu robotniczego” podaje, że ojciec Bolesława — zresztą najmłodszy w rodzinie Bierutów — był „zubożałym chłopem”. I później był „ogrodnikiem-dzierżawcą”. Przedstawiony powyżej obraz skonstruowany przez Henryka Rechowicza jakoś nie pasuje do rodziny w swojej istocie chłopskiej, którą biograf usiłuje za wszelką cenę uczynić robotniczą. Tak, jak 13-letniego Bolesława Bieruta usiłuje — za Franciszkiem Józefem — uczynić przywódcą strajku szkolnego.

„Kiedy w listopadzie 1905 roku wybuchł w Lublinie strajk szkolny, dał w klasie hasło do wyjścia na demonstrację, zaciągnął kamieniem, napelnionym atramentem w wiszący na ścianie portret cara, za co został dyscyplinarnie wydalony ze szkoły”.

Taki opis zajścia ukazał się w wydaniu książki Henryka Rechowicza z 1974 roku. W wydaniu z 1977 roku „zmienionym i rozszerzonym” sprawę ujęto inaczej.

„Kiedy w listopadzie 1905 roku wybuchł w Lublinie strajk szkolny, dał w klasie hasło do wyjścia na demonstrację, za co został dyscyplinarnie wydalony ze szkoły”.

Niby tak samo, ale inaczej, bo nie ma już „kalamarza napelnionego atramentem”. Niektórzy pisali, że był to kamień. Widziałem nawet taki rysunek w którejś z książek dla dzieci, jak mały Bolek ciska kalamarzem w portret cara.

A jak było w rzeczywistości?

W 1955 roku — a więc w 50 rocznicę Rewolucji 1905 roku — Uniwersytet im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie zorganizował sesję naukową poświęconą tej rewolucji. Zaproszono na nią również Bolesława Bierut. Zgodził się przyjechać, ale nieoficjalnie, w ostatnim dniu sesji. I tak się stało. Sesji przewodniczył Andrzej Burda — wówczas rektor UMCS w Lublinie. Jemu też zwierzył się pewien młodzieniec, że zabierze głos i opowie o tym, jak to „młody Bolek” już jako uczeń zademonstrował rewolucyjnego ducha, praktykując kamieniem w wiszący na szkolnej ścianie portret cara Mikołaja”. Andrzej Burda przestrzelił młodzieńca, że może to wywołać dezaprobatę dostojnego gościa, ale stało się inaczej. Młodzieniec nie posłuchał i opowiedział o kamieniu. Na zakończenie sesji głos zabrał Bolesław Bierut. Zdarzenie to opisał Andrzej Burda w książce „Przymrozi i odwilże”. Oddajmy mu głos:

„Sala zamarta w napięciu. Wyowiedź była bezpośrednia, szczerza i dzięki swej prostocie, przykuwała uwagę słuchających. Wymurzenia płynęły z serca i były bezpretensjonalne. Sam słuchałem wiele zaskoczony i głęboko zadumany”.

Mówił więc o swoich młodych latach i wskazywał obraz Lublina sprzed pół wieku, zwracał się do obecnych na sali weteranów z 1905 roku i przypominał im, jak to blisko miasta była linia lasów i jak pokretnymi ścieżkami odbywali wędrówkę do szkoły. Roztopił się w tych wspomnieniach i ze skrucho przypomniał rówieśnikom, jak to on nie lubił szkoły, a drugą klasę dwukrotnie powtarzał. Przypominał o tym, gdyż z jego życiorysem powiązano wiele mitów, zaś jeden z takich mitów usłyszał z ust młodego człowieka i pragnie włożyć go między bajki.



Nie rzucił kalamarzem w portret cara!

Bierut stwierdził, że nie prasał kamieniem w portret cara, albowiem tamtej szkoły nie lubił i obcy mu był zgola car Mikołaj. Bynajmniej nie oceniał go w kategoriach politycznej nienawiści, bo sprawy polityczne były mu jeszcze dalekie. Jego starszy brat był członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej, ale traktował go jeszcze jako dziecko i nie próbował uświadamiać klasowo. To z bratem poszedł na wiec robotniczy, na który ludzie wzięli szeroką ławę, mówiąc, że idą, bo przemawiać będzie Róża Luksemburg. Nie wiedział, kto to jest (spodobało mu się tylko to imię, bo było piękne jak róża kwiat), więc brat wytłumaczył: „To jest nasz wódz”, a on wyobraził ją sobie jako królową na tronie z różą w ręku.

Takie stabiutki było wówczas uświadamienie polityczne młodego Bieruta, gdyż dopiero w 1912 roku — idąc w ślady starszego brata — wstąpił do Polskiej Partii Socjalistycznej. Później wymyślono, że on już kamieniem młotał w cara. Owszem, pamiętał, że weszli do klasy jacyś robotnicy i zakrzyknęli: „Dzieci, macie wolne, uciekajcie do swoich domów”. Więc wszyscy postrunęli, zaś on wcale nie pozostał w tyle. Dopiero gdy już wstąpił do PPS, jakby oczy mu się na świat otworzyły i pokochał naukę nie tylko w szkole, lecz i poza szkołą.

Ileż prawda jest piękniejsza od wymyślonego mitu. Ileżyskoje polityk, gdy traktuje się go jak... człowieka, a nie od urodzenia namaszczonego rewolucjonistę.

„Z agitacją socjalistyczną — pisał Henryk Rechowicz — zetknął się wcześniej, ojciec bowiem oraz najstarszy brat nieraz przynosił do domu ulotki”.

Znow fałsz, gdyż do PPS wstąpił — idąc śladami starszego brata — w 1912 roku, a więc w wieku 20 lat. Do tego czasu — jak sam wspominał — miał słabe pojęcie o ruchu socjalistycznym. Aliści schemat hagiograficzny nakazuje, aby każdy rewolucjonista był rewolucjonistą już niemal w ko-

lyscie, aby cały swój wolny czas poświęcał agitacji, nauce, działalności rewolucyjnej. Na życie osobiste rewolucjoniści nie powinni mieć czasu. Dziwne tylko, że się na ogół żenili i... mieli dzieci.

Bolesław Bierut był samoukiem. Pracował jako pomocnik murarza, był brukarzem, aż został działaczem spółdzielczym. Okres spędzony w spółdzielczości wpłynął niewątpliwie na rozwój intelektualny przyszłego prezydenta. Zetknął się z Janem Hemplem, który wywarł na niego duży wpływ. Po przeniesieniu się do Warszawy zamieszkali razem. W tym to właśnie czasie „pracował bez wytchnienia, wszystkie wolne chwile i noce spędzał przy książce, ucząc się i studiując. Latem w niedzielę odbywały się wspólne wycieczki piesze poza miasto, brzegiem Wisły. Na tych to wycieczkach odbywały się dyskusje o różnej tematyce” — wspominała Władysława Głódowska.

W maju 1921 roku odbył się w Warszawie I Zjazd Związku Robotniczych Stowarzyszeń Spółdzielczych, na którym został wybrany do Rady Nadzorczej. Był współzałożycielem Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, a także brał udział w zorganizowaniu Spółdzielni Mieszkaniowo-Turystycznej „Gospoda Włóczęgów” na Antonówce w Zakopanem. W „Gospodzie Włóczęgów” wypożyczano wielu lewicowych działaczy, artystów, pisarzy. W tym czasie odnowił działalność w Komunistycznej Partii Robotniczej Polski, do której wszedł razem z PPS-Lewicą. W lipcu 1921 roku ożenił się z Janiną Górzyńską, z którą miał dwoje dzieci: Krystynkę (urodzoną 12 lutego 1923 roku) i Jana (urodzonego 25 stycznia 1925 roku) używającego później nazwiska Chyliński.

15 stycznia 1927 roku został aresztowany. Tak zakończył się rodzinny okres w życiu Bolesława Bieruta, chociaż z rodziną nigdy nie zerwał, jakkolwiek różne były ich losy.

Gdy tak zagłębiał się w życie Bolesława Bieruta staje mi przed oczyma jakby dwóch różnych ludzi. Zresztą był

wiceprezydent KRN i wicemarszałek Sejmu Ustawodawczego — Stanisław Szwalbe, który znalazł Bolesława Bierut z czasów wspólnej działalności w ruchu spółdzielczym, a wywiadzie udzielonym w czerwcu 1987 roku dla „Sztandaru Młodych” powiedział:

— Na pytanie o Bieruta odpowiedział mi zawsze pytaniem: o którego chodzi? Czy tego z lat miedzienicznych, czy stalinowskich?

Ale i ten z „czasów stalinowskich” jest też jakby podwójny. Z jednej strony — to dobry ojciec wszystkich Polaków, z drugiej — człowiek nadzorujący pracę aparatu bezpieczeństwa, który to aparat łamał prawo w myśl stalinowskiej zasady, że w walce z wrogiem klasowym prawo nie obowiązuje.

Gdy pracowałem w ZMS stylizowałem się z różnymi ludźmi przyjeżdżającymi z centrali. Komitet Centralny ZMS mieścił się przy ulicy Smolnej wprost gmachu KC PZPR, zwanego niekiedy złośliwie „Białym Domem”. Instruktorzy KC ZMS bywali w gmachu po przeciwną stronę Alei Jerozolimskich i wynosili stamtąd różne plotki nie zawsze polityczne. Jedną z nich w sposób bardzo sympatyczny rysowała dobroć Bolesława Bieruta.

Gdzieś w Polsce, w jakiejś szkole podstawowej — jak to czasem dzieje — mają w brzydkim zwyczaju — dorysowano Bolesławowi Bierutowi na portrecie wazy, choć ja miał brodę i coś tam jeszcze. W sumie trzeba było poprosić rodziców, aby psotnym chłopcem sprali dupską i byłoby po krzyku. A portret wymienić na nowy. Ale czasy były inne. Dopatrzyło się w tym aktu politycznej dywersji i za sprawę zajął się z nią sekcja bezpieczeństwa. Ktoś wszakże wpadł na pomysł, aby całą sprawę przedstawić „zainteresowanemu”, czyli temu, czyj portret „zbezczeszczone” jak urządzili, tak zrobili. Wiesz dotarła do Warszawy. Bolesław Bierut zaprosił gronó młodzieńców wraz z rodzicami do Belwederu. Młodych ugościł lodami i ciastkami i w trakcie takiego sympatycznego spotkania miał rzekomo powiedzieć, wskazując na rysunek i gładko ogolonego Józefa Cvrankiewicza:

— Nieustraszenie postąpiłicie. Jemu trzeba było domalować wąsy i brodę. Ja wasz już mam.

Cała sprawa rozeszła się po kościach.

W 1950 roku słynna była w Polsce „sprawa gryficka”. Wracca do niej w książce „Przymrozi i odwilże” Andrzej Burda. Podczas kolektywizacji w powiecie gryfickim na Zachodnim Pomorzu stosowano terrorystyczne metody, niszczone chłopskie dobytki, a u marudów zawalano w domach piecze. Chłopi postanowili poszukać sprawiedliwości w Warszawie.

„Okazało się — pisze Andrzej Burda — że pokrzywdzeni chłopcy z Gryfic jakimś przemyślnym sposobem dotarli (jako delegacja) do samego Bieruta i tam z placem przysięganiem na głowy własnych dzieci zrelacjonowali przebieg akcji. Bierut był podobno wstrząśnięty, a przeprowadzone z jego nakazustępne śledztwo uprawdopodobniło całkowicie ich relację. Zwołano w tej sprawie specjalne plenium pod hasłem walki o praworządność ludową, na którym Bierut w swym referacie potępił „sprawę gryficką”.

Henryka Grossingera — winnego całej sprawy — skazano na 10 lat więzienia, a jego pomocników wyrzucono z UB i partii. Aliści był to tylko jaskrawy przykład metod stosowanych gdzie indziej już bez możliwości skarcenia się Bolesławowi Bierutowi. Tenże Andrzej Burda wspomina, że jeden z wojewódzkich sekretarzy PZPR zaczął odprawę z sekretarzami powiatowych komitetu od słów:

— Podajcie ilość chłopów aresztowanych w związku z ich niechęcią do tej formy gospodarowania.

Chodziło oczywiście o kolektywizację. Jedni podawali wielkości celowo zawyżone, aby dobrze wypaść, inni zmniejszone — jak się później do tego przyznawali, kiedy było wolno, kiedy przyszła kolejna odwilż. Zresztą Józef Stalin — do któ-

rego Bolesław Bierut często zwracał się z różnymi sprawami — naciskał, zarzucając Bierutowi miękkość i powolność w rozprawianiu się z kulactwem w Polsce.

Stanisław Głabiński w książce „PAP w herbie” opowiada, jak to będąc na jakimś akademii przechadzał się sekretarzem w poszukiwaniu sekretarza, którego z ważnych osobistości, aby coś uzgodnić i kilkakrotnie minął zamyślonego Bolesława Bieruta.

„Gdy po raz trzeci czy czwarty przechodziłem przez korytarz, Bierut nagle jakby otrząsnął się z zamyślenia, bo podniósł głowę i zwrócił mnie.

— Wy jesteście chyba z PAP od Mincowej? — zapytał.

Gdy przytaknąłem, pytał dalej.

— A dlaczego jeszcze chodzicie w letnich sandałach?

Gdy zażenowany i nieco przestraszony milczałem, powiedział.

— Trzeba powiedzieć Julii, by bardziej dbała o swoich dziennikarzy — i kiwnął głową na pożegnanie”.

Stanisław Głabiński dostał jednorazowy zasiłek na zakup odzieży.

Tak powstawała i utrzymywała się legenda dobrego ojca narodu, który nie wie o tym co robią podli, przekupni i zbiurokratyzowani urzędnicy. Coś na wzór dobrego cara i złych urzędników. I ludzie w to wierzyli. Sam nieraz słyszałem, jak ludzie mówili: — Trzeba napisać do Bieruta, on pomoże. — I pisali. Bolesław Bierut rzeczywiście w wielu przypadkach pomagał.

Helena Zatorska w książce „Sposz smugi cienia” wspomina przegodę pewnego Żyda, który uratował się z Majdanka i którego przyjął Bolesław Bierut. Żyd ów marzył o wyjeździe do Palestyny. Był rok 1949. „Pomógł mi wyjechać do upragnionej Palestyny, zrekomu dla nawiązania kontaktów handlowych z filmowcami”.

„Otóż ten, przyzwoity zresztą człowiek, straszliwie kaleczący język polski, ale do Polski szczerze przywiązany, gdy nadszedł list na pocztę w Tel-Awivie, zetknął się z młodą dziewczyną, tak zwaną sabrą (pokolenie urodzone w Palestynie, nazywane tak od jakiegoś gatunku kaktusów), która słysząc język żydowski, powiedziała kategorycznie: „Rak twój!” (mów po hebrajsku. Trzeba tu dodać, że język żydowski był również w Palestynie ledwo tolerowany przez syjonistów, uważano go za symbol niewoli). Nasz rodak — niemal jak z wiersza Stonimskiego o spotkaniu z Żydem „koło Jafskich bramy”, który pyta z tęsknotą, „czy Sasaki odwrócił zawsze taki sam?” — odpowiedział z wściekłością: „Panna pali się w Majdaniek, to ja się będą uczył iwryt”.

Ot, jak czasem okazana komuś przychylność okazuje się „niedowiedzią przysługą”. Ale to była dygresja, która wskazuje potwierdza, że Bolesław Bierut w poszczególnych sprawach — nawet tak nietypowych — starał się pomagać ludziom. A jednocześnie...

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

C.D.N.

Publikowany fragment szkicu o Bolesławie Bierucie pochodzi ze zbioru szkiców o najnowszej historii Polski przygotowanych dla Krajowej Agencji Wydawniczej w Łodzi.

I.

18 czerwca 1945 r. w moskiewskim Domu Związków Zawodowych przed Kolegium Wojskowym Sądu Najwyższego ZSRR rozpoczął się proces piętnastu przywódców polskiego podziemia. Szesnasty, Antoni Pajdak, stanął przed trybunałem w późniejszym terminie. W historiografii utarły się jednak pojęcia: sprawa szesnastu i proces szesnastu.

Na przełomie lutego i marca 1945 r. kilku czołowych przywódców pozostającego w konspiracji obozu londyńskiego otrzymało od oficera sztabu I Frontu Białoruskiego p.k. Pimienowa propozycję odbycia rozmów z miarodajnymi przedstawicielami Armii Czerwonej. Był to okres, kiedy Wielka Trójka powzięła w Jaltie decyzję dotyczącą przyszłości Polski. Nie przeto dziwnego, że propozycja radzieckiego oficera została, choć z wahaniem, przyjęta. Jednakże do właściwych rozmów nie doszło. Pod koniec marca szesnastu najbardziej prominentnych działaczy podziemia podstępnie aresztowano i wywieziono do Moskwy. (Wydarzenia z tym związane opisał w artykule „Sprawa szesnastu”, opublikowanym w dodatku historycznym „Życia Warszawy” 5 sierpnia 1988).

W więzieniu na Łubiance znaleźli się: gen. Leopold Okulicki — do czasu rozwiązania Armii Krajowej (styczeń 1945) jej ostatni komendant; Jan Stanisław Jankowski — SP, delegat Rządu na Kraj, wicepremier; Kazimierz Pużak — PPS, przewodniczący Rady Jedności Narodowej; ministrowie w Krajowej Radzie Ministrów — Aleksy Bień (SL), Stanisław Jasiukowicz (SN), i Antoni Pajdak (PPS); członkowie Rady Jedności Narodowej — Kazimierz Bągiński (SL), Stanisław Mierza (SL), Józef Chaciński (SP), Franciszek Urbański (SP), Kazimierz Kobylański (SN), Zbigniew Stypulkowski (SN), Stanisław Michałowski i Eugeniusz Czarnowski (oba ze Zjednoczenia Narodowego), a także Józef Stenler (tłumacz) i Aleksander Zwierzyński (SN).

Bągiński, Stypulkowski i Pużak pozostawili po sobie wspomnienia, pozwalające odtworzyć okres ich przebywania w areszcie, a także spojrzeć oczami oskarżonych na sam proces.

Wszyscy potwierdzają, że w śledztwie zapewniono szesnastu Polakom warunki lepsze niż „zwykłym” więźniom. Nie było ich i nie stosowano tortur fizycznych. „Cela czysta, pościel również. Straż cicha i uprzejma”. Za to — jak pisał Pużak — „nieodłączny sakramentki gład. Gład i bezsenność — te argumenty śledztwa; dodam jeszcze — zimno”. Ponadto całkowita izolacja i nie kończące się, w ciągu doby kilkanaście godzin trwające przesłuchania. Przez 70 dni śledztwa trójka pamiętnikarzy przesłuchiwana była od 120 do 141 razy. Wolno przypuszczać, że inni podobnie.

Metody śledcze szczegółowo opisał Zbigniew Stypulkowski. Zacytujmy fragment stanowiący swoista rekapitulację celów, jakie przed sobą stawiali przesłuchujący:

„Pierwszym jest dokładne przeezaminowanie. Osoby więźnia pod względem jego inteligencji, charakteru i sily stawianego oporu. (...) (Przesłuchujący) usiłuje (...) przy tym uzyskać od niego najdrobniejsze szczegóły z życia osobistego i stosunków rodzinnych, odkrywa w nim słabości i mierzy jego ambicje.

Drugim zadaniem sędziego (śledczego — E.G.) jest zakazać wyobraźni więźnia i zruinować jego równowagę psychiczną przez powodowanie nieustannej huśtawki w nastrojach — od szczytowego optymizmu do krańcowej depresji.

Trzecim i prawdopodobnie najważniejszym celem jest doprowadzenie do wynaturzenia tkwiący w każdym człowieku instynkt samozachowawczy”.

Pod koniec śledztwa sformułowane zostały zarzuty. K. Bągiński wylicza następujące: „popieranie dywersji przeciwko armii sowieckiej (a w każdym razie odpowiedzialność za to), zatrzymanie broni przez organizację podziemną, nieujawnianie tych organizacji, rzucanie oszczerstw na armię sowiecką oraz używanie zabronionej komunikacji radiowej z Londynem”.

Wkrótce do powyższych dołączono nowy: działalność organizacji NIE — „Niepodległość”. Zarzut przedstawiono mimo że organizacja „w ciągu półrocznego swego istnienia nie wyszła ze stanu wstępnych kroków organizacyjnych” — pisał Wł. Pobóg-Malinowski. Jej dowódca, p.k. Emil Fieldorf „Nil” — niedługo przed zarzutem — został w marcu 1945 r. aresztowany przez władze radzieckie i wywieziony do ZSRR. Przypadek sprawił — nie został rozpoznany — że nie stanął przed sądem razem z czołową polskiego podziemia.

O losie przywódców Polski podziemnej świat właściwie nie wiedział. Rząd emigracyjny T. Arciszewskiego starał się ich znikąd nie nadąć jak najszerszy rozgłos, ciche starania podjął również Rząd Tymczasowy, a zwłaszcza PPR. Oficjalnie czynników radzieckie z kolei nie przyznawały się do żadnych działań przeciwko

kierownictwu polskiego podziemia, mimo kilkakrotnych interpelacji ze strony Amerykanów i Brytyjczyków. Na tym też doszło nawet do czasowego przerwania międzynarodowych rokowań na temat polskiego rządu jedności narodowej. Dopiero w San Francisco w pierwszych dniach maja ludowy komisarz spraw granicznych W. Molotow oświadczył, że polskich konspiratorów zatrzymały radzieckie władze bezpieczeństwa.

II.

Proces był doskonale przygotowany. Rozpoczął się niemalże w przededniu finału rokowań — trwających równolegle do rozprawy — w sprawie utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Oskarżonych — wspomina K. Bągiński — „podkarmili, wyprasowali ubrania, wyprali bieliznę, w której przechodziliśmy, ostrzygli, ogolili, używając nawet wody

sunku do żołnierzy i oficerów Armii Czerwonej” „organizowaniem zamachów i napadów” oraz „prowadzeniem propagandy wrogiej wobec Związku Radzieckiego i Armii Czerwonej”. Konto tej czwórki obciążała również organizacja NIE, powołana — jak to sformułowali oskarżyciele — „w celu kontynuowania roboty wywrotowej” a także „przygotowania do wystąpienia wojennego w bloku z Niemcami przeciwko ZSRR”. Leopolda Okulickiego obciążono dodatkowo oskarżeniem o szpiegostwo. Wobec pozostałych Polaków sformułowano zarzuty mniej obciążające. Zarzucano im udział w „robocie wywrotowej”, działania sprzeczne z rozkazem dowództwa radzieckiego o konieczności zwrotu środków łączności radiowej, sprzętu poligraficznego, broni i amunicji i wykorzystywania tych „w celach przestępczych”.

Na procesie oświadczone, że w śledztwie jedenastu oskarżonych przyznało się do wszyst-

„nie znajduje usprawiedliwienia czy wytłumaczenia”. Te gorzkie słowa sprowokował sam Urbański, usiłując przypisać Pużakowi i jego politycznym przyjaciółom przekonania „faszystowsko-reakcyjne”.

Lektura wspomnień, relacji prasowych, jak również wydanej w wielu językach broszury „Sprawozdanie w sprawie organizatorów, kierowników i uczestników polskiego podziemia na zapleczu Czerwonej Armii na terytorium Polski, Litwy oraz obwodów zachodniej Białorusi i Ukrainy, rozpatrzonej przez Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego ZSRR 18—21 czerwca 1945 roku” wskazuje, że zespół sędziowski unikał podnoszenia kwestii drażliwych. Dla przykładu, niemalże pominięto sprawę sposobu aresztowania szesnastki, negując i rolę p.p.k. Pimienowa, i istnienie gen. Iwanowa, co w tym drugim przypadku było poniekąd prawdą, jako że pod tym nazwiskiem krył się gen. Iwan Sierow — odpowiedzialny za bezpieczeństwo tyłów Armii Czerwonej. „Uległ pan — mówił do Okulickiego przewodniczący trybunału — po prostu trikowi NKWD”.

W procesie nie powoływano świadków obrońcy. Świadkowie oskarżenia, powoływani przez oskarżycieli, dostarczani byli z więzień radzieckich. „Na czołe mieli wypisaną śmierć” — napisze po latach Zbigniew Stypulkowski. Wszyscy mówili po rosyjsku i sprawiali wrażenie, że deklamują wyuczone kwestie.

Zastrzeżenia budziła również obrona. Kazimierz Pużak jej ograniczenia tłumaczył terminem „upaństwowiona adwokatura”. Obrońcom — być może to osąd podyktowany gorczyzą — wolno było tylko „nakłaniać albo do żalowania przestępstwa, albo przynajmniej obłębienia karności”. Możliwe były i inne warianty, jak metoda mecenasa J. Braude którego pieczęć powierzono Jasiukowiczowi i Bieńowi. Bągiński odmawiając mu starań o podopiecznych w czasie procesu, zarzuca jednocześnie, że „wygłosił długie, pomienne przemówienie, oskarżające w stosunku do innych podsądnych a zwłaszcza Okulickiego”. Być może przewidując taką jakość usług obrońców, Jankowski, Okulicki i Stypulkowski bronili się sami. Najłatwiej przychodziło to ostatniemu, jako że był profesjonalistą w tej dziedzinie.

III.

Ostatnią kwestią, którą chcemy tu zasygnalizować, są podstawy prawne procesu. Wszyscy oskarżeni byli obywatelami polskimi. Aresztowano ich na wyzwolonym terytorium Polski. Czy zatem nie powinni odpowiadać przed sądem polskim?

Odpowiedź kryje artykuł 7 porozumienia pomiędzy PKWN i rządem radzieckim — zawartego 28 lipca 1944 r. — o stosunkach między radzieckim wodzem naczelnym a polską administracją po wkroczeniu wojsk radzieckich na terytorium Polski. Artykuł stanowił: „Wszyscy ci, którzy wchodzi w skład wojsk radzieckich na terytorium Polski, będą podlegać jurysdykcji radzieckiego wodza naczelnego. Wszyscy zaś ci, którzy wchodzi w skład Polskich Sił Zbrojnych, będą podlegać wojskowemu ustawom i regulaminom polskim. Jurysdykcji tej będzie podlegać również ludność cywilna na terytorium polskim, nawet w wypadkach dotyczących przestępstw popełnionych przeciwko wojskom radzieckim, z wyjątkiem przestępstw popełnionych w strefie operacji wojennych, które to przestępstwa podlegają jurysdykcji radzieckiego wodza naczelnego. W wypadkach spornych kwestia jurysdykcji będzie rozstrzygana drogą wspólnego porozumienia między radzieckim wodzem naczelnym a pełnomocnikiem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego”.

25 czerwca sąd ogłosił następujące wyroki: L. Okulicki — 10 lat więzienia, J. Jankowski — 8 lat, A. Bień i S. Jasiukowicz — po 5 lat, K. Pużak — półtora roku, K. Bągiński — rok, A. Zwierzyński — 8 miesięcy, E. Czarnowski — 6 miesięcy, S. Mierza, Z. Stypulkowski, J. Chaciński i F. Urbański — po 4 miesiące. Stanisław Michałowski, Kazimierza Kobylańskiego i Józefa Stenlera uniewinniono. Natomiast A. Pajdaka z powodu choroby sądzono w innym czasie i skazano na 5 lat więzienia, później wyrok podwołono.

Naciski dyplomatyczne sprawili, że Józef Stalin przybył do Moskwy, aby oskarżeni amerykańskiego prezydenta H. Hopkinsowi, iż wyroki będą pobłażliwe. K. Pużak napisze, że poza czterema najwyższymi orzeczeniami sądu pozostałe wyroki uderzały „swoją niewspółmiernością w porównaniu z oskarżeniem, mową prokuratorów oraz całą tendencją śledztwa, nie mówiąc już o wyuzdanej swawoli propagandy sowieckiej i lubelskiej”.

WASYLI URLICH: — Uległ pan po prostu trikowi NKWD.

Proces szesnastu

EDWARD GRZĘDZIŃSKI

kolońskiej i pudru”. Zadbano też o należytą propagandę. „Prawda” i „Izwiestia” codziennie zamieszczały dwu- czterokolumnowe sprawozdania z procesu. Były też liczne artykuły urabiające opinie.

Spróbujmy przybliżyć tekst D. Zasławskiego pt. „Polsko-faszystowskiej bandy pod maską demokracji”, ogłoszony 20 czerwca w „Prawdzie”. Autor pisze, że na sądzonych Polakach ciąży odpowiedzialność za prowadzenie polityki, w wyniku której od 28 czerwca do 31 grudnia 1944 r. zabito na terenach zachodniej Białorusi i Ukrainy oraz wyzwolonych ziemiach polskich 277 oficerów i żołnierzy radzieckich i 94 rannio. W kwietniu i maju 1945 r. liczby te wyniosły kolejno 317 i 125. Przy czym nie dodaje Zasławski, że w kwietniu i maju cała szesnastka przebywała już na Łubiance. Nie tłumaczy też luki czasowej (styczeń — marzec 1945) w tej statystyce. Może to skutek medialnych starań p.k. Pimienowa?

A teraz konkluzja artykułu: „Oni (żołnierze radziecy — E.G.) zostali zabici bądź ranieni nie w walce z Niemcami. Strzelano im nie w pleśń. Zabijano ich za to, że przyszli do Polski pod sztandarami przyjaźni polsko-radzieckiej”.

Polsko-faszystowscy rozbójnicy, bandyci, oprawcy zabijali bojowników Czerwonej Armii, zabijali dlatego, że oni wyzwolili Polskę od Niemców. Zabijali ich niekiedy z zażłości. Napadali ich niekiedy i podstępnie, brali śpiących, ostrzeliwali na drogach w pokojowej sytuacji. (...)

Zdemaskowano tych faszystowskich ludzików (ludiszek), zdemaskowano i ich inspiratorów z polskiego emigracyjnego „rządu” w Londynie. Okulicki — to przecież Bór-Komorowski, Jankowski — toż to Arciszewski. Bandytyzm — to niekiedy profesja polsko-faszystowskich aferzystów. Faszyzm — to ich natura. Na czym spekulowała ta zgraja? Na oczekiwaniu, że hitlerowskie Niemcy ocaleją, że wśród sojuszników dojdzie do rozłamu. Duchowe pokrewieństwo między polskimi i niemieckimi hitlerowcami oczywiście. Ale runeli i ci i tamci”.

Zespołowi sędziowskiemu przewodniczył generał-pułkownik Wasyli Urilich, którego Zbigniew Stypulkowski opisał jako „małego, bardzo grubego, śmiesznie okrągłego, łysego zupełnie. Jowialnego”. Bystry obserwator, jakim był Stypulkowski — z zawodu adwokat — również trafnie oddał sylwetki oskarżycieli: naczelnego prokuratora Armii Radzieckiej gen. Nikołaja Afanasiewa („ascetyczny, surowy, inteligentny”) i późniejszego oskarżyciela w procesie normberskim gen. Romana Rudenki („uprzejmy, sprytny, podchwytliwy i namiętny w oskarżeniu”).

Cała piętnastka polskich oskarżonych odpowiadała z art. 58 kodeksu Rosyjskiej Federacyjnej SRR. Podzielono ich przy tym na dwie grupy. Do pierwszej włączono Leopolda Okulickiego, Jana S. Jankowskiego, Stanisława Jasiukowicza i Aleksandra Bienia, którym zarzucano, że „byli twórcami i kierownikami polskiej organizacji podziemnej na terytorium zachodnich obszarów Białorusi i Ukrainy na Litwie i w Polsce”, że „działając według instrukcji tzw. polskiego rządu emigracyjnego w Londynie”, kierowali „robotą wywrotową przeciwko Armii Czerwonej i Związkowi Radzieckiemu”, „dokonywaniem aktów terroru w sto-

kich zarzucanych im czynów. Kazimierz Pużak, Józef Chaciński i Kazimierz Bągiński tylko do niektórych, Zbigniew Stypulkowski zaś odrzucił całe oskarżenie. Po latach napisze, że w 1945 r. Związkowi Radzieckiemu było „wygodnie wykażać się aż takim liberalizmem, który dopuszcza możliwość nieprzyznania się do winy przez jednego z oskarżonych. Ponieważ trwałem w uporze do końca, powiedziano sobie: «Niechaj też rolę odegra Stypulkowski»”.

Z kolei Kazimierz Pużak indagowany o radiowe kontakty podziemia z centralą w Londynie, odpowiadał, że nie poczuwa się do winy, „a jeżeli winą jest radiodepeszowanie do rządu w Londynie — to proszę przyjąć moje oświadczenie, że z całą świadomością i z mojego obowiązku użyłem radia, ale jedynie i wyłącznie w sprawie konferencji krymskiej (uchwała RJN), i że to jest fakt w moim przekonaniu nie zasługujący na karę”. Do innych przewinień byłby przewodniczący Rady Jedności Narodowej nie przyznał się.

Najbardziej tajemniczą postacią procesu był gen. Leopold Okulicki, który już wcześniej miał okazję wpisać do swego życiorysu radzieckie więzienie. Jak wiadomo w 1941 r. został aresztowany we Lwowie, gdzie był komendantem okręgowym ZWZ. Teraz, w Moskwie, był pozbawiony jakiegokolwiek kontaktu z pozostałymi Polakami, stąd o motywach jego zeznań wnosili mogli współoskarżeni jedynie na podstawie rozprawy sądowej.

Kazimierz Bągiński i Zbigniew Stypulkowski wspomina, jakoby w śledztwie i na procesie była mowa o dyrektywie Okulickiego z 22 marca 1945 r., skierowanej do komendanta poznańskiego okręgu AK, traktującej o przyszłej walce z ZSRR Polaków i Brytyjczyków, przy czym ci ostatni mieliby użyć do tego celu Niemców. Okulicki mówił również o rozkazie gen. Stanisława Kopańskiego, nakazującym fikcyjne rozwiązanie AK, zachowanie kadr i funduszy na prowadzenie w przyszłości walki z rządem warszawskim i wojskami radzieckimi. Temu celowi służyć miała organizacja NIE.

Relacjonujący przebieg procesu K. Bągiński ani nie wierzył — jak pisze — w istnienie takiej dyrektywy, ani w świetle posiadanych informacji, nie dawał wiary o wzmięcie w rozkazie Kopańskiego o walce z nowym wrogiem. I choć Leopold Okulicki w czasie procesu dążył, by osłabić niektóre zarzuty, to zapewne jego zeznania w śledztwie — zdaniem Kazimierza Bągińskiego — „zawierały to wszystko, co Sowiety chciały osiągnąć w tym procesie, a nawet więcej. Zawierały stwierdzenie planowanej walki z Sowietami do spółki z Niemcami w czasie, gdy wojna z Niemcami jeszcze trwała i gdy w całym świecie, a zwłaszcza w narodzie polskim, panowała do nich nienawiść”.

Inni oskarżeni, w tym Kazimierz Bągiński i Kazimierz Pużak, odcinali się od pomysłu walki z Rosjanami. Podobnie Jan S. Jankowski, który broniąc generalnie polityki władz państwa podziemnego, za błąd uznawał próby wprowadzenia przez nie własnej administracji na tereny zajmowane przez wojska radzieckie.

Ale nie tylko Leopold Okulicki swoimi zeznaniami obciążał pozostałych oskarżonych. Kazimierz Pużak niepochlebnie cenzurę wystawił Franciszkowi Urbańskiemu, którego zachowanie zarówno w śledztwie, jak i na procesie

Panorama

CSRS

W Czechosłowacji istnieje literatura nieoficjalna, swego rodzaju „drugi obieg”. Przyznał to w wywiadzie dla pisma „Kmen” prezes Związku Pisarzy Czechów — Michal Czernik. Przyznał również, że część czytelników odrzuca literaturę oficjalną. Jego zdaniem czytelnicy ci pochodzą z kręgów młodzieży i snobów. Gdy się ich pyta, co ostatnio czytali, odpowiadają, że nic. — Jest to ekstrema — powiada Michal Czernik — która z góry odrzuca to wszystko, co u nas powstało. — Dalej Michal Czernik obarcza winą krytyków, którzy pełnią rolę propa-

gandzistów i przekonują czytelników o wartościach literackich, jakich w niektórych książkach nie ma. Michal Czernik przyznaje, że w Związku Pisarzy Czechów są też miernoty, a wybitni pisarze pozostają poza związkiem. W Pradze, Bratysławie i Brnie proklamowano „Ruch swobod obywatelskich”. Ogłoszono manifest pt. „Demokracja dla wszystkich”. W manifestie tym stwierdza się m.in., że „totalitarna forma rządów jest prawdziwą przyczyną obecnego kryzysu w Czechosłowacji”.

JUGOSŁAWIA

Z referatu Stipe Szuvara ogłoszonego na XVII Plenum KC ZKJ: „Sytuacja w Kosowie jest jedynie najgorszym przejawem kryzysu panujących stosunków biurokratycznych, które są,

mniej czy bardziej, charakterystyczne dla sytuacji w całym kraju. Stabilizacja Jugosławii nie jest możliwa bez rozwiązania sytuacji w Kosowie, tak jak nie jest możliwe ustabilizowanie sytuacji w Kosowie bez stabilizacji całej Jugosławii. (...) Najważniejszy problem polega na tym, jak powstrzymać procesy, które prowadzą do etnicizacji czystego Kosowa. Z jednej strony chodzi o to, aby środkami, jakimi dysponujemy natychmiast zatrzymać wyseledowanie się Serbów, Czarnogórców i innych ludzi, którzy są do tego zmuszani. Jednocześnie, by tworzyć warunki dla ich powrotu, dla oświecania się tu fachowców i ludzi pracy z całego kraju”.

20 października 1988 roku, o godzinie 12.05 — co oznacza, że już za późno dla wielu — przedsięwzięcie w sprawie Kosowa — rozpoczął się na Kosowym Polu wiec 30 000 Ser-

bów i Czarnogórców. Wyrzylili oni niezadowolone z uchwał XVII Plenum KC ZKJ. Ich zdaniem uchwały te są przejawem teoretyzowania, a nie konkretnego działania. Na wiec przyszli: Marek Orlańczyk — członek Prezydium KC ZKJ i Kacuzsja Jaszari — przewodnicząca Prezydium Komitetu Okręgowego Związku Komunistów Kosowa. Manifestanci odwrócili się do nich tyłem. Jest to stosowana w Jugosławii forma wyrażania braku zaufania dla polityków. Wiec podzielił się na dwa równoległe odbywające się wiece, które zakończyły się późnym wieczorem.

WIETNAM

130 000 Wietnamczyków pracuje w Czechosłowacji, Bulgarii, NRD i ZSRR. Wietnam nie jest w stanie zapewnić wszystkim swym obywatelom pracy i stąd

zawiera się kontrakty na pracę w innych państwach. Ostatnio dziennik „Nhan Dan” krytycznie wyraził się o warunkach pracy Wietnamczyków w ZSRR. Zdaniem dziennika małe są zarobki, złe warunki mieszkaniowe, ogranicza się możliwość zakupów dla Wietnamczyków, możliwość kontaktowania się z innymi Wietnamczykami pracującymi w pobliżu, jak też uniemożliwia się wywożenie towarów do Wietnamu czy wysyłanie paczek do rodziny.

Również krytycznie o warunkach pracy Wietnamczyków w ZSRR wypowiedziała się na łamach tygodnika „Lao Dong” pracownica wietnamskiej rozgłośni Radia Moskwa Irina Dima Motkowina. Przyznała, że w pracy niejednako traktuje się robotników radzieckich i wietnamskich, że w niektórych fabrykach panuje bałagan i są przestoje w produkcji z powodu braku materiałów, co

w większym stopniu obciąża robotników wietnamskich. Brak jest troski o zorganizowanie wolnego czasu Wietnamczyków. Nie bierze się pod uwagę różnic kulturalnych, jakie występują między Wietnamczykami a robotnikami radzieckimi.

ZSRR

Tygodnik „Moskowskie Nowosti” wystąpił do prokuratury ZSRR z żądaniem aresztowania przywódców „Pamięci” za ich antysemickie przedsięwzięcia.

Opracował:
W. BOROWY

Helena Sergiejewna Bułhakowa poznałam w pierwszej połowie 1963 roku. Powodem spotkania stała się moja recenzja w czasopiśmie „Nowy Mir” bułhakovskiej książki o Molierze wydanej w serii „Życie niepospolitych ludzi”. Helena Sergiejewna zadzwoniła do mnie — tradycja zapominanej dziś uczciwości — i dziękując za recenzję zaprosiła do siebie.

W owych dniach, wskutek szczęśliwego zbiegu okoliczności, trafił do moich rąk rękopis „Notatek nieboszczyka” („Powieść teatralna”). Zarekomendowałam go A. T. Twardowskiemu, który ocenił go bardzo wysoko. Rozpoczęła się dwuletnia historia walki o publikację tego utworu Michaiła Bułhakowa w „Nowym Mirze”. W trakcie przygotowania powieści do wydania, zdarzało mi się nieraz — z potrzebą redakcji — być u Heleny Sergiejewny, a pewnego razu ona sama przyjechała do redakcji.

Zrozumiałem, że chciała słuchać opowiadań Heleny Sergiejewny o Bułhakowie, wypytawałam o niego, tym bardziej, że z jej rekomendacji powinienem był napisać wstęp do pierwszego, jedynotomowego „Wyboru prozy” Michaiła Bułhakowa (1966) — czyli brałam na siebie jednocześnie obowiązki jednego z pierwszych jego biografów (w owym czasie wiadomości o nim nie drukowano).

Pomaleńku nasze wzajemne stosunki stawały się coraz bardziej zwyczajne, przyjacielskie. Zaczęłam często bywać u Heleny Sergiejewny jako domownik i często u niej witałam Nowy Rok, między innymi i rok 1970, ostatni rok jej życia.

Wyrzucam sobie, że wiele opowieści Heleny Sergiejewny nie zanotowałam, co nieco także już zapominałam. Przyjaźnielskie stosunki wykluczają zawodowe zapędy dokonywania prawowych wywiadów. Mimo to niektóre notatki, szczególnie z okresu, kiedy pisałam artykuły o Michaiłe Bułhakowie i specjalnie wypytwałam o niego, zachowały się (14 czerwca 1963 r., 19 maja 1965 r., 2 czerwca 1967 r., 29 lutego, 25 marca i 22 maja 1968 r.). Przytaczam je w tym miejscu z nieznaczną adiacją podając teksty zgodne z chronologią życia M. A. Bułhakowa.

Bułhakow poznał Helenę Sergiejewną w glodowe ciężkie lata. Otrzymałszy zaliczkę zaprosił ją pewnego dnia na szklankę piwa. Zagryzali jajami na twardo. Ale jak zawsze u niego, było to takie świąteczne, szczęśliwe.

Helena Sergiejewna: — „W młodości, poznałszy Bułhakowa, kiedy go okropnie liżyła za „Białą gwardię”, „Dni Turbiny”, powiedziałam mu: „Co panu szkodzi napisać sztukę o Armii Czerwonej?”. Popatrzył na mnie strasznie wzrokiem i odpowiedział z urazą: „Nie pani nie rozumie. Bardzo chciałbym napisać taką sztukę. Ale ja nie potrafię pisać o czymś, czego nie znam”.

Opowieść Heleny Sergiejewny o początkach pracy nad „Mistrzem” było to w maju 1929 roku (poznali się w lutym). Wieczór na Patriarskich Prudach podczas pełni księżyca. „Wyobraź, siedzą jak my teraz na laweczkach dwaj literaci...”. Opowiadał jej zamysł przyszłej książki, a później poprowadził do jakiegoś dziwnego mieszkania na tyłach Patriarskich. Na spotkanie wyszedł jakiś starzec w kapocie, z białą brodą (wracając z zesłania, przez Astrachan) oraz drugi młody... Wykwintnie, jak na owe czasy, jedzenie: ryba, czerwony kawior. Zanim odnaleźli to mieszkanie, Helena Sergiejewna pytała: „Misza, dokąd mnie prowadzisz?”. A on tylko odpowiadał: „Tsss...” — i palec na usta. Siedzieli przed kominkiem. Starzec zapytał: „Mogę panią pocałować?”. Pocałował i zajął się jej w oczach powiedział: „Wiedźma”. „Jak on to poznał?” — wykrzyknął Bułhakow. „Później, kiedy zamieszkałszy razem, często ustulowałam wypytac Miszę, co to było za mieszkanie, jacy to byli ludzie. Ale on zawsze tylko „Tsss...” — i palec na usta”.

W 1930 roku, kiedy Michaił Bułhakow pisał list do Józefa Stalina, zastanawiał się, jak ma postąpić. Zniszczyć rękopis — nie uważał, że powieść istniała, zostawić — to skłamać (w liście było zdanie, że rozpoczęta powieść o Chrystusie i diable została zniszczona). Oto dlaczego Bułhakow rozdarł rękopis z góry do dołu, od każdej kartki oddał połowę lub dwie trzecie. Lecz zachował się grzebiel, który jest teraz w bułhakovskim archiwum. W 1932 r. Bułhakow postanowił odtworzyć powieść z pamięci, ale oczywiście zaczął pisać zupełnie co innego. Tamten pierwszy wariant był aktualniejszy i bliższy „Diaboliadzie”.

W 1929 r. „pozbawiony ognia i wody” Michaił Bułhakow był gotów wynająć się do pracy jako robotnik, dozorca, lecz nigdzie go nie przyjmowano. Po telefonicznej rozmowie ze Stalinem, kiedy mu obiecano pracę w Teatrze Artystycznym, wyrzucił pistolet do stawu. Zdał się do stawu obok klasztoru Nowo-Dziewiczego. Nowo-Dziewiczcy i Dom Paskowa to ulubione przez Bułhakowa miejsca w Moskwie.

Kiedy Michaił Bułhakow zaprzyjaźnił się z Heleną Sergiejewną powiedział do niej: „Przećwićko mnie był cały świat — a ja byłem sam. Teraz jesteśmy we dwoje i nic mi nie jest straszne”.

Tchórzliwa, liberalno-profesorska „Prieczistienka” wysunęła Michaiła Bułhakowa niczym sztandar. „Chciano użycić z niego ukrzyżowanego Chrystusa. Nienawidziłam ich za to, mogłabym im wydrapać oczy... i wydrapywałam” — powiedziała śmiejąc się Helena Sergiejewna, zamyślając się, i o czymś wspominając. Bułhakow, według jej słów, chciał rozliczyć się z „Pierieczistienką”, rozmyślał to o dramacie, to znów o komedii na ten temat.

Helena Sergiejewna opowiadała, jak młody Bułhakow bez uprzedzenia zjawił się w mieszkaniu Wikentija Wikentjewicza Wieriesajewa. Zadzwonił do drzwi, wszedł. Jakiego zamieszanie w korytarzu (otworzyła mu kobieta). Bułhakow zdejmował kalosze, kiedy z pokoju wyszedł starzec Bułhakow nieśmiało i niewyraźnie przedstawia się:

— „Jestem Bułhakow”.
— „Kto?”
— „Bułhakow”.
— „Proszę wybaczyć, nie rozumiem”.
Skonfundowany Bułhakow długo szuka swoich

kaloszy i zaczyna je wkładać. Ale one jak na złość nie chcą wejść. Wtedy, zgroza Bułhakow wychodzi i kiedy jest już na schodach, Wieriesajew coś sobie przypomniał, więc woła:

— „Pozwólcie, pozwólcie, nie jest pan autorem „Notatek nieboszczyka?”.

— „Tak, to ja...”.

— „Dlaczego więc pan nie mówi? Proszę wejść, bardzo proszę!”.

Później, w ciężkich chwilach pomógł on Bułhakowowi. Był czas, kiedy sztuki Bułhakowa były grywane: „Dni Turbiny”. „Mieszkanie Zojki”. Później je zdjęto ze wszystkich teatrów, ale podatki trzeba było płacić zgodnie z deklaracjami do końca roku. Pieniężny Michaił Afanasiewicz Bułhakow nie miał. Znalazł się na finansowym dnie. W prasie go podgrzyzano, drukować nikt nie chciał i nagle zjawia się w jego mieszkaniu Wieriesajew z pieniędzmi. Było to niezwykle zdarzenie, to tak jakby literaturę minionego wieku wyciągnęła pomocna dłoń młodemu, współczesnemu autorowi.

W 1932 r. Bułhakow został zaproszony do Maksyma Gorkiego. Było wiadomo, że Gorki wypowiedział się o „Fatalnych jachach”, chwalił sztukę „Bieg” i czynił starania by w teatrze zaczęto próby „Moliera”. On też rzucił myśl by Bułhakow napisał biografię Moliera dla pierwszych zeszytów zainicjowanej przez siebie serii „Życie nieprzeciętnych ludzi”.

Wróciwszy z Gorkiem, Bułhakow długo milczał, a Helena Sergiejewna zasympłowała go pytaniami. — „Co mam ci opowiedzieć?”. — odezwał się w końcu — „Ogromny, piękny pokój, wielki pusty stół, waza z owocami, z jednej strony stołu Aleksiej Maksimowicz Pieszkow — (właściwie nazwisko Maksyma Gorkiego — przyp. red.) z drugiej, naprzeciwko, ja. Rozmowa nie

kanie na dziedzińcu teatralnym. W biegu, z kobietą z gospodarczego — rekwizytorka lub plastyczka, o niskim piśmiennym głosie. Ona mu się podoba. Bombardow namawia do ożenku. Maksudow żeni się, ona wkrótce umiera na gruźlicę. Próby sztuki w teatrze trwają w nieskończoność. Premiera dla Maksudowa jest przekrą, artykuły w prasie ubliżające. Znalazł się na granicy samobójstwa. Wyjeżdża z Kijowa — do miasta swojej młodości (Bułhakow zaciął przy tym ręce przeczuwając zadowolenie, bo tak bardzo pragnął napisać raz jeszcze o Kijowie). I bohater rzuca się w dół głową z mostu.

4 marca 1936 r. na ostatniej stronie „Prawdy” pojawiła się wiadomość, że ogłasza się konkurs na napisanie podręcznika historii Rosji dla 4 klasy szkoły średniej Helena Sergiejewna zastąpiła Bułhakowa podczas ważnego czytania ogłoszenia „Po co ci to?” — zapytała „Może się przydać”. A 9 marca ukazał się artykuł o wystawieniu „Moliera”: „Zewnętrzny blask i fałszywa treść”.

Michaił Bułhakow wszedł do pokoju Heleny Sergiejewny z gazetą „Rozumiesz, co to znaczy? To koniec”. Rzeczywiście: „Molier” został zdjęty, zdjęto także komedię „Iwan Wasiljewicz” przygotowywaną przez Teatr Satyr, a były już nawet rozlepione afisze na słupach. Bułhakow powiedział: „Jedźmy na Kuźniecki” — i przez cały ranek chodził po sklepach kupował książki z zakresu historii, kurs Kluczewskiego, mapy, atlasy. W domu zasiał mapami wszystkie podłogi i zabrał się za pisanie podręcznika historii dla 4 klasy. Zapewne by go ukończył gdyby nie silne bóle głowy które zaczęły się wraz z nadejściem lata: lekarze wygonili go na odpoczynek do Sinopu.

Michaił Bułhakow wiecznie mordował się z mieszkaniami. Poszedł na zebranie oczekujących na mieszkanie do Związku Pisarzy.

Opowieści żony Michaiła Bułhakowa

WŁADIMIR LAKSZIN

Klei się. W pokoju dużo wysokich drzwi, a za każdymi taaankie uszy. (I Bułhakow pokazał te uszy szeroko rozkładając dłonie).

A oto jak pisał „Notatki nieboszczyka”. Pewnego razu Bułhakow siadł przy biurku z chytym wyrazem twarzy i zaczął coś szybko zapisywać w zeszytach. Pisał tak przez dwa wieczory, a później mówi: — „Napisałem tu co nieco, więc zaprosimy Katuszki (siostra Heleny Sergiejewny Olga Sergiejewna Bakszanska, sekretarka w MCHAT-cie, była żoną aktora I. W. Kalużskiego). Przeczytam im, ale potem, że to ty napisałaś”. Grał potrafił z kamienną twarzą. Helena Sergiejewna, według jego scenariusza winna była wymawiać się i udawać zakłopotaną.

Przyszli Kalużscy, zjedli kolację, zaczęli pić herbatę, a Bułhakow mówi: — „Czy wiecie, co moja Luśka wykreciła? Pisz powieść Spójrzcie, wydarłem jej ten zeszyt”. Oczywiście nie uwierzone mu, zaczęli się śmiać. Ale on tak przekonująco opowiadał jak zaczął podtrząwać, że w domu pojawił się jeszcze jeden twórca, jak przejął tajemniczy zeszyt, a przy tym Helena Sergiejewna tak naturalnie gniewała się, pasowała i śmiała się, że goście w końcu uwierzyli.

— „O czym jest ta powieść?”.

— „W tym cały szkopuł, że o naszym teatrze”.

Kalużscy zaczęli się podśmiewać z Heleny Sergiejewny, że niby co też ona mogła takiego napisać. Lecz kiedy rozpoczęło się czytanie — zakłopotani zamilkli: rzecz napisana była wspaniale, a cały teatr był pokazany jak na dłoni. A Bułhakow ciągle się dziwił, że ona kogoś tam ukula, że z kimś innym się rozprawiła. Sprytne, ale też i dostanie się jej za to od skrzywdzonych osób.

Minęła północ. Kalużscy już poszli. Helena Sergiejewna szykowała się do snu, nagle o drugiej w nocy, telefon. J. W. Kalużski prosi Bułhakowa.

— „Misza, nie mogę zasnąć, przyznaj się: ty to napisałeś...”.

Później zaczęli bywać i słuchać kolejnych rozdziałów: Kaczalów z Litwecowej, Michalski, Majkow. Wszyscy bawili się świetnie, a Kaczalów pod koniec lektury posmutniał i powiedział:

— „Najbardziej gorzki jest fakt, że to wszystko jest nasz teatr i wszystko to prawda, wszystko...”.

Porzucił, nie dokończył pisanie Michaił Bułhakow dlatego, że oderwały go od tego sprawy libretta zamówionego przez Teatr Wielki, a później „Mistrz” i Małgorzata. Był przekonany, że umrze w 1939 roku i spieszył się by zakończyć „Mistrza”. Później zamierzał wrócić o ile zdąży, do „Notatek nieboszczyka” i dokończyć.

Na moją prośbę Helena Sergiejewna opowiedziała mi przewidywane przez Michaiła Bułhakowa zakończenie „Notatek nieboszczyka”. Wykład Aristarcha Platonowicza w teatrze i jego podróże do Indii (Ten wykład Bułhakow sam odgrywał wyjątkowo zabawnie). I Maksudow rozumie, że Aristarch Platonowicz w nocy nie może mu pomóc, choć on tak bardzo oczekiwał jego powrotu z zagranicy. Później spot-

Pierwszy na liście okazał się B-in. Bułhakow podnosi rękę.

— „Co takiego zrobił towarzyszu B-in? Jakże ma zasługi wobec literatury?”.

— „O, jego zasługi są ogromne — odpowiada przewodniczący. — Zalałwil dla spółdzielni 70 muszli klozetowych”.

Bułhakow znów podnosi rękę: — „Powiedzieć, jak on to zrobił?”.

Przewodniczący nie wytrzymał: — „Śladajcie, towarzyszu Bułhakow. Wasze mieszkanie ma numer 44”.

Później, kiedy oboje z Heleną Sergiejewną spotykali owego małego okraglutkiego B-in na ulicy, Bułhakow mówił: — „Patrz, patrz na niego uważnie, w nim dojrzeła „Woja i pokój”.

Pewnego razu w gotyckiej sali restauracji dla pisarzy Bułhakow nagle schwył Helene Sergiejewnę za rękę i powiedział cicho: — „Spójrz, Korowitow...”. W istocie w drzwiach jakby rzeczywiście stanął on w swojej kraciastej marynarce, z kpiącym uśmiechem.

Tu także, w restauracji, został podpatrzony „byczy wzrok” dramaturga: wściekłego wroga Bułhakowa, pochylonego nad łodem pływającym w wazie.

Bułhakow przyjaźnił się z artystą plastykiem W.D. ale wiedząc o jego ambicjach i pragnieniu otrzymania orderu, podpuszczał go.

— „Wiesz” — mówił do przyjaciela — „Zachodzę dziś do Olgi (Bokszanskij) i u niej na stole leży jakiś opis: Moskwin, Tarasowa, Litwinow, a obok niezrozumiałe litery — O.L. lub Z.P. lub O.Tr.Kr. Co to może znaczyć?”.

— „A mnie, mnie tam nie było?” — podniecił się artysta.

— „Obok twego nazwiska — kreska”.

— „Och, jak ty nie nie rozumiesz, Misza. Z.P. — to Znak Poczoła, O. Tr. Kr. — to Ordien Trudowowo Krasnowo Znamien... Przecież przyznają order, a mnie znów pominięto!”.

W końcu Bułhakow przyznał się do żartu i przyjaciele wypili na zgodę.

W ostatnich tygodniach przed śmiercią — plany sztuki o Ryszardzie, a jeszcze wcześniej wstawki do „Mistrza” — z wyjątkową przyjemnością dyktował Michaił Bułhakow opisy uczt. Jedną z ostatnich wstawek do powieści: o profesorze Kuźminie, który staje się ofiarą rozstroju nerwowego. Wróblek tańczący fokstrota na stole u profesora został wezwany do otwarcia oczu na fakt, jak żalosne jest rozumi-mialstwo uczonnej sławy. To odgłos rzeczywistości. Helena Sergiejewna opowiadała, że we wrześniu 1939 r., kiedy stan zdrowia Bułhakowa gwałtownie się pogorszył, jeden z badających go profesorów, rzekł:

— „Ale wy, Michaił Afanasiewicz! powinnicie jako lekarz wiedzieć, że wasza choroba nie da się wyleczyć”. A kiedy znalazł się w korytarzu, powiedział tak: że chory mógł go słyszeć: — „To sprawa kilku dni”.

Wkrótce dowiedziano się, że badający Bułhakowa lekarz ciężko zachorował i sam znalazł się nad grobem, a organizm Bułhakowa ciągle jeszcze bronił się przed chorobą. Kuźmin w „Mistrzu” jest przedstawiony z taką nienawiścią dlatego, że Bułhakow chciał policzyć się z zarozumiałym profesorem.

W czasie tych ostatnich tygodni często zaczynał mówić o Teatrze Artystycznym — „Dziwiał teatr” — mówiła Helena Sergiejewna — „a jednocześnie go nienawidził. Taki stosunek można mieć do ukochanej kobiety, która pana opuściła...”.

— „Teatr” — mówił Michaił Afanasiewicz — „to cmentarzysko moich sztuk i ja je zostawiam”.

Zdarzało mi się zabierać głos na wieczorach wspomnień o Michaił Afanasiewicz Bułhakowie, które organizowała Helena Sergiejewna: w Instytucie im. P. L. Kapicy w drukarni „Czerwony Proletariusz” i w innych miejscach. Sama Helena Sergiejewna nie wychodziła na scenę i nawet nie lubiła, kiedy zmuszali ją oklaskami do wstawiania: siedziała cicho i słuchała.

Pewnego razu, kiedy jedliśmy u niej kolację po takim wieczorze, zaczęła opowiadać. Kiedyś, już w czasie nasilającej się choroby Michaiła Afanasiewicza, powiedział do niej:

— „Widzisz, Lusia, wkrótce umrę, wszędzie zaczęła mnie drukować, teatry będą wyrzucać sobie moje sztuki i zaczęła cię zapraszać do snucia o mnie wspomnień. Wyjdź na scenę w czarnej sukni, z pięknym wycięciem z przodu, załamiesz ręce i powiesz: Odleciał mój anioł...”.

„I zaczęliśmy oboje się śmiać, tak bardzo nieprawdopodobne wydało się nam to wszystko... Niestety, stało się jak powiedział. I jak o tym wspomnę, nie mogę mówić”.

Na pięć dni przed śmiercią Michaiła Afanasiewicza Bułhakowa Helena Sergiejewna pochyliła się nad nim, widząc, że chce jej coś powiedzieć. „Mistrz, tak?”. — Wtedy przejechała się i przysięgała, że powieść wyda. Później kiedy sama zachorowała, bardzo bała się, że umrze nie spełniwszy danej Bułhakowi obietnicy.

W 1946 r. przez znajomą krawcową, pracującą w rządowym salonie mody, dowiedziała się, że sekretarz Józefa Stalina A. Poskribszew był na przedstawieniu „Puszkina” (Ostatnie dni) i sztuka mu się spodobała: że współzuciem mówił o Bułhakowie. Wtedy przekazała mu kartkę z prośbą o podanie do rąk własnych Stalina listu mówiącego o nie opublikowanej spuściźnie po Bułhakowie. Po miesiącu zadzwoniono do niej:

— „Wasz list został przeczytany, wydano pozytywną decyzję. Za dwa tygodnie proszę zatelefonować do Czagina (P. I. Czagin — wówczas dyrektor „Goslitizdatu”, on będzie o wszystkim poinformowany”.

— „Nie chodziłam, a fruwałam w owe dni” — opowiadała Helena Sergiejewna. Pojechała na daczę czekając aż miną wyznaczone dwa tygodnie. Aż tu nagle w gazecie decyzja o cenzurze „Zwiewda” i „Leningrad” — „Zrozumiałam, że wszystko się skończyło. Zadzwoniłam dla formalności i otrzymałam odpowiedź: „Nie czas na to”.

Dopiero szósta czy siódma jej prośba by wydać „Mistrza”, zakończyła się powodzeniem. Jakże się cieszyła, jak glaskała lilowe okładki miesięcznika „Moskwa”!

Do 1950 r. na grobie Michaiła Bułhakowa nie było ani krzyża, ani kamienia — jedynie prostokąt trawy z niezapominajkami i młode drzewo posadzone w czterech rogach pagórka. Szukając płyty lub kamienia Helena Sergiejewna odwiedzała szopy kamieniarzy i zaprzyjaźniła się z nimi, jak w ogóle szybko przyjaźniła się z prostymi ludźmi — malarzami, tynkarzami. Pewnego razu dostrzegła w głębokim wykopie wśród kawałków marmuru, starców pomników, polyskujący ogromny porowaty głaz.

— „A to co?”.

— „Golgota”.

— „Jak to Golgota?”.

Wyjaśnił, że na grobie Gogola w Klasztorze Daniłowym stała Golgota z krzyżem. Potem, kiedy na jubileusz Gogola zrobili nowy pomnik, Golgotę, jako niepotrzebną, wrzucili do wykopu.

— „Kupuję — nie namyślając się powiedziała Helena Sergiejewna.

— „Można?” — odpowiedziano jej — „Tylko jak go podnieść?”.

— „Róbcie jak chcecie, zapłacę... Będą potrzebne kłaki, róbcie kłaki od szopy aż do samego grobu... Trzeba dziesięciu robotników — niech będzie dziesięciu...”.

Kamień przewieziono, osadzono głęboko w ziemi nad urną Michaiła Bułhakowa. Sięła góra, sz krzyż, z usuniętą cytadą z Ewangelii — wyglądała brzydko. Wówczas cała bryła odwrócono. Kamieniarze nazwali ją „czarnomorskim granitem”. Według legendy, przyjaciel Gogola znalazł ją gdzieś na Krymie, a potem długo wieszono ją kołmi do Moskwy, by postawić na grobie Gogola.

— „Chyba tylko wojna atomowa” — mówiła Helena Sergiejewna — „bo żadna bomba Miszy nie dostępnie”.

Bułhakow pisał w liście do Popowa, wspominając Gogola: „...przykryj mnie swoim żelaznym płaszczem”. I tak się stało. Gogol oddał swój kamień Bułhakowowi.

Przełożył: EU. IWA.

Od kilku miesięcy nie obsadzone jest jedno z najbardziej eksponowanych stanowisk w Łodzi. Nie skutkują prośby, ani nalegania. Nie kuszą spore pieniądze. Nie pociągają splendor władzy. Osoby, którym proponowano tę posadę, zaczynają od stawiania warunków, proszą o dłuższy czas do namysłu, jakby nie o awans chodziło, lecz o katorgę. Czy naprawdę Łódź, jako jedyne miasto województwa w Polsce, pozostanie bez głównego architekta?

Tytuł głównego architekta miasta łączy się z pełnieniem funkcji dyrektora Wydziału Architektury i Urbanistyki Urzędu Miasta Łodzi. Jerzy Sadowski, poprzedni wieloletni główny architekt Łodzi, przeszedł w styczniu 1987 r. na stanowisko dyrektora w Biurze Programowania i Projektowania Rozwoju Łodzi. Od tego czasu — zauważają członkowie zarządu łódzkiego oddziału Stowarzyszenia Architektów Polskich — nie ma w mieście głównego architekta. Nie liczą oni okresu „rządów” dyrektora Janusza

UML, co widocznie ma dowodzić, jak bardzo szczególne, jak odrębne są wymagania, łączące się z tytułem głównego architekta i funkcją dyrektora naczelnego.

Gdy tylko zwołał się sejmik, w lipcu 1988 r. Urząd Miasta ogłosił jak najbardziej otwarty konkurs na naczelnego. Stosownie anons ukazał się w trzech gazetach, w tym jednej o zasięgu ogólnopolskim. Pomimo to, początkowo nikt się nie zgłosił. Dopiero po dłuższym oczekiwaniu znalazł się kandydat z Gdańska, a potem następny — z Rzeszowa. Nie udało namówić nikogo spośród 330 architektów, zrzeszonych w łódzkim oddziale SARP. Jest to z pozoru dziwne. Jednak tylko z pozoru. Konkurs był bowiem otwarty, ale krąg kandydatów — ograniczony w praktyce do kilku znanych w Łodzi nazwisk.

Tytuł głównego architekta nie jest w zasadzie przeznaczony dla młodych, zdolnych i bardzo ambitnych osób. Gdyby tak było, dałby się może sku-

do górnej granicy zarobków, nikt się głośno nie wypowiada, a plotek nie będziemy powtarzać.

Wiceprezydent oferuje także mieszkanie. Nie było tego co prawda w ogłoszeniu, ale jest gotów wystąpić o nie, gdy tylko znajdzie się ktoś odpowiedni. Mieszkanie jest ważne, lecz dla przybyśa z innego miasta. Na łódzianach nie robi to wrażenia, są „ustawieni”.

Większe wrażenie (odstraszające) robi na nich dobry zwyczaj, iż nie jest do pomyślenia, aby główny architekt dorabiał sobie prywatnymi zleceniami. Odstrasza również administracyjny charakter pracy w urzędzie, połączony z obawą, że człowiek wolnego zawodu stanie się niewolnikiem przepisów i ograniczeń, narzuconych przez oplakane możliwości finansowe i wykonawcze. Kto wie, może właśnie dramatyczna niemoc władzy sprawiła, iż wzgardzono tak prominentnym stołkiem.

miast coś zupełnie odwrotnego.

— Usłyszeliśmy — tłumaczy prezes łódzkiego oddziału, Krzysztof Muszyński — że gdy władze znajdą już kandydata, przedstawiony on zostanie Stowarzyszeniu do akceptacji, lub raczej tylko do prezentacji. Czyli, że władze nie widzą potrzeby uzgodnień.

Prezes i cały zarząd SARP zaambasowani są również poufnyimi negocjacjami. Przeszkadzają im one we własnych, samodzielnym poszukiwaniach:

— Znaleźliśmy się w dziwnej sytuacji — skarży się Krzysztof Muszyński — bo z jednej strony ogłoszono (bez naszej wiedzy) konkurs, a z drugiej strony doszły mnie słuchy, że rozmawia się z niektórymi spośród naszych członków. Jakże więc mamy typować własnych kandydatów, skoro władza czyni to za plecami zarządu?

Na zebraniu plenarnym OL SARP, w czasie którego omawiano powstały impas, panował nastrój bezradności, przyprowadzonej irytacji (na postępowanie Urzędu), a także pewnym zażenowaniem (wobec postawy własnych członków, którzy nie garną się do tegoż Urzędu). Najgłośniejszym jednak wyrażaniem się pretensji wobec władz administracyjnych Łodzi:

— Od 2, 3 lat trwa już prawie całkowity brak współpracy z władzami. Od kilku lat nie udało się zorganizować i doprowadzić do końca, ani jednego konkursu architektonicznego.

Padają przykłady. Osiedle „niskiej-gęstej” zabudowy, zaprojektowane w ramach programu rządowego, przeznaczzone do realizacji z funduszy „centrum” — pozostało na papierze, pomimo uzgodnionej już wstępnej lokalizacji w rejonie ul. Bema. Dziś, po latach, teren jest tam rozparcelowany pod budownictwo tradycyjne.

Drugi przykład: 1,5 roku temu Instytut Techniki Budowlanej zaproponował Łodzi organizację konkursu na energooszczędne osiedle mieszkaniowe. Przewidywano, że najlepszy projekt zrealizowany zostanie w ramach zabudowy działek pod Łagiewnikami. Niestety, wkrótce dopatrzone się nieprawidłowości w przydziale tych działek. Lokalizacja upadła, nie było gdzie budować, nie można było na czas ogłosić konkursu. Niedawno ITB przysłał zawiadomienie, że — wobec przedłużającej się zwłoki — rezygnuje z organizowania konkursu w Łodzi. Nie zlekali w tym czasie architektów warszawscy, którzy zdążyli zorganizować podobny konkurs — na wielorodzinny, energooszczędny budynek mieszkalny. Jednym z nagrodzonych projektów okazała się praca... łódzkich architektów. W ostatnich latach rozpisano 6 konkursów na tematy warszawskie, 5 w Krakowie, 3 we Wrocławiu, po 2 w Poznaniu, Szczecinie i Katowicach. W Łodzi — jako się rzekło — nie było ani jednego konkursu. Zachodzi jednak pytanie: kto jest temu bardziej winny — władza, czy może jednak sami architekci zrzeszeni w SARP?

— Wiem o tym, że w SARP narzekają na brak konkursów — informuje wiceprezydent. — Ale kto ma je inspirować, skoro nie ma głównego architekta? To należy przecież do jego obowiązków. A na kogo zważyć winę, że go jeszcze nie ma? Na Urząd? Proszę mi wierzyć — nikomu tak nie zależy, jak mnie, żeby znalazł się wreszcie chetny Najlepiej, aby był z Łodzi, bo przybyś z innego miasta będzie się musiał zbyt długo wciągać...

Poszukiwania trwają. Dołączył do nich niedawno Zdzisław Lipski, prezes oddziału łódzkiego Towarzystwa Urbanistów Polskich. Rozmawiał z kilkoma osobami — odmówił. Dziś prezes mówi, iż stał się pesymistą.

Architekci z SARP postulują, że wypadaloby poszukać nie tylko głównego architekta, ale i kandydatów na architektów dzielnicowych (w Łodzi) oraz miejskich (dla Pabianic i Zgierza). Łącząc się z tymi tytułami funkcje obsadzone są bowiem przez różne zawody (związane na ogół z budownictwem), lecz architekt nie znajduje się ani jednego, choćby i ze świecą. Podobno nie przeszkadza to specjalnie rozwojowi miasta Łódź i tak jest brzydka, obejduje się bez architektów w władzy.



Mówi: Bogna Sokorska

— Gratuluję 40-letniego jubileuszu 40-lecia pracy artystycznej. Swego czasu była pani u progu kariery światowej, ale w rezultacie zrezygnowała z roli następczyni Lili Pons. Czy nie żałuje pani dziś, z perspektywy czasu utraconych szans?

— Nie żałuję, bo chociaż dużo zrobiłam, to jednocześnie dużo straciłam. Na Zachodzie rządzą twarde prawa, do których nie mogłam się dostosować.

— Jak więc to właściwie było z zagraniczną karierą „Słowika Warszawy”?

— Wszystkie zarządził przypadek. Wyjechałam na koncerty do Anglii, gdzie za namową impresaria pozostałam pół roku. Tam zaproponowano mi siedmioletni kontrakt filmowy w charakterze śpiewającej aktorki. Było w nim zastrzeżenie, że muszę przebywać w Wielkiej Brytanii stale. W kraju zostawiłam męża i małe dziecko, a ambasada polska w Londynie odniosła się do sprawy negatywnie. Powróciłam do domu.

— A po powrocie?

— Wróciłam do niczego, z wyjątkiem serii koncertów po kraju ze znakomitym Tittio Schippa. Dorywczo współpracowałam z Operą Bałtycką. Inne teatry milczały. Na początku 1960 roku przyjechał propozycję Stanleya Barryego na występy we Francji.

— Jak powitał panią Paryż?

— Występowałam na licznych koncertach, w telewizji, dokonałam nagrań dla radia francuskiego. Odbijałam tournée po Francji i Belgii. Na festiwalu operowym w Vichy zaśpiewałam tytułową „Lakme”. Francuski okres wspominałam bardzo dobrze. — Ale najpoważniejszy okres w pani karierze stanowią występy w czołowych teatrach operowych RFN. Czego one panią nauczyły?

— Przez 8 lat byłam związana z Deutsche Oper, an Rhein w Düsseldorfie, dwa lata z Operą w Essen. Była jeszcze Breme. Gościłam śpiewałam na wszystkich większych scenach w niemieckim obszarze językowym. Nauczyłam się tam pracowitości i pokory w stosunku do muzyki. Tam zawsze trzeba być doskonale przygotowaną do próby. Do dziś przydają mi się te cechy.

— To dziwne, że w kraju nie chcieli skorzystać z pani talentu i umiejętności wykorzystanych za granicą?

— Ta sprawa do dziś nie jest dla mnie jasna. Był okres, że w ogóle nie śpiewałam w teatrze. Miałam za to bardzo dużo koncertów dla polskiej publiczności i przekonałam się, że ona o mnie nie zapomni. Do dziś śpiewam dużo. Jestem teraz niezależna.

— Sądzę pani, że śpiewaczka występująca wyłącznie na estradzie ma tam szanse na dalszy rozwój artystyczny?

— Jest to rzeczywiście inny gatunek, wymagający innych predyspozycji i nie każdy śpiewak operowy jest w stanie dać recital na estradzie. Najkrótsza pieśń ma dziewięć taktów, a w trakcie jej wykonywania trzeba dać cały wyraz artystyczny i musi być w nim wszystko zawarte.

— Na estradzie występuje pani w towarzystwie męża, pianisty, kompozytora i akompaniatora. Wydaje mi się, że taki układ prywatny jest szalenie korzystny dla śpiewaczki?

— Oczywiście i niejedna śpiewaczka zazdrości mi tego. Mąż jest ze mną od początku śpiewania i zna mnie najlepiej. W pierwszej kolejności jest kompozytorem i pisze dla mnie sporo utworów.

— A które z państwa podpowiedziało córce, żeby poszła w kierunku wokalistyki?

— To jakoś samo wyszło. Pamiętam, że Jagna słuchająca mojego wykładu na seminarium w Weimarze sama poprosiła o przesłuchanie i okazało się, że ma świetny głos. Ukończyła Akademię Muzyczną w Warszawie (przede wszystkim studiowała przez dwa lata japończykę) i jest do dziś na kontrakcie w RFN.

— Dlaczego nie w Polsce?

— Nie otrzymałam tu pracy, chociaż ma dyplom z wyróżnieniem. Musiałam więc na jej rzecz zrezygnować z kontraktu w RFN i poprosiłam zachodniemieckiego impresaria, żeby zajął się moją córką.

— Dla pani zaczęły się wędrownie po kraju?

— Bywa, że przez cały miesiąc nie mam koncertów, a zdarza się, że jest ich mnóstwo. Najtrudniejsze jest dźwiganie walizek, a najgorsze poranne expressy.

— Wiem, że otrzymała pani propozycję gościnnych występów w Teatrze Wielkim w Łodzi?

— W łódzkim teatrze zaśpiewałam recital. Zaproponowana mi partia Lucji z Lamermooru okazała się zbyt dramatyczna. Staram się zawsze pamiętać o swoich możliwościach głosowych i interpretacyjnych. Z przerażeniem patrzę na młode śpiewaczki wykonujące ekspresyjne arie, które nie pozwalają na właściwe prowadzenie głosu. Moją profesorką Ada Sari tłumaczyła, że należy śpiewać tylko procentami, a nie całym kapitałem. O służności tej zasady przekonałam się później na własnym przykładzie.

— Czyli oszczędza się pani?

— Nie oszczędzam, lecz przestrzegam, abym mogła śpiewać jak najdłużej.

— Jakimi zasadami stara się pani kierować w życiu?

— Staram się chodzić prostą drogą i być lojalna.

— Co ma dla pani prawdziwy sens i jest dla niej najważniejsze?

— Najważniejszy jest pokój na świecie i żeby można było spokojnie i zdrowo oddychać.

— Pamiętam, że dużą wagę przywiązuje pani do domu i rodziny?

— To największe dobro jakie nam pozostaje w życiu. Zawód i osiągnięcia to tylko dodatki.

— Dla wielu miłośników sztuki belcanta jest pani wciąż niezapomnianym „Słowikiem Warszawy”. Czego mogą oni spodziewać się po Bognie Sokorskiej?

— Słyszałam jak mówią, że teraz jestem „Słowikiem Polski”, bo w Warszawie śpiewam najmniej. Na każdym koncercie staram się pokazać coś nowego, wciąż poszerzam repertuar. Ale wśród życzeń na bis niepodzielnie królują „Odgłosy wiosny”.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Łódź jest i tak brzydka, po co więc architekci we władzach?

Nie chciany stolek

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Gawkowskiego, następcy Jerzego Sadowskiego. Stoją na stanowisku, że był to li tylko tymczasowy dyrektor wydziału, nie zaś główny architekt.

Wiceprezydent Łodzi Kazimierz Jujka nazywa ten pogląd grubym nieporozumieniem. Tytuł głównego architekta — wywodzi — zawsze i niejako automatycznie łączy się z funkcją dyrektora wydziału, i nie musi być to wcale zaznaczone na pieczęcie. Tak właśnie było w przypadku dyrektora Janusza Gawkowskiego, który odszedł dopiero w lipcu 1988 r., a więc — wnioskując wiceprezydent — głównego architekta nie ma w Łodzi od lipca, przez 4 miesiące, a nie od stycznia 1987 roku. Należy mu chyba wierzyć, skoro nikt inny, tylko właśnie wiceprezydent jest osobą najbardziej w tej sprawie kompetentną.

Jednakże różnica zdań w powyższej kwestii nie była zapewne przypadkowa, skoro w lipcu 1988 r. dyrektor Janusz Gawkowski odwołany został ze stanowiska, z powodu — jak to ujmuje wiceprezydent Kazimierz Jujka — iż „nie posiadał dostatecznych umiejętności współpracy z ludźmi”. Nie przeszkodziło to dyrektorowi Januszowi Gawkowskiemu w objęciu funkcji zastępcy dyrektora... tego samego wydziału

się któryś ze świeżo upieczonych magistrów, marzących o szybkiej karierze. Jednak posada ta, mająca w swym decyzyjnym zasięgu szereg dziedzin z zakresu budownictwa, nadzoru budowlanego, architektury, a zwłaszcza urbanistyki, powinna zostać objęta przez architekta znanego w środowisku, łączącego wysokie doświadczenie zawodowe (co idzie w parze z długoletnią praktyką) z umiejętnością kierowania ludźmi. Znalezione takich, ale zaczęli oni stawiać warunki.

Tak się bowiem składa, że architekci stanowią grupę wyjątkową spośród wszystkich zawodów inteligentnych w Polsce: zarabiają sporo, na ogół tym więcej, im bardziej są znani. Najbardziej znani, brani pod uwagę jako ewentualni kandydaci na eksponowane stanowisko, zarabiają z reguły tyle, że pensja oferowana przez Urząd Miasta jest dla nich śmieszna.

Wiceprezydent Kazimierz Jujka oferuje chętnemu zarobki (pensja ze wszystkimi dodatkami) w granicach 90 tys. zł miesięcznie. Tyle samo mniej więcej zarabia początkujący, ale obrotowy architekt, jeśli nie poprzestanie na pracy w biurze. Przeciętny architekt z przeciętnym stażem zarabia sporo powyżej 100 tys. zł. Co

Niektórzy — co prawda — nie odmówili od razu.

— Owszem byłbym gotów rozważyć na serio przedstawioną mi propozycję — powiedział jeden z kandydatów — gdybym mógł zachować pół etatu w biurze na dotychczasowym stanowisku. Wolalbym też, aby kontrakt był jedynie 3-letni, nie dłuższy.

Osoba ta przyznała się także, że powyższe warunki okazały się widocznie nie do przyjęcia, skoro po określonym przez układające się strony terminie nie zadzwonił ważny telefon z Urzędu Miasta.

— Wniosek jest oczywisty — mówi niedoszły główny architekt — najwyraźniej ze mnie zrezygnowano.”

Wiceprezydent twierdzi natomiast, że z nikogo przedwcześnie nie zrezygnował. Ma trochę żalu do architektów, choć z drugiej strony potrafi ich zrozumieć:

— Teraz majster w przedsiębiorstwie budowlanym zarabia więcej niż dyrektor w podległym mi wydziale.

Wiceprezydent nie rozumie jednak postawy działaczy SARP.

— Umówiliśmy się — powiedział — że przedstawia swoich kandydatów. Nikogo nie przedstawili, nie dotrzymali słowa. Działacze SARP mówią nato-



Foto: Grzegorz Gałusiński

Krajobraz

Nie myśl o ptaku — on ma skrzydła małe
ledwie powietrza dotknie
już nastaje cisza

Nie myśl o rybie — tak wtopionej w zieleń
że kiedy płynie
woda jej nie słyszy

Nie myśl o kwiecie — gdy motyl umiera
barwy powleją
jak niebo na wietrze

Nie myśl o drzewie — po trudzie siekiry
zostaje liśćmi
poraniona przestrzeń

A myśl o ziemi — trawa rośnie głucho
piach znieruchomiał
niechętnym milczeniem

I myśl o chmurach — deszcz wzbiera powoli
w ślepiach polu
suche tkwią kamienie

GŁOSNE KSIĄŻKI

Dla kogo hold
i uznanie

Z okazji 100 rocznicy urodzin Hansa Friedricha Bluncka w Republice Federalnej Niemiec ukazała się książka, pt. „Uduchowiony braterski świat” wydana nakładem Husum Druck — und Verlags-gesellschaft. Autorzy książki w pokorne i głęboko chylą czoło składając hold temu pisarzowi.

Kim był H.F. Blunck? Na to pytanie niewielu może już dziś odpowiedzieć. Przez powojenne lata przemilczano zarówno dorobek jak i nazwisko tego pisarza. Należał bowiem do czołówek... Hitlerowskich pisarzy. Tak bezgranicznie był oddany narodowym socjalistom, że usprawiedliwiał nawiązanie stosy płonących książek, uznanych za rozkaz Goebbelsa przez hitlerowski motloch za nadające się tylko na popiół. W nagrodę za manifestowany entuzjazm dla Trzeciej Rzeszy Blunck mógł wydać blisko 100 książek, otrzymać osobiste z rąk Hitlera medal Goethego i stanąć na czele nowo utworzonego, oczyszczającego z „obcych elementów” związku pisarzy hitlerowskich.

Jednakże największe zdumienie wzbudziło to, że słowo wstępne do tej ponurej książki (w której wspomnienia zamieszcza żyjący jeszcze, lub pokrewni ideowo niemieccy faszysti) napisał nie kto inny a prezydent międzynarodowego PEN Clubu Francis King, który nie może wyjść z podziwu dla czołowego hitlerowskiego pisarza, pisarza, który publicznie usprawiedliwiał także hitlerowskie agresje i zbrodnie w Europie. A już najbardziej zaskakuje słowa Kinga, gdy pisze: „Wszystko co czytałem piera Bluncka i co o nim” „Wszystko co czytałem” — to podziw dla tak nieustraszonego bojownika o prawa pisarzy, o międzynarodowe porozumienie i o pokój światowy.

Nawet dziennik „Frankfurter Allgemeine Zeitung” — jak pisze Eugeniusz Guz — tym razem nie może ukryć zdumienia i zaskoczenia panegrykiem szefa międzynarodowego PEN Clubu dla chluby pisarstwa hitlerowskiego. Dziennik napisał że mamy tutaj do czynienia z jednoznaczna próbą zaangażowania autorytetu międzynarodowego PEN Clubu dla udzielenia najwyższych świadczeń a potęgietycznej książce pochwalnej o pisarzu, którego Tomasz Mann nazwał w 1946 r. literackim eksponentem i notablen Trzeciej Rzeszy.

Sprawa ta wywołała w Bonn spore poruszenie. Przewodniczący zachodniemieckiego PEN Clubu Walter Jans skierował do F. Kinga list wyrażający najwyższe zdumienie, jego zaangażowaniem się po stronie czołowego propagatora reżimu hitlerowskiego. W odpowiedzi F. King wyjaśnił, że pisać laurkę nie bardzo wiedział „who is who”.

Oprac. M. Z.

Ukazał się drugi tom „Horyniekch” — sagi rodzinnej pióra Karola Józefa Stryjskiego. Obejmuje on piętnastoletnie niezwykłe brzemienie w skutki dla naszego narodu i państwa: od wybuchu drugiej wojny światowej po śmierć Stalina.

Historia pozostaje bez wątpliwa dziedziną bliższą sercu Stryjskiego niż literatura, stąd też nie bawiąc się w jakiegokolwiek eksperymenty artystyczne dąży on do oddania naj-

rodzinne, przestrzegając i chronologicznie, wyrażając fabularnej. Czytelnik odbiera tedy świat przedstawiony w identyczny sposób, w jaki jawi się on poszczególnym bohaterom — reprezentantom wielce rozgałęzionej rodziny Horyniekch. Suma ich przeżyć ma dać dopiero świadectwo prawdziwej historycznej lat 1939 — 1953.

Myślą przewodnią powieści Karola Józefa Stryjskiego stało się powiedzenie Ilii Erenburga:

Historia i logika

Istotniejszych spraw epoki, ściśle respektując wydarzenia. Fakt historyczny (bez względu na wagę) stanowi zwykle o toczkę powieściowych wątków, układających się w fabułę w zarysach znaną czytelnikowi z zasadniczo od początku — napisał ją przecież życie nie zaś autorska fantazja. Postaci autentycznych znajdujemy jednak w „Horyniekch” niewiele, przeważają postaci fikcyjne, a w ich losach — jak w zwierciadle — odbija się wydarzenia i procesy historyczne. Ta to bezpośrednia zależność oraz wierność wobec realiów powoduje, iż odebrać można powieść Stryjskiego jako swoistą ilustrację historii, zwłaszcza, iż zdecydowana większość spraw pozostaje bez komentarza. Inaczej mówiąc: Karol Józef Stryjski rozpisuje niejako wydarzenia historyczne na sytuacje

„Historia nigdy nie uczęszczała na wykłady z logiki”. Zgodnie z tą formułą wydarzenia historyczne pojmowane są jako przejaw potężnej, bezwzględnej, metafizycznej wręcz siły, działającej gwałtownie i na oślep. Niszczy ona nie tylko jednostkę — potrafi zniszczyć naród. Fatalizmowi dzieł przeciwstawiona zostaje siła ludzka jako wyraz organizacyjnej działalności ugrupowań politycznych (łącznie z działalnością zbrojną). Historyczne burze i zawieruchy jawią się więc w „Horyniekch” jako wypadkowe ścierania się zróżnicowanych postaw i interesów. Dla przykładu w rodzie Horyniekch postawę optymistyczną reprezentuje Maciej. Twierdzi on: „Rzeczywistość przytłacza nas i tłamsi, a my pragniemy ją zmieścić, a nawet walczyć z nią”. Na przeciwnym biegunie sytuuje się

Włodzimierz, dający ujście przekonaniu deterministycznemu. „Jak mało nasze losy zależą od nas samych i jak wiele musi się wydarzyć, aby to sobie uzmysłwić”. Dwa te krańcowe stanowiska wyznaczają skalę pojmowania historii w rodzinnej dyspucie Horyniekch.

Historia jawi się na kartach „Horyniekch” jako żywioł, nad którym ludzie usiłują zapanować. Z różnych powodów i dla różnych celów. Przeważnie decydują tu emocje — racjonalizowane najczęściej ex post, kiedy trzeba uzasadnić jakoś to wszystko, co się już dokonało bądź też jeszcze dokonuje. Nie ma więc i być nie może jednej, wszechogarniającej wersji historii — bo przecież historia to nieustający spór racji, ścieranie się poglądów, krzyżowanie sentymentów, gromadzenie spraw częstokroć bolesnych, powikłanych, niedonolitych. A gdyby nawet historia okazała się pilną słuchaczką wykładów z logiki — to i tak nie byłoby zapewne inaczej.

Bogata w realia, szanująca faktografię, dotykająca tak zwanych ostatnich u nas „białych plam” powieść Karola Józefa Stryjskiego warto wnikliwie przeczytać i przemyśleć.

TADEUSZ
BŁĄŻEJEWSKI

Karol Józef Stryjski, „Horyniekch”, Część II, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1988, s. 285, nakład 19 650 + 350 egz., cena zł 570.—

PESTKI
DYNI

Miał niezwykłą twarz. Lata dorzeźbiały do niej wciąż nowe bruzdy nie szpecząc, a uszlachetniając ją; tak się czasem dzieje z pejzażem, z piękną, starą architekturą. Lata i los narodu, do którego przynależał, Sandauer nazywał ją etlopią. Dla mnie była twarzą odwiecznego wędrowca. Wędrowca po cendrarowskim Kole Rzeczy. Był człowiekiem niezwykle dumnym, subtelnej natury i uciążliwie wrażliwego serca — jeśli się go dobrze znało, a miałem ten zaszczyt i tę przyjemność. Obcy sobie jawił się jako niezbyt sympatyczny, dość oschły, z dużym dystansem człowiekiem. Sandauer napisał kiedyś o nim, że przeszedł cały katalog cierpień i przemysłał kilka razy Dekalog tam i z powrotem. Takie było jego życie i taki jego człowieczy charakter.

Artur Sandauer zawsze mówił o nim ciepło. Mówił na przykład tak: — Jonasz Stern to ciągle bardzo dobry malarz. Nie wiem, jak on to robi... I nie było to gadanie przyjaciela o przyjacioł, żyda o Żydzie; to była opinia wielkiego artysty o drugim wielkim artyście.

Jak patrzę dzisiaj, z pewnej perspektywy na twórczość Jonasza Sterna — wiem, że tak naprawdę niewiele rozumiał o do końca. Niewiele wiedział, o co w niej naprawdę chodziło. Była to sztuka szlachetna i piękna — zatem wielu to wystarczało. Lecz — o ironio! — estetyzm był ostatnią rzeczą, o którą dbałby ten nieposiadający artysta, związany bardziej z czasem przeszłym niż z dniami dzisiejszymi, a z ten wycisnął nieodwracalnie piętno na jego sztuce, a i nieraz dawał się boleśnie we znaki.

Jonasz Stern studiował na ASP w Krakowie u Jarockiego, Pautscha, Arentowicza, Kamockiego; razem z Marią Jarema i innymi kolegami założyli „Grupę Krakowską”. Związany był z lewicą. W 1938 r. został aresztowany za działalność polityczną i znalazł się w Berezie Kartuskiej; zwolniono go na skutek protestów środowiska artystycznego i intelektualistów. W czasie okupacji przebywał w lwowskim getcie. Podczas jego likwidacji cudem tylko uniknął śmierci; pomógł go kule plutonu egzekucyjnego. Nocą wydosł się spod zwalut trupów i, przez Karpaty, uciekł na Węgry gdzie przebywał — pod zmienionym nazwiskiem — do końca wojny... Te przeżycia najpierw doprowadziły do artystycznej depresji, a w wiele lat później znalazł ponadczasowe uogólnienie w jego sztuce.

„Pracować impulsywnie pod wpływem nagłego doznania, wrażeń, przeżyć, mówić o sprawach ostatecznych — o śmierci, zniku, rozpamiętanie, stopniować nastroje od liryzmu po dramat, a równocześnie zachować spokój wewnętrzny, przestrzegać kanonów (...)” (M. Hermansdorfer). Artur Sandauer, przylotowy artysta, towarzyszył jakakolwiek wypraw, widział jego sztukę w o wiele szerszym kontekście: „Wzięmy plastykę Jonasza Sterna: w ostatnim okresie jej materiały to w zasadzie kości, ości, pióra rozmieszczone wśród pomniejszych płócien. Na takie uformowanie się tej twórczości wpłynęło w dużej mierze dzieciństwo. Najwcześniejszym alfabetem, jaki poznał były hebrajskie litery, odcisnięte w niezapamiętanych czasach to grubym, to cienkim końcem dła na glinianych tabliczkach. Kto wie, czy przed dłużej nie używano w tym celu rozsypanych po pustyni kości kłódnionych na płask lub odwróconych głowicami”.

W 1981 r. Stern odpowiedział na ankietę „Kulturzy”: — „Nie chcę się dać zaszklakować w żadnym kierunku. To, co robię, chce, aby było moją autentyczną wypowiedzią. Inaczej to wszystko nie miałoby sensu. Kierunki to jest wymysł krytyków. Picasso nie był kierunkiem. On był sobą”.

W tej samej ankiecie Stern tak się wyraził: „Jak mówimy o kulturze, to trzeba pamiętać, że najważniejsza jest kultura codzienna. Ale to nie znaczy tylko, że ktoś komuś miejsca w tramwaju ustąpi, albo powie dzień dobry. To znaczy, że w życiu musimy być świadomi, że jeśli ktoś mówi tak, to znaczy tak, a jeśli mówi nie, to znaczy nie. I żeby nigdy nie zapominać, że to, co jest prawdopodobne nie jest prawdą, a to, co jest prawdą, nie jest prawdopodobne — trzeba nam ostrzych rozgraniczeń, trzeba sprawdzenia czy to, o czym się dowiadujemy, jest rzeczywiście prawdą”. Pamiętajmy o tym artyście i o jego sztuce, bo warto.

Mahler i odwieczne problemy

Z okazji obchodzonego Międzynarodowego Dnia Muzyki odbył się w Kościele Ewangelickim św. Mateusza uroczysty koncert oratoryjny. Orkiestra symfoniczna i Chór Filharmonii Łódzkiej pod dyktando Tomasza Bugaja oraz dwie wybitne polskie śpiewaczki — Bożena Betley — sopran i Jadwiga Teresa Stepien — mezzosopran wykonały monumentalną II Symfonię c-moll Gustawa Mahlera. Ten żyjący w latach 1860–1911 austriacki kompozytor należał bez wątpienia do najciekawszych indywidualności europejskiej kultury muzycznej przełomu XIX i XX wieku. Spośród 10 symfonii, które skomponował, tylko cztery: pierwsza, piąta, szósta i siódma są utworami czysto orkiestrowymi. W pozostałych kompozytor zastosował głosy ludzkie — chór i solowe partie wokalne.

Najbardziej lubianym i najczęściej wykonywanym dziełem symfonicznym Mahlera jest ukończona w 1894 roku i zaprezentowana podczas wspomnianego wieczoru muzycznego II symfonia c-moll. Inspiracją dla kompozytora do stworzenia tego monumentalnego dzieła był chór. Kłopotliwa traktująca o zmartwychwstaniu, osobiste zainteresowania twórcy odwiecznymi problemami człowieka: śmiercią, zmartwychwstaniem i wiara w Boga. Wspomniany tekst wiersza posłużył Mahlerowi do stworzenia kantatowego finału który ma w tym dziele największe znaczenie ideowo-estetyczne.

II Symfonia jest dziełem bardzo rozbudowanym, zarówno pod względem rozmiarów — pięć muzycznych ogniw i 75 minut muzyki, jak i pod względem aparatu wykonawczego — szczególnie instrumentów dętych i perkusyjnych. Ciekawym szczegółem estetycznym jest zestawienie w toku całego dzieła różnych nastrojów i uczuć. Od lekkości i banalności, do kontemplacyjności i monumentalizmu. Część pierwsza — Allegro maestoso jest fragmentem, który cechuje uroczysta powaga. W usłyszanej interpretacji szczególnie wyraziście było brzmienie niskich instrumentów smyczkowych i dętych drewnianych — najbardziej fletów i fagotów. Następna część dzieła — Andante utrwamiana jest w zupełnie innym nastroju. Jest ona lekko instrumentowanym fragmentem o lirycznym charakterze.

W artystycznej kreacji filharmoników łódzkich

najbardziej muzycznie interesujące było piękne solo pierwszych skrzypiec. Trzeba także zwrócić uwagę na miękkie brzmienie fletów i klarinetów. Równie stylowo była podkreślona przez dźwięki rozmarzona barwa dźwięku.

Jedynym interpretacyjnym mankamentem tego fragmentu dzieła okazała się zapewne jego rozbieżność. Trzecia część symfonii — scherzo oparta jest na pieśni ludowej „Św. Antoni kładący do ryb”. Fragment ten cechuje nastroj rubasznego gromy. Dąło się to odczuć najbardziej w brzmieniu klarinetów fagotów i waltorni — przy czym ostatnia grupa instrumentalna strzelała trochę nieprecyzyjnie. Za to zwracało uwagę pełne brzmienie trabek i puzonów w tym samym fragmencie dzieła.

W przedostatniej części dzieła — „Przedświatło” kompozytor wykorzystuje tekst pieśni ze zbioru „Czarodziejski róg chłopca”. Jest to fragment o typowo modlitewnym i kontemplacyjnym charakterze. Należy w tym miejscu zwrócić uwagę na żarliwość śpiewu Jadwigi Teresy Stepien. Artystka ta wyjątkowo pięknie, z wyczuciem stylu i wielkim zaangażowaniem uczuciowym wykonała partię altu we wspomnianym ogniwie dzieła. W finale szczególny wyraz zyskały fragmenty wykonywane przez całą orkiestrę, obrazujące nadejście Sodu Ostatecznego. Wyjątkowa ekspresja estetyczna wykazywała tutaj grupy instrumentów dętych blaszanych i perkusji. Trudno było też nie zauważyć wielce ekspresyjnego brzmienia chóru i orkiestry — znakomicie oddającego odwieczne ludzkie problemy, jak i żarliwości obu wokalistek.

Nieco słabszym momentem finału było niezbyt wyraziście brzmienie trabek i waltorni, obrazujących w mahlerowskim dziele wezwania trąb Anokaliops.

Wysłuchana interpretacja muzyki Mahlera za sprawą tej wykonawców przyniosła słuchaczom nie tylko przeżycia estetyczne lecz pozwoliła też zastanowić się nad odwiecznymi pytaniami o istotę ludzkiego życia i śmierci.

PIOTR KUKIELKA

ANDRZEJ GRUN



Rys. Sławomir Łuczyski

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

ŻYCIE W RYTMIE
TANGA CZYLI
JERZY PETERSBURSKI

Urodził się w 1895 r. w Warszawie, w rodzinie z muzycznymi tradycjami. Studiował w warszawskim Konserwatorium, potem w Wiedniu, lecz nie pociągała go kariera „poważnego kompozytora”. Współpracował z licznymi w owych latach kabaretami muzyczno-literackimi jako akompaniator. W „Mirazu” a kompaniował samej Poli Negri, w „Czarnym kocie” zadebiutował jako autor piosenki „Wielka Teodora” do słów Tuwima i wreszcie pod koniec lat dwudziestych skomponował „Tango Milonga”, po którym świat oszalał. Z angielskim tekstem i pod tytułem „Oh, Donna Clara” tango Petersburskiego rozbryzmowało na wszystkich europejskich estradach, a na Broadwayu wykonywał je legendarny Al Jolson — pierwszy śpiewający z ekranu aktor filmowy.

Lata trzydzieste to jedno wielkie pasmo sukcesów. Powstają wtedy kolejne wielkie przeboje Petersburskiego: „Ostatnia niedziela”, „Już nigdy”, „Ja się boję sama spać”, „Odrobina

szczęścia w miłości” i „Tango andrusowskie”. Piszcie jednocześnie muzykę do głośnych w owym czasie filmów: „Królowa przedmieścia”, „Co mój mąż robi w nocy”, do operetek i musicali (m.in. „Robert i Bertram”). We wrześniu 1939 Petersburski znalazł się na terenach zajętych przez ZSRR, wtedy skomponował słynną „Niebieską chusteczkę”, która stała się w owym czasie nieomal piosenką narodową w ZSRR, i którą przypisywano Izaakowi Dunajewskiemu.

Petersburski wstępuje do armii gen. Andersa, w której służył w randze starszego sierżanta i pułku lotniczego II Korpusu. Po wojnie nie wrócił do kraju. Z Kairu przedostał się do Brazylii. Grał w nocnych lokalach i klubach. W Rio de Janeiro tworzył duet fortepianowy z twórcą „Czerwonych maków na Monte Cassino” — Alfredem Schnutem. Potem przeniósł się do Argentyny, gdzie wespół z argentyńskim poetą Mario Battistellim tworzył kolejne tango „Wszystkie drogi prowadzą do Buenos Aires”, które stało się przebojem i sygnałem wywoławczym miejscowej stacji radiowej. Po śmierci żony pisze swoje słynne „Placzące pianino”, załamany wraca do kraju pod koniec lat 60. Zmarł 7 października 1979 r. Jego muzyka jest wciąż grana i wciąż wzbudza emocje, zaś na-

pisane przez Petersburskiego „Tango Milonga” dla wielu do dziś uchodzi za niedościgły wzór.

JANUSZ OLEJNICZAK
O SOBIE

— W tym roku koncertowałem w Japonii — mówi laureat międzynarodowych konkursów, który występował już we wszystkich niemal krajach europejskich, a także z oceanem — dając kilka recitali w Tokio, dokonał także nagrań dla firmy „Yamaha Player”. Wcześniej ukazała się w Japonii moja płyta z nagrań dokonanych w Polsce przez wytwórnię „Wifon”. Moje kontakty z Krajem Kwitnącej Wiśni miały miejsce również w Polsce, prowadziłem bowiem kursy pianistyczne w warszawskiej Akademii Muzycznej, których słuchaczami byli Japonczycy... Z moich obserwacji wynika, że bardzo żywiołowo przyjmowane są koncerty we Włoszech, Argentynie, Brazylii, czyli przez typowych południowców... Podczas koncertów w Polsce mam niedługo wrażenie, że ludzie nie mają ochoty wyrażać publicznie swoich uczuć, że przychodzi na koncerty jakby nastawieni, żeby doszukiwać się samych niedoskonałości i potknąć wykonawcy... Przychodził się na świat z określonym, niejako z góry za-

programowanym usposobieniem, zdolnością reagowania na bodźce zewnętrzne, przeżywania wrażeń i emocji. Atmosfera domu rodzinnego sprzyjała rozwijaniu moich uzdolnień. Ojciec grał na fortepianie, matka również, a dziadek był zapalonym melomanem. W domu nigdy nie prowadzono rozmów na temat mojej przyszłości. Nie pamiętam też, abym sam dokonywał jakiegokolwiek wyboru, nosił się z podjęciem życiowej decyzji. Skoro w wieku 6 lat zacząłem mnie uczyć gry na fortepianie, wiadomo było, w jakim celu... Mnie się wydaje, że bez udziału w Konkursie Chopinowskim nie można w ogóle myśleć o udanym starcie, zwłaszcza w Polsce. Ten konkurs nobilituje, ale czy gwarantuje zrobienie kariery? Trzeba mieć dużo szczęścia, aby trafić na odpowiednich ludzi, którzy potrafią uformować osobowość młodego człowieka... Kształciłem się pod kierunkiem prof. Zbigniewa Drzewieckiego, przebywałem na studiach w Paryżu, m.in. u Witolda Małcużyńskiego. Skończyłem

Festiwal Prosnakowski

Jako „naturalny fundament, a jednocześnie elementarz narodowej kultury muzycznej” określił choralistykę Stanisław Wiechowicz, twórca silnie z tą dziedziną związany. Według Henryka Opieńskiego natomiast praca w zespołach śpiewaczych „to jedyna może praca, w której amatorowi dane jest służyć sztuce bezpośrednio, na równi z fachowym artystą muzycznym”.

Przytoczone stwierdzenia silnie akcentują rolę i rangę ruchu choralnego, zwanego też niekiedy śpiewactwem. Ma ów ruch nie małą tradycję artystyczną i patriotyczną również w naszym ośrodku — liczy to sobie bowiem sto lat z okładem. W 1876 r. powstał w Łodzi najstarszy dziś leciwy „Chór Polski”, przemianowany później na „Echo”. Dziesięć lat potem utworzone zostało kolejne stowarzyszenie śpiewacze — „Harmonia”.

Godne podkreślenia jest to, że i te stare, i nowe powstałe ansamble — dając swym członkom zadowolenie estetyczne i towarzyskie, kształtując wewnętrzną oraz społeczną dyscyplinę — nie tracą coraz rzadsze obecnie cechy czystego amatorstwa. Mają wciąż jeszcze walor bezinteresownego, a więc pozbawionego materialnych korzyści, kontaktu ze sztuką. A przecież „powszechne zabieganie, zaabsorbowanie sprawami codziennymi wywiera negatywny wpływ na psychikę i postawę ludzi — jak powiedział mi ostatnio prezes Polskiego Związku Chórów i Orkiestr, Kazimierz Stobiecki. — Jest coraz mniej czasu i ochoty na oderwanie się od bieżących zajęć, coraz trudniej też o jakąś bezinteresowną aktywność. Na szczęście są wciąż tacy, którzy chcą mimo wszystko muzykować, śpiewać. Naturalnie żeby „dać się w to wciągnąć” trzeba najpierw odczuć jakąś potrzebę. Tutaj otwiera się szeroki temat kształtowania nawyków aktywnego uczestnictwa w kulturze...”

23 października uczestniczyłem w pabianickiej sali widowiskowej przy ul. Orlej w V Festiwalu Pieśni Choralnej im. Karola M. Prosnaka. Przyjmuje, że brodzony w Pabianicach Prosnak (1876-1976) był cenionym kompozytorem i dyrygentem chórowym. Prowadził w tym mieście Towarzystwo Śpiewacze im. S. Moniuszki oraz „Lutnię”, a następnie „Echo” i „Harmonię” w Łodzi. Na poświęconym m.in. jego właśnie twórczości, jednodniowym festiwalu o pewnych cechach konkursu (wykonanie pieśni Prosnaka było obowiązkowe i punktowane, wyłoniono też bezprzysiężną młodsze, grupę zespołów najlepszych wystąpiło 9 chórów — 7 z województwa łódzkiego, ponadto po jednym z Kola i Tarnowskich Gór. Zespołów miało śpiewać więcej, jednak „kilka „nawaliło”. Poziom produkcji, jak zazwyczaj na tego typu przeglądach, był żrzołnicowy. Od interpretacji wzorowych po słabe, determinowane np. bardzo zaawansowanym wiekiem chórzystów lub mniejszymi umiejętnościami dyrygenta. Ogólne wrażenie było jednak dobre. Przewodniczący jury, doc. Tadeusz Blaszyk, dyrektor artystyczny Łódzkiego Oddziału PZChO, dziekan Wydziału Wychowania Muzycznego Łódzkiej AM, stwierdził: „Na uznanie zasługujące zaangażowanie władz Pabianic i tamtejszych społeczeństw, którzy przygotowali imprezę. Została ona rzeczywiście dobrze zorganizowana i umiejętnie połączona z 70 rocznicą odzyskania niepodległości. Pewnym minusem okazało się w praktyce powtarzanie przez różne zespoły tych samych pieśni K. Prosnaka. Myślę, że w przyszłości da się tego uniknąć choćby dzięki wydaniu przez opodroczone akurat 65-lecie, pabianickie Towarzystwo Śpiewacze „Dzwon” zbiorku Prosnakowskich pieśni. Pewną trudność stanowiło dla jury przyznanie nagrody za najlepsze wykonanie pieśni patrona festiwalu. Po dłuższej dyskusji przyznaliśmy tę nagrodę Chórowi Nauczycielskiemu z Łodzi za nadzwyczaj trudny utwór „Słowi i róża”. Najdojrzalszy muzycznie, łódzki chór „Harmonia” wybrał bowiem tym razem pieśń bardzo łatwą. Obradom jury przewodniczyłem już po raz drugi. Cenię ten festiwal. Na pewno szkoda, że nie zainteresowało się nim radio i telewizja”.

W grupie nagrodzonych chórów, poza wymienioną „Harmonią” pod dyr. doc. Henryka Blaszyka, „Dzwonem” kierowanym przez Mariana Strzelczyka i zespołem ZNP, prowadzonym przez Mariana Toronisa, znalazły się jeszcze: Towarzystwo Śpiewacze im. S. Moniuszki w Łodzi (dyrygent Henryk Karpiński) oraz, także łódzkie, Towarzystwo Śpiewacze im. K. Szymanowskiego (dyrygent Jan Przybylski).

Następny Festiwal Prosnakowski za 2 lata. Czy przybędzie na nim chórów? Czy pojawią się nowe? Zobaczymy.

JANUSZ JANYST

Godzi się skorzystać z klucza do sztuki, podziurkowanego przez samego autora (a w każdym razie nie bez jego zgody), w teatralnym programie, gdzie przedrukowano właśnie wywiad udzielony przez Jerzego Sitarza, zafascynowanego Marcellem Duchampem. To więc ten tytułowy „Marcel D.” współinspirował ruch dadaistów, inicjator stosowania w plastyce ready-meds, czyli dowolnych gotowych przedmiotów, jako tworzywa dzieła sztuki lub, jak kto woli, antysztuki.

Nie jedyny to zresztą patron, którego przywołuje Sitarz głosząc swe artystyczno-filozoficzne credo. Bo jeszcze Rene Magritte, którego obraz reprodukuje tenże program, artysta, który również otarł się o surrealizm, nim został propagatorem „antymalarstwa”.

W przedstawieniu pada też nazwisko Pollocka i komu z widzów dopadła intuicja, ten, aby się nie dać zawstydzić autorowi, zajął do książki „Od Maneta do Pollocka”, gdzie znalazł informację o trzech wymienionych i o niektórych innych.

Zżyłbym się na autora, że tak mnie uwikłał w detektywistyczne tropienie osób i kierunków na zdradliwych dla mnie nurtach plastyki współczesnej, po których Sitarz, plastyk z powołania i wykształcenia, pływa jak ryba w wodzie, a jeszcze dorzuca widziwi ze sceny aluzje do Mac Luhana, i to w angielskim brzmieniu. Złapałem wreszcie oddech przy Sartre i Debussis dzięki czemu mogłem swobodnie zastanawiać się nad tym oryginalnym eksperymentem teatralnym, jakim jest sztuka grana w „Nowym”.

Mimo początkowych zastrzeżeń i oporów przeciwko zbytniemu, a więc jakby snobistycznym odwołaniom, dalem się przekonać, iż warto było wystawić tę sztukę, poszukującą nowego sposobu komunikacji z widzem, wciągającą go w dialog na temat upodobań autora i jego niechęci (Sartre), w której fabularny pretekst nie liczy się z wymogami tzw. sytuacyjnego prawdomobilności, byle tylko zdołał zaciąknąć niezwykłością zdarzeń i przeżyć, tajemniczością...

Nie jest decydujące czy bohaterka prowadzi, jak tuja, zagadkowe monolog z sobą lub wymaginowanymi osobami, naprawdę kogoś oczekiwała, czy też nadal żyje tylko wyobraźnią.

Trudne więc role przypadły aktorom. Przede wszystkim wielopłaszczyznowe, finezjny i pełna niuansów okazała się kreacja MIROSŁAWY MARCHELUK, której swobodnie i z połotem partnerowali JAN W. PORADOWSKI i RYSZARD MRÓZ (gościnnie).

Scenografia (podporządkowana była tej samej konwencji umówień).

„Film — Klub”

Przytłaczającym wypożyczalnią w Łodzi kres położyła przed pół rokiem akcja milicyjna Właścicieli stracił filmy i zapłacił grzywnę za czerpanie zysków z udostępniania kopii bez praw licencyjnych. Ta oraz inne okoliczności spowodowały, że wydział handlu, zobligowany nadto decyzją Naczelnego Zarządu Kineematografii, wstrzymywał się z wydawaniem licencji na pośrednictwo w obiegu kaset. Aż w końcu odmowa gdańskich urzędników została zaskarżona do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Urząd przegrał dlatego że przedmiotem starań o zgodę była wideokaseta złożona z kopii filmów, nagranych prywatnie za pośrednictwem telewizji satelitarnej. Prawa autorskie dotyczą natomiast dzieł skopiowanych fabrycznie i w oryginalnych opakowaniach.

Gdy z łódzkiego krajobrazu zniknęły prywatne wypożyczalnie, pozostał tylko jeden wideoklub — w domu kultury na Górnej, dysponujący kilkuset tytułami zachodnimi. Jednocześnie w ŁDK, na miejsce zamkniętej wypożyczalni, grupa entuzjastów postanowiła utworzyć Łódzki Klub Miłośni-

ków Filma „Film-Klub”. Stowarzyszenie to zostało zarejestrowane 5 maja 1987 r. w Wydziale Społeczno-Administracyjnym UML, a pod koniec miesiąca rozpoczęło działalność.

„Film-Klub” skupia 100 członków, a jego wideoteka liczy 500 tytułów, wśród nich dramaty społeczne, „Dziwów i pół tygodnia” A. Lynne (USA), science fiction: „Interceptor” M. Martina (USA, 1987), „Kontrakt rysownika” P. Greenaway (ang), 1987), „2019” A. Morgana (USA, 1987) i przygodowy „Człowiek” M.J. Chomskiego (USA, 1986). Klub-wieczne wymieniali kasyety co drugi dzień — powiedział prezes Janusz Antosik a miesięczna opłata wynosi 3 tys. zł. Wyborc ułatwia pamięć „Commodore”, udostępnianego z racji sąsiedztwa przez spółkę komputerową „AS”.

W zamian za udostępniany lokal wychowankowie ŁDK będą mieli wolny wstęp na wideoprojekcje kina wersji oryginalnej. Prowadzone są rozmowy z ambasadami w celu pozyskania nowych pozycji. „Film-Klub” rozmawia również ze szkoła filmowa w sprawie udostępnienia rzućka wideo, umożliwiającego przeniesienie obrazu z taśmy magnetycznej na ekran kinowy.

W. KUPISZ

DWIE PREMIERY

Duchamp i inni

Nie wróżę trudnemu formalnie przedstawieniu oszołamiącego powodzenia, choć wnoszą ono do naszego życia teatralnego własny ton.

Jerzy Sitarz, „Bonjour Marcel D.” Reżyseria — Lucyna Mielczarek, scenografia — Jerzy Sitarz, muzyka — Marek Cholewicki. Premiera w Małej Sali Teatru Nowego.

ŁÓŻKO I ASTRONOMIA

Sztukę współczesnego jugosłowiańskiego autora w reżyserii Jugosłowiańska wystawił Teatr im. Jaracza.

Niemal od pierwszych scen toczy się bardzo osobisty porachunek bohatera ze światem, człowieka nieprzystosowanego do reguł życia codziennego, wymagającego od wszystkich szczerości, oddania, lojalności. Początkowo jesteśmy skłonni odnosić się do wewnętrznych rozterek Sitarza i jego nadwrażliwości ze zrozumieniem i a probata, jak do postawy, która w dziedzinie literatury rosyjskiej określana była jako „bogoskatełstwo” — poszukiwanie Boga, a więc jakiejś idei porządkującej, nadającej wyższy sens naszej egzystencji.

Jednak już w pierwszym akcie trudno oprzeć się wrażeniu, iż nasz bohater najcięższe zmagania toczy w łóżku, z ciągłym zmniejszaniem się, często przegadany partnerkami czego bym jako zamysłu autorskiego wcale nie lekceważył, gdyż w całkowitym zapamiętaniu się erotycznym wyzwalającym z konwencji, dochodzi się też do pewnego stopnia poznania siebie i zrozumienia z kaskadą. Rzecz w tym, iż poszukiwania i zawody Sitarza znajdują niemal całkowite ujście w gromkich tyradach i wybuchach wściekłości.

Owszem, w odróżnieniu od akcie drugim, kiedy wyzwolona z ciała dusza Sitarza przygląda się temu, co w warunkach wojennej próby stało się ze znanymi mu ludźmi, i jak przewrotnie złośliwego sensu mogą nabrać znane słowa, on sam zaczyna zdawać sobie sprawę z siebie, ale to przenikanie się czasu teraźniejszego z przeszłym, planu realnego z poezją, jest według wyobrażeń ludowych, jest

potraktowane w konwencji naiwnego realizmu sztuki nieprofesjonalnej, w duchu dydaktycznej opowieści o życiu źle przeżytym. ZDZISŁAWOWI BIELSKIEMU w roli Sitarza udało się uwiarygodnić, w granicach możliwości, duchowe rozterki tej zbyt rezoner-skiej postaci. HANNA BIELUSZKO natomiast, którą niejednokrotnie docenialiśmy i w kompletnym przyodziezwku, zyskała jeszcze ukazując swą nagość, na co nie każdy może sobie pozwolić. Wyrażała sylwetkę Ojca stworzył BOGUSŁAW SOCHNACKI, świadoma siebie emancypantką, pełną jednak kobiecości wykrociła MAŁGORZATA ROGACKA-WISNIEWSKA. Nie kończą się na tym role udane...

Dzięki gościnnej reżyserii z zadośćsądzenia musielismy skonstatować, iż nasi południowi pobratymcy obojętne poci manifestują orgazm znacznie namilniej, a w każdym razie doniośniej niż to bywa u nas, co ośmielał się suponować bez dostatecznych, być może, porównawczych doświadczeń. Ale dzięki temu nieustanna rotacja boba w I akcie nie odbywała się w deprymującej ciszy lub pruderyjnie tłumionych westchnieniach, lecz miała stosowny akustyczny wymiar i podniecający rytm.

A jak łatwo sztuka może zdeprawować, świadczy o tym, iż jednoznaczna wymowa astronomicznego terminu „czarna dziura” nie zadowoliła autora komentarza w teatralnym programie, który nie omieszczał na ten temat sobie poswawolił. Oj, świntuszek z pana!

Co do mnie, to czarno widzę, jak dotychczas, obecny sezon teatralny...

Goran Stefanowski, „Czarna dziura” (Czarna dziura). Przekład — Małgorzata Wierzbicka. Reżyseria — Jerzy Sitarz, scenografia — Grzegorz Matecki, muzyka — Piotr Harteł, Prawniera polska w Teatrze im. Jaracza.

JERZY KWIECIŃSKI

W. KUPISZ

Nagrobki dyrektorskie

LESZEK MARUTA

NAGROBEK NACZELNEGO DYREKTORA

Taki napis nagrobny ja bym mu położył: „To nie pierwszy naczelny, który się wyłożył”

NAGROBEK DYREKTORA MONOPOLU TYTONIOWEGO

Smutna prawda, Boże miły: SPORT — prowadzi do mogiły!

NAGROBEK DYREKTORA BROWARU

Wzór samokrytyki, godzien uwielbienia — Rzekł: — Tego pić się nie da! I umarł z pragnienia.

„Kuszenie na karuzeli”. Wyd. KAW Łódź 1983 r.



Na zdjęciu Mirosława Marcheluk.

Foto: A. Błoński

Kronika

JEDNYM Z GŁÓWNYCH AKCENTÓW łódzkich obchodów 70-lecia odzyskania niepodległości przez Polskę, będzie w dniu 11. XI br. wspólna uroczysta sesja Rady Narodowej m. Łodzi i Rady Łódzkiej PRON.

3 LISTOPADA BR. W HALI SPORTOWEJ PRZY AL. UNII 2 odbędzie się uroczystość jubileuszu z okazji 80-lecia Łódzkiego Klubu Sportowego. Przewidziane jest m.in. okolicznościowe wystąpienie prezesa klubu, mgr Zdzisława Kwapisza oraz dekoracja zasłużonych zawodników, trenerów i działaczy odznaczonych państwowymi i sportowymi. Tego samego dnia w Muzeum Sportu (ul. Worcelia 21) otwarta zostanie wystawa pn. „80 lat Łódzkiego Klubu Sportowego”.

Obchody jubileuszowe przebiegały pod patronatem Komitetu Honorowego, na którego czele stoi sekretarz KŁPZPR — Józef Niewiadomski.

W SZCZECIŃSKIM SĄDZIE — jak donosi łódzki „Express Ilustrowany” — zarejestrowana została spółka „Gustaw Securitas”, stanowiąca odpowiednik prywatnej policji i zarazem biura detektywistycznego. Ma być ona swoistym uzupełnieniem milicyjnych działań. Zajmie się ochroną powierzonych jej pieczy mieszkań, zabezpieczeniem mieszkań i kosztowności szczeni.

Zamierza w tym celu zatrudnić wysoko kwalifikowanych funkcjonariuszy urzędów spraw wewnętrznych, którzy przeszli na emeryturę, są jeszcze w pełnej sprawności i pragną w ten sposób dorobić.

UKAZAŁ SIĘ NOWY (za znacznym posilgiem), numer IV-V (310-311, 1987) „Wędrownika” — Biuletynu Zarządu Województwa Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Łodzi. Otwiera go pierwszy odcinek interesującej gawędy (interakcji) o ludziach związanych z przeszłością naszego miasta, znanego łódzkiego dziennikarza i prozaika Jerzego Urbankiewicza pt. „Ci z Piotrkowskiej”.

Na uwagę zasługują również ciekawy szkic Anny Piskorskiej o wybitnym łódzkim lekarzu społeczniku — Karolu Jonscherze. Autorka przytacza w nim m. in. mało dotąd znane, bardzo cenne informacje, uzyskane od Jadwigi Jonscherowej — synowej dr Jonschera.

Z pewnością wzbudzi też duże zainteresowanie wędrownika historyczna po piotrkowskich nekropoliach, piora Ryszarda Poradowskiego.

Ponadto polecamy lekturę artykułu Mirosława Zigmund-Wojaskiego, o pionierze kosmonautyki — Arym Sierafidzie.

Tym — z numeru na numer coraz ciekawszym unikatowym turystycznym periodykiem — (tytułowe słowo z nagłówku biuletynu) brzmie nader skromnie w zestawieniu z bogactwem prezentowanych treści) stanowiącym prawdziwą kopalnię wiedzy dotyczącej historii Łodzi i regionu, kieruje od października 1987 r. Anna Piskorska.

ANDRIEJ SACHAROW, wybitny fizyk — współtwórca bomby wodotowej, represjonowany za czasów Leonida Breżniewa, został wybrany członkiem Prezydium Akademii Nauk ZSRR.

STOWARZYSZENIE PLASTYKÓW AMATORÓW W ŁODZI zaprasza na wystawy: 1) „Międzywojewódzka konkursowa wystawa malarstwa nieprofesjonalnego Łódź i Kraków pt. „OCALIC NATURALNE ŚRODOWISKO” w Galerii TECHNIKUM-NOT (plac Komuny Pańskiej 5). Ekspozycja czynna będzie do 5. XI br. w godz. od 14 do 18. Wystawie towarzyszy katalog; 2) Wystawę malarstwa Stowarzyszenia Plastyków Amatorów w Łodzi, zorganizowaną dla uczczenia 70-lecia odzyskania niepodległości przez Polskę — Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego — Oddział Muzeum Ruchu Młodzieżowego, przy ul. Gdańskiej 107. Ekspozycja będzie czynna do 7 grudnia; 3) „Wystawę plenerowo-przeładowa malarstwa nieprofesjonalnego Łódź za rok 1987”. Otwarcie wernisażu nastąpi 13 grudnia br. o godz. 17 w Dzielnicowym Domu Kultury „LUTNIA” (w Galerii IN BLANCO). Ekspozycja czynna będzie do końca grudnia.

JEDNA Z NAJCIEKAWSZYCH IMPREZ towarzyszących zakończeniu w Turynie Międzynarodowemu Festiwalowi Młodego Kina był retrospektywny przegląd filmów polskich, powstałych w latach 1956-1970. W spotkaniach z publicznością i dyskusjach „okrągłego stołu” uczestniczyli również polscy reżyserzy, m.in. Wojciech Has, Kazimierz Kutz, Krzysztof Zanussi i Henryk Kluba.

ZNANY POLSKI REŻYSER JERZY SKOLIMOWSKI, mieszkający obecnie w Anglii, zaangażował do „węgła nowego filmu” kręconego we Włoszech, cygański zespół pieśni i tańca „Roma”. Odtworzy on scenę cygańskiego wesela z XIX wieku.

FILM TOMASZA ZYGADŁY „PRZEWODNIK”, zrealizowany w okresie stanu wojennego, którego bohaterem jest Piotr Skrzynecki — legendarna postać krakowskiej „Płwicy pod Baranami” — został dopuszczony do rozpowszechniania w DKF i kinach studyjnych.

DYREKTOR HANDLOWY „PEWEXU” MAREK PIETKIEWICZ — zapowiedział wprowadzenie w placówkach tej firmy sprzedaży dolarowo-złotówkowej oraz ratalnej.

NAKLADEM PAŃSTWOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO ukazał się niebawem powieść tegorocznego laureata Nagrody Nobla w dziedzinie literatury — Egipcjanina Nadzi Mahfuz.

Akcie jej rozgrywa się w starożytnym Egipcie.

TYSIĄCE MIESZKAŃCÓW NOWEGO JORKU wzięło udział w tradycyjnej ulicznej paradzie, dla upamiętnienia 496 rocznicy odkrycia Ameryki przez Krzysztofa Kolumba.

MICK JAGGER, sławny wokalista Rolling Stonesów, wystąpił z koncertem w Sydney. Zapowiedział też występy całego zespołu w 1989 roku.

NAGRODĘ IM. ZBYSKA CYBULSKIEGO, przyznawaną co raz dwudziestą przez redakcję tygodnika „Ekran” dla wyróżniających się młodych aktorów filmowych, otrzymała Adrianna Biedrzyńska.

W GALERII PWSFTVIT (ul. Piotrkowska 138/139) czynna jest wystawa „Popiół i diament” — Andrejewski-Cybulska-Wójcik-Wajda. Przygotowana przez Muzeum Kineematografii w 30-lecie nakręcenia „Popiołu i diamentu”.

Opracował: JAK

Nadżib Mahfuz, tegoroczny laureat Nagrody Nobla — to współczesny pisarz egipski. Urodził się w 1912 roku w Kairze. Po ukończeniu studiów filozoficznych poświęcił się literaturze. Jest twórcą kilku znanych powieści historycznych, ale w późniejszym okresie jego pisarstwa zaczyna dominować nurt społeczno-obyczajowy. Nadżib Mahfuz jest uważany za twórcę egipskiej realistycznej powieści współczesnej. W tytułach jego powieści powtarzają się nazwy uliczek i dzielnic Kairu. Największy rozgłos przyniosła pisarzowi trylogia, której tytuły również są nazwami ulic starego Kairu: „Bajna Kasraja” (1956), „Kasr asz-Szauk” (1957) i „As-Sukarija” (1957). Jest to rodzaj romansu obyczajowego ukazującego życie rodziny egipskiej na tle przemian społecznych i światopoglądowych. Za tę właśnie powieść pisarz otrzymał wysoką nagrodę państwową.

Czas najwyższy, ażebyś się czymkolwiek zajął! — powiedziała któregoś dnia moja mama i włożywszy rękę do kieszeni dodała: — Masz tu piastra, idź po boby. Wzięłam oburącz talerz i podspiewując wyszedłam do drzwi. Przed sklepikiem, w którym sprzedawano boby, zebrał się cały tłum. Musiałem długo stać w kolejce, wreszcie dotarłem do marmurowego blatu i krzyknąłem cieniutkim głosem: — Wujaszku, poproszę bobów za jednego piastra! Zapytał pośpiesznie: — Jakich bobów? Gotowanych? Z oliwą czy ze smalcem? Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, a on krzyknął na mnie niegrzecznie: — Odejdź-no od lady! Cofnąłem się zmieszany i wróciłem do domu z pustymi rękoma. Zobaczywszy mnie matka zawołała: — A cóż to wróciłeś z niczym? Wysypałeś pewnie boby po drodze albo może zgubiłeś pieniądze, urwisie? — Nie powiedziałaś mi, jakie boby mam kupować z oliwą czy ze smalcem?

NADŻIB MAHFUZ

Kuglarz ukradł talerz

— Ach, skaranie! A czym ja cię karmię co rano? — Nie wiem. — Jakis ty nierozgarnięty! Idź i powiedz mu: z oliwą. Znowu pobiegłem do sklepu i tym razem powiedziałem: — Wujaszku! Poproszę boby z oliwą za jednego piastra! — Z jaką oliwą? — spytał z niezadowolaniem — z bawelnianą, kukurydzianą czy z oliwką? Zmieszalem się, bo znowu nie wiedziałem, co odpowiedzieć, a on krzyknął: — Nie przeszkadzaj! Odejdź od lady! Onieśmielony i zbity z tropu wróciłem do domu, do mamy. Na mój widok matka ze zdumienia klasnęła w dłonie: — Co, znowu nic? Przylazłeś bez bobów i bez oliwy? Rozgniewałem się: — Przecież nie powiedziałaś mi, jaka ma być ta oliwa bawelniana, kukurydziana czy z oliwek! — Jak mówię, że z oliwą, to znaczy, że z bawelnianą! — A skąd miałem wiedzieć! — Skaranie boskie! A z tego sklepikarza to też zakuta pała! — zawyrokowała moja mama posyłając mnie znowu po boby. Tym razem krzyknąłem od progu: — Poproszę boby z bawelnianą oliwą, wujku! Zbliżyłem się dysząc ciężko do marmurowego blatu, do którego ledwie sięgałem głową i powtórzyłem z tryumfem: — Z bawelnianą oliwą, wujku! Zanurzył czerpak w kotle, — Dawaj piastra. Włożyłem rękę do kieszeni, ale kieszeń była pusta. Zacząłem gorączkowo poszukiwania, wywróciłem kieszeń na ze matraz, piastra jednak przepadł bez śladu. Wyciągnąwszy z kotła pusty czerpak sklepikarz rzekł znużonym głosem: — Posiadasz tego piastra, głupie chłopczyśko! Popatrzyłem pod nogi, obmacałem oczyma podłogę i wymamrotałem: — Wcale nie posiadam. Miałem go przez cały czas w kieszeni. — Odejdź od lady i błagaj Allacha, ażeby pomógł ci znaleźć pieniądze. Wróciłem do matki z pustym talerzem. Krzyknęła rozeźlona: — Ależ skranie mam z tobą, samo utrapienie! Prawdziwy bałwan! — Ale piastro... — Co, piastro? — Nie ma go w kieszeni... — Kupiłeś pewnie cukierki? — Nie, Allah mi świadkiem! — Więc gdzie się podział? — Nie wiem. — Przysięgnij na Koran, żeś go na nic nie wydał! — Przysięgam. — A może masz dziurę w kieszeni? — Nie, coś ty mamol! — A może oddałeś go sklepikarzowi, kiedy przychodziłeś do niego, po raz pierwszy lub drugi?

— Możliwe... Nie pamiętam... — A czy ty w ogóle o jakkolwiek pamiętasz?! — Tak, że jeść mi się chce. To pamiętam. W tym momencie mama zatamowała rece. — I co mam z tobą począć? No, dobrze, dam ci jeszcze jednego piastra, ale wydobądź go z twojej skarbanki. Lecz jeśli znowu wrócisz z niczym, dostaniesz łanie! Pobiegłem czym prędzej marząc o smacznym śniadaniu. Na zakręcie, w pobliżu sklepu, zobaczyłem cały tłum dzieci. Dotarły do mnie ich radosne okrzyki. Moje nogi postąpiły jeden krok do przodu, lecz serce było już tam, z nim. Tak bardzo chciałem popatrzeć! Przecisnąłem się przez tłum i nagle ujrzałem przed sobą... kuglarza. To ci niespodzianka! Zacząłem gapić się zapomniawszy o bożym świecie na sztukmistrza, który wyczyniał najróżniejsze cuda ze sznurkami, z jaskami, królikami i żmijami. Kiedy kuglarz zaczął zbierać pieniądze, cofnąłem się i wyszeptałem: „Nie mam nic!”, a wtedy on rzucił się na mnie jak

wściekła bestia. Z trudem wyrwałem się i uciekłem, choć na ostatek dostawałem jeszcze mocnego szturchańca w plecy. Ale i tak byłem w siódmym niebie. Przybiegłszy do sklepu wypaliłem: — Poproszę o boby z oliwą, wujku! Popatrzył na mnie nie ruszając się z miejsca. Kiedy znowu powtórzyłem swoje żądanie, wycedził poprzez zęby: — Dawaj talerz! — Talerz? — A gdzie... gdzie jest ten talerz?... myślałem gorączkowo. Może upuściłem go, kiedy uciekałem? A może ukradł go kuglarz?

— Tobie, mały, naprawdę brak kilku klepek! Powlokłem się z powrotem, by szukać talerza. W miejscu, gdzie przed chwilą stało tyle ludzi nie było już nikogo, ale nie opodał słyszało się odgłosy gwaru i tłumu. Zbliżyłem się do zbiegowiska dzieci i obszedłem je dookoła. Zobaczywszy mnie kuglarz krzyknął groźnie: — Płać albo zjeżdżaj! — Mój talerz! — zawołałem z rozpaczą w głosie. — Jaki znowu talerz, synu szatana! — Proszę oddać talerz!

— Spływaj stąd, ale już, bo poszczuję cię żmijami! Jasne, że to on ukradł talerz... Niemniej poszedłem precz. Przestraszyłem się jego podłej srogości i rozplakałem się z żalu. Jeśli przechodnie pytali mnie, dlaczego płaczę, odpowiadałem: — Kuglarz ukradł talerz! Wreszcie przypomniałem sobie o swojej mamie. Serce mi się ścisnęło. Z głośnym płaczem ruszyłem do domu: to jest wypróbowana metoda do jakiej uciekałem się, ilekroć chciałem uniknąć łania. Balem się tylko, że mama odgadnie ten podstęp. Okazało się jednak, że nie ma jej w domu. Zajrzałem do kuchni, do sypialni. Dom był pusty. Dokąd poszła? Kiedy wróci? I wtedy przyszła mi do głowy zbawien-na myśl. Po cichu wzięłem z kuchni inny talerz i znowu wyparowałem się do sklepu.

Sprzedawca spał na ławce przed sklepem przykrywszy twarz rękawem. Kocioł z bobami zniknął, butelki z oliwą ustawiono na półce, a marmurowy blat błyszczał czystością. Powiedziałem szeptem: — Wujku... Odpowiedział tylko donośne chrząknięcie. Lekko dotknąłem ramienia sprzedawcy. Poruszył się niespokojnie i otworzył oczy zaczerwienione od snu: — Wujku... — powiedziałem jeszcze raz. Obudził się wreszcie, poznał mnie i wymru-czał z niezadowolaniem: — Czego tam znowu? — Bobów za jednego piastra... — Co?! — Oto piastra, a tutaj talerz. Wtedy się rozezielił: — Czyś ty już całkiem zgłupiał? Wynos się pókiś dobytek!

Nie ruszałem się z miejsca. Wówczas po-pchnął mnie i to tak mocno, że nie zdołałem utrzymać się na nogach i upadłem na wznak. Podniosłem się z trudem powstrzymując pie-kące oczy i z. W jednej ręce wciąż jeszcze trzymałem talerz, w drugiej — piastra. Spoj-rzałem na handlarza z nienawiścią i nagle z całej siły cisnąłem w niego talerzem. Talerz u-godził go prosto w głowę, ja natomiast wzię-łem nogi za pas. Nawet się nie obejrzałem. Wy-dało mi się, że go zabiłem. Zatrzymałem się dysząc ciężko dopiero przy jakimś starym mu-rze. Popatrzyłem za siebie — nikt mnie nie gonił. Złapałem dech i zacząłem myśleć o tym, co robić dalej. Nie zdecydowałem się na powrót do domu bez drugiego talerza. Sprano by mnie bezwarunkowo. Ażeby oddalić ten przykry mo-ment, zacząłem beczelowo włożyć się ulicami. Chodziłem tak, dopóki się nie zmęczyłem. Za-trzymałem się i ze zdziwieniem stwierdziłem, że znajduję się na skrzyżowaniu, w pobliżu ja-kichś dziwnych wrót. Nie byłem tutaj nigdy przedtem i nie wiedziałem, gdzie jest mój dom. Po obu stronach wrót siedzieli ślepi żebracy, a ludzie mijali ich obojętnie. Zrozumiałem, że strachem, że zbłądziłem i że czyha na mnie cały ogrom niebezpieczeństw, zaim zdołałem znaleźć drogę do domu. Może zwrócić się do pierwszego z brzegu przechodnia i spytać go, dokąd mam iść? A co będzie, jeżeli znowu tra-fię na kogoś takiego, jak sklepikarz albo ku-glarz? Czyż zdołam rozpoznać, jaki kto jest i jak należy z nim rozmawiać? Czy będę umiał wydstać się stąd sam, bez niczyjej pomocy? A może będę błąkał w poszukiwaniu swej gwiaz-dy orzawodniej?

Tymczasem dzień zbliżał się już ku końcowi, a noc porzuciwszy swoją jryfówkę, poczęła schodzić na usypiającą ziemię.

Przekład z arabskiego: ELEONORA KAPUK

Moskiewska ulica

BORYS JAMPOLSKI

„Moskiewska ulica” to powieść Borysa Jampolskiego (1912—1972) napisana w latach 60., a drukowana dziś po raz pierwszy przez radzieckie czasopismo literackie „Znaniya”. Opowiada ona o mieszkańcach jednego domu na Arbatie i może dlatego jest kojarzona z „Dziećmi Arbatu” Anatolija Rybakowa. Są to jednak dwa zupełnie różne utwory. Borys Jampolski opiera się na wybranych realiach historycznych, rekonstruuje atmosferę tamtych czasów, Rybakow natomiast w dokumentalnie niemal odtworzone realia historyczne wpisuje dzieje swych bohaterów. Akcja „Dzieci Arbatu” toczy się w 1934 roku, kiedy represje dopiero zaczynają się bohaterowie Rybakowa siłą rzeczy nie mogli mieć pełnego obrazu stalinizmu, zaś Jampolski pisze o aresztowaniach w 1952 roku, a jego bohaterowie przeżyli już represje lat 1937—1938 oraz rok 1949. Mają więc dojrzały stosunek do tej epoki.

W dorobku literackim Borysa Jampolskiego (autora takich książek jak: „Doroga ispytanyj” (1955), „Małczyk z Golubinoj ulicy” (1959), „Motodoj czelowiek” (1963), „Wolszebnij fonar” (1967) i wielu opowiadań i powieści drukowanych na łamach czasopisma „Znaniya”) — „Moskiewska ulica” uznawana jest za najlepszy utwór tego autora.

Całość składa się z 13 rozdziałów.

A. A.

Co się wtedy stało? Co się wydarzyło w tym wysokim i czystym jak krematorium gabinecie, kiedy wy-czytano moje nazwisko? — Aresztować!

I młody lejtnant, zupełnie jesz-cze zielony, zaraz po szkole, ożeniony z mosk-wianką, nawet bez mieszkania, mieszkający na razie z teściami, szwagierką i jej dziećmi w maleńkim kwaterekowym pokójku za szafą, a przy tym bardzo skrupulatny, w białym pod-piętym kołnierzyku, nawet poperfumowany, od-łożywszy książkę, swoim młodym i pewnym charakterem pisma, za który zapewne trafił na tę posadę, rozkoszując się, wypisał przepiękny nakaz. No i to autentyczne dzieło kaligrafii, podpisane przez naczelnika, którego podpis przypominał bieg pędzącego pociągu, potwier-dzone przez nadzorną instancję, której podpis tym razem był ozdobiony zakrętasami, a do-stojnik był tak wysoki, że nawet nie podał swojego nazwiska, tylko skreślił jakiś hieroglif: „zgoda”, zarejestrowano w księdze i odprawio-no, gdzie trzeba.

A może było tak. Poprzedniego dnia na dzie-dzińcu zjawił się ustawiaacz.

— Jak tam, stara kurwa Fortunatowa pro-wadzi jeszcze to oszrocznie? — pyta.

— Czasami — ostrożnie odpowiada dozorca Owidiusz, który dostał wczoraj od Zoji Fortu-natowej pół litra świeżego denaturatu.

— A Muzyczuk, ta małpa zielona? — konty-nuuje ustawiaacz.

— Zapil się na śmierć — wesoło informuje Owidiusz, zły, że Muzyczuk sam wypija wszy-stko do dna, nawet popatrzyć nie da, a potem sam odnosi butelki.

— No, a ten ty — bezmyślnie pyta usta-wiaacz. — Kudłaty...

— Który? — udając głupka pyta Owidiusz.

— No ten dumny, uczony, ciągle zapominam jak się nazywa, jakoś na K.

— A, ten — załapuje wreszcie Owidiusz. — Od trzech dni go nie widziałem.

— Nie nocuje?

— Może jest w delegacji? — przypuszcza Owidiusz.

— W terenie — dodaje ustawiaacz.

No i podpułkownik, major, a może nawet kapitan nie patrzeć i nie zastanawiając się dłu-go, przekreślił nakaz, czasowo, i był to znak — zygzak na miarę zygzaków Stworzyciela, linia od niebytu do życia, a między nimi otęczał, brak wszelkiego pojęcia.

Potem zjawiła się nowa paczka, nowi i wczorajsi wrogowie, którzy dzisiaj nie mają już nic do powiedzenia, nie liczą się w nowej koniunk-turze, nie wlicza się ich do statystyk, nagród, poparć ani rekompensat.

Albo, może było tak:

— Wszystko zajęte, wóz służbowy, transport, samochody.

No i wtedy ten w stalowej bluzie, w tej lep-szej kowarkowej bluzie, pachnący perfuma-mi „Chypre”, jakich używa góra dowódców spraw wewnętrznych, mimochodem, niedbale rzucił:

— Skreślić!

No i to twarde, krótkie słowo, jedno z dwu-dziestu dwóch tysięcy współczesnych rosyjskich słów, nie lepsze i nie gorsze od innych, które oczywiście podobnie jak wszystkie rosyjskie słowa, ma swoją etymologię, rdzeń, odmianę, prefiks, sufiks, wypowiedziane w trybie rozka-zującym właśnie w tym wysokim i czystym ga-binecie nieczym słowo Boga przywróciło mu życie.

ARBAT

Dzisiaj, gdy tak niepodzielnie panuje pro-spekt Kalinina, Arbat stał się cichutką zapom-

nianą uliczką, gdzie piesi niczym w Złobieniu czy Kobiakach drepczą i przebiegają, ale kie-dys nie była to zwykła droga, podobno sam Józef Stalin jeździł nią na pobliską daczę.

Stary Arbat — z zaułkami: Kriwokolennymi, Nikołajewskimi, Sieriebriannymi, Młoczał-wką i placem Sobak, z Siwcewem Wraż-kiem i z cerkwią Borysa i Gleba, ze wszystki-mi pałacami i jesińpańskimi domostwami, z mocno poszarpałymi barakami z czasów pier-wszych pięciolatek, z betonowymi pudełkami, z raz na zawsze ustalonymi zapachami, ze swoi-mi staruszkami, w salopach i w kapelusikach, z pionierami w czerwonych krawatach — sta-ry Arbat był swoim własnym i tylko tu obo-wiązującym stylem życia, gdzie każdy dom, każde drzwi i każde okno było „zarejestrowa-ne” i gdzie wszyscy o wszystkich wszystko wie-dzieli.

Poczynając od „Pragi”, która od dawna nie była już „Pragą”, tylko skupiskiem biur i urzę-dów, z zabitym deskami głównym wejściem, nagim dachem, gdzie jeszcze długo po wojnie wałaly się łuski baterii przeciwlotniczych, i gdzie zdążyło się narodzić i wychować pokole-nie nie mające zielonego pojęcia o tym, że tu właśnie mieściła się słynna restauracja „Praga” — tak więc poczynając od „Pragi” aż po „Ga-stronomię” na Smoleńskiej, ulica miała całkiem inny charakter. Wesoły sklep z kapelusiami, na rogu Sieriebriannego zaułka sklep piśmien-no-papierniczy (pachnący szkołą, przyborami kreślarskimi i czystym papierem w linie), „Die-kiej mir” z pyzatymi, kolorowymi matroszka-mi i sklep zoologiczny (z pomarańczowymi ryb-kami w akwariach, z zapachami pomiotów i puchu ptasich męczarni), i antykwaryczny (ze złotymi wazami i figurkami egipskich fara-onów i rzymskich legionistów), i oddawany po nalcie teatr Wachtangowa (z afiszem „Dwaj werończy”), i kino „Junij zritel” (z reklamą filmu „Kłatwa”), a nad tym wszystkim niewi-dzialna maska powtarzających się obrzędów, wzdłuż całej ulicy niemy, nie kończący się łań-cuch: zima w botach i w kostiumie, a latem w koszuli z szeroko wywinętym kołnierzem i w sandałkach z dziurkami. W zamieść i w deszcz, gdy na świecie mgła i gdy zakwitają bzy, gdy kwitną jaśminy i gdy leka liście, o świecie, i gdy ruszają pierwsze trolejbusy, za-równo w godzinach szczytu, jak i w porze tea-tralnych spektakli, w godzinach wizyt inkase-nów, i w noc noworoczną, w paschalną, i w pierwszomajową, wczoraj, dziś, jutro — zawsze — nie kończący się, niemy łańcuszek.

A ci stali wzdłuż całej ulicy, w zaułkach albo przy bramach, unikając światła latarni, i udając mieszkańców domów patrzyli na ulicę. Stali samotnie, oddzielnie, autonomicznie, jak-by przypominając sobie o czym zapomnieli. Ca-łą noc i cały dzień stali i przypominali sobie, o czym zapomnieli. Aż nagle dostawali dresz-czy. Na wszystkich rogach zapalały się jedno-cześnie czerwone światła, a w wielkich meta-lowych pudłach ryczały milicyjne telefony, ca-ły łańcuszek wychodził na krawędź trotuaru i jakby środkiem ulicy przebiegał niezolowany przewód, cały Arbat ze swoimi wityrnymi ma-nekinami, ufrzowanymi główkami, dzwonkami, atrapami, złotymi rybkami i kanarkami w kla-tkach, stał nieruchomo jak rażony prądem.

Tłumaczyła: ADRIANA ASERT

C. D. N.



Ulica Arbat.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Georgia znalazła nową pracę: na zapleczu sklepu z ubiorami damskimi pakowała szmaty dla klientów. Każdego ranka wychodziła ze sklepu z wiadrem i szczotką, i szorowała chodnik na całej szerokości domu. Kiedy po raz pierwszy właścicielka kazala jej wykonać tę pracę, Georgia była oburzona. Jak to! Szorować chodniki? Można się spalić ze wstydu. W Polsce każdy by się spalił ze wstydu. Może jeszcze zbierać papierki i niedopałki z rynsztoków? Owszem, z rynsztoka przed sklepem też wszystkie brudy mają być wybrane. Georgia zastanawiała się przez chwilę, czy przypadkiem nie cisnąć mokrą szmatą w gębę właścicielce, nie nasadzić jej wiadra na łeb i nie wyjść z obrażoną miną. Z obrażoną miną, ale bez groza w kieszeni. Uratować honor, ale nie mieć na tramwaj. Co lepsze?

Ciężką walkę wewnętrzną stoczyła z sobą Georgia, i walki tej nie należy lekceważyć — była to dla Georgii prawdopodobnie pierwsza lekcja prawdziwego życia. Samo dawanie tyłka chłopakom i wychodzenie za nich za mąż to nie jest życie, choć większość Polek myśli, że jest. Życie to umiejętność wzięcia na siebie upokorzenia, noszenia go lekko, a potem zrozumienie, że to, co wydawało się upokorzeniem, jest po prostu obowiązkiem do wypełnienia, sposobem zdobywania pieniędzy.

Prozaiczny to sposób — przy pomocy rąk, bez frajdy. Georgia znalazła lepsze sposoby — wystarczało spojrzeć do lustra, żeby zdać sobie sprawę, jak wielki potencjał w niej drzemie. Brakowało jej tylko szansy, wejścia w środowisko ludzi bogatych. Nie mogła liczyć na to, że zainteresuje się nią ktoś, przyglądając się jej zmaganiom z brudem w szparach belgijskiego chodnika.

Szorowała chodnik codziennie, mydlinami, a jakże — łśnił po takiej operacji, i to łśnił na całej długości, ponieważ wszystkie sklepikarki, po jednej i drugiej stronie ulicy, robiły to samo, z uśmiechem na twarzy, pokrzykując do siebie wesoło — traktowały to jako poranny salon, w którym wymienia się uwagi o zdrowiu i pogodzie.

Wkrótce Georgia oswoiła się ze swoją rolą, nawet próbowała sobie z niej żartować. Mówiła do Ducha:

— Pamiętasz, jak chodziliśmy na przyjęcia do ambasady amerykańskiej w Warszawie? Pamiętasz, jak minister przydzielił nam Alfę Romeo? Pamiętasz, jak przyjmowano nas w NRD, w Ghanie, w Moskwie i w Budapeszcie? To były czasy! Białe perły na mojej smagłej szyi wyglądały szatowo, przyćmione światłami, koktajle, zalecanki różnych dyplomatów i producentów filmowych, jeden nawet za państwowe pieniądze chciał mi kupić nerkowe futro... A teraz szoruję bruki...

Śmiały się oboje z tej metamorfozy. Duch nie-co złościwie, ponieważ wiedział, że Georgia nigdy nie oswoi się z degradacją, choćby nie wiem co mówiła i rzeczywiście. Zaczynała pięści i wyszczała (bo inaczej tego nazwać nie można) przez zęby.

— Ja im jeszcze wszystkim pokażę, tym skurwysynom, ja im pokażę...

Było dużo nienawiści w tym syku i nie wiedział Duch, przeciw komu jest wymierzona. Puszczanie takich strzałów w nieokreślony cel wydawało się Duchowi pozbawione sensu, to jakby stanać w ringu i młócić powietrze. W ogóle takie „pokazywanie” komukolwiek... Co można pokazać, komu i po co? Czy to nie sobie człowiek stara się coś pokazać? A jeśli sobie, to w jakim celu — a może lepiej: z jakiego powodu? Głupota Georgii uderzyła go znowu boleśnie.

— Różnica między nami polega na tym — powiedział spokojnie — że ja chcę być, a ty chcesz mieć.

— Czego się znowu przypieprzasz? — jej oburzenie teraz przeciw niemu się zwróciło. — Jesteś tak samo głupi, jak cała ta banda skurwysynów, których nienawidzę. Kiedy osiągnę to, co zamierzam, nie spojrzę nawet na ciebie. Zawiodłeś mnie, a teraz jeszcze bardziej, codziennie, zawodzisz. I nie chodzi tu o mnie, bo i tak nie żyjemy, ale widzę, co wyprawiasz z sobą. Zgodziłeś się na wszystko. Odepchnięli ciebie od koryta już na zawsze. Powinieneś walczyc, dostać się gdzieś, do „Kultury” na etat, czy do „Wolnej Europy”, w Ameryce też potrzebują ludzi do „Głosu Ameryki”, albo gdzieś w BBC się zaczepić... Każdy idiota to potrafi, zobacz, teraz taki grafoman Odojewski uciekł i od razu dostał robotę w „Wolnej Europie...” Wiesz, ile on zarabia? Jakże możliwości się przed nim rozciągają? I jestem pewna, że ma gorszą żonę, niż ty. Zszedłeś na psy ofiaro losu, a wydawało mi się, kiedy cię poznałam, że nie cię nie zatrzyma...

— Że będę miał górę pieniędzy i że będę ci dupe smarował miodem — powiedział Duch. Ale przypominanie jakiegos grafomana dotknęło go: — Ten Odojewski musiał sobie wcześniej wszystko namotać, musiał z nim kombinować od dawna, wiesz, jak to jest. Zresztą, może to Ty, oni mają całą statkę kontaktów.

— Ale nie zgłosili się do ciebie nawet po to, żeby coś z ciebie wyciągnąć — powiedziała złośliwie.

— A co mieli wyciągać? Pusty portfel w mojej kieszeni, to wszystko, co jest ze mną, nie wyciągnę Kibito, idź, zgini, przepadnij, nie mogę już dłużej słuchać.

I Georgia poszła. Duch spędzał wieczory sam na swoim strychu, pisał wiersze, z których kilka wydrukował mu Giedroyc, i to było wszystko. Około północy kładł się spać, Georgia wracała o drugiej, trzeciej nad ranem. Kładła się na swoim łóżku w drugim pomieszczeniu. Rano Duch wychodził, żeby pracować u Dukacka, a kiedy wracał, już Georgii nie było.

Wreszcie pewnej niedzieli, kiedy zastał ją podczas dnia w domu, zapytał, co porabia.

— Pracuję w klubie dla gentlemanów — odrzekła.

— Nie rozumiem. Burdel?

— Odurotnie. Zaprzeczenie burdelu, dlatego przychodzę.

I wyjaśniła mu, na czym taki klub polega. Otóż jest to bardzo elegancko, intymnie urzą-

dzony lokal, o przyćmionych światłach, niskie stoliki otoczone wygodnymi fotelami, palmy ocinają każdy ze stolików, delikatna muzyka syczy się nie wiadomo skąd, są miejsca do tańczenia, i jest bar, przy którym siedzą dziewczyny. Barmanka też jest piękną dziewczyną. W ogóle nie ma wewnątrz żadnego mężczyzny, oprócz gości — a gościni znów mogą być tylko mężczyźni, kobietom wstęp wzbroniony. Oczywiście pracujące tam kobiety są specjalnie wyselekcjonowane, każda musi być piękna, każda różni się od drugiej, bardzo oryginalne dziewczyny, dobrze wychowane, wiążące obcymi językami, potrafiące rozmawiać inteligentnie na różne tematy, od polityki, poprzez ekonomię, sport, do literatury. Pracowały w klubie Szwedki, Niemki, Francuzki, Angielki — ale Georgia ze swoją południową urodą, długimi włosami, świeżością cery i łśnacyimi zębami weszła od razu do czołówki. Potrafiła już porozumiewać się po francusku, uczyła się niesłychanie łatwo, jej zabawny, egzotyczny akcent dodawał jeszcze jeden pozytywny element do fascynującej całości. Zresztą zupełnie dobrze dawała sobie radę do angielsku.

— No, dobrze — zdumiał się Duch — ale co wy tam wszystkie robicie?

— Ubiemy się w wieczorowe suknie i siedzimy przy barze — mówiła z przejęciem Georgia. — I przychodzą mężczyźni, ale jacy! To jest szalenie ekskluzywnie miejsce, to jest zamknięty klub, gdzie wstęp mają tylko bogaci. Nie zdorożnego się nie dzieje, po prostu klient wchodzi, wita się z dziewczyną, która mu się podoba, i siada z nią przy stoliku. Zamawia, oczywiście, szampa. Tam tylko jeden gatunek szampa sprzedajemy, „Moet et Chandon”, klub ma z wytwórną umowę, dostajemy po niskich cenach, hurtowo.

— A sprzedajecie pewnie dwa razy drożej, niż w sklepie.

— Dziesięć razy drożej. Zresztą dziewczyny nie piją, przeważnie. Kelnerka podaje szampa w małych, półlitrowych lub ćwierćlitrowych

Georgia: początek kariery



butelkach. Zwyczaj jest taki, że gość zamawia i na stół przychodzi dwie butelki, osobna dla niego, osobna dla dziewczyny. Często, jeżeli dziewczyna się zgadza, przynosi ją w butelce sok jabłkowy, musujący, oczywiście, bąbelki muszą być. A jeśli się boi, że facet zaprotestuje po sprawdzeniu, co się bardzo rzadko zdarza, to dostaje normalny szampa, ale przy byle okazji, jak się gość odwróci, albo wyjdzie do toalety, dziewczyna wylewa kieliszek pod palmę. Palmy stoją wszędzie, w ogromnych, wypełnionych ziemią donicach, żeby było łatwo sięgnąć z każdej pozycji. Sprytna dziewczyna potrafi w dwie godziny naciągnąć faceta na osiem butelek szampa, i gość płaci równowartość średniej miesięcznej pensji. Ale dla nich to ma mniejsze znaczenie, niż dla ciebie dwa złote w Polsce...

— No, dobrze — indagował Duch, podekscytowany wizją tego egzotycznego burdelu — ale co potem? Facet pije, przy stoliku palmy i ciemno, i co? Zalatujesz go ręką, czy ustami, żeby nikt nie widział?

— Nic z tych rzeczy. Za coś takiego natychmiast wypalają z pracy. To jest klub, gdzie ludzie interesu, bogactwa, rozładują swój stres, odpoczywają w miłym otoczeniu. Widok tych pięknych dziewczyn, atmosfera, rozmowa, to potrafi zrelaksować nawet najbardziej zdenerwowanych. Przychodzą po konferencjach z bankierami, po zawarciu wielkich umów handlowych, po awanturach z żonami... Słuchaj, ty nie masz pojęcia, jak wielkie znaczenie ma taka wizyta dla tych mężczyzn...

— Wyobrażam sobie. Są tak stresowani, że do normalnego bajzlu nie miałoby po co iść. Od stresu nie staje.

— Mówisz jak Polski cham. Tu jest inne podejście do tych zagadnień. To jest psychoterapia.

— Już ci nieźle wyprali mózg, biedaczko. Tylko tak dajesz. Nie rozpisz się.

— Wiesz, że nie nawidzę alkoholu i nikotyny. Nie martw się o mnie.

Duch oczywiście nie martwił się o Georgię, nawet w najmniejszym stopniu. Zauważył, że ktoś martwił się o nią i troszczył za niego i za wszystkich świętych: Georgia z dnia na dzień ubierała się coraz lepiej. Po kilku tygodniach Duch otworzył szafę i pokazał jej sukienki, kostiumy i płaszcze.

— Zobacz, mam żonę autentyczną zachodnią kurwę. Pracuje w burdelu i ubiera się jak dama. Jak ona to robi?

— W odpowiednim miejscu, w odpowiednim czasie i w obecności odpowiedniej osoby rozkłada nogi, idioty — zdenerwowałem się jego naiwnością. Żeby nie widział, jak kurwy to robią! On, który tyle razy...

— W takim razie nie dostaniemy azylu, jeśli ją na tym nakryją — zmartwił się. — Wyzyskaj ją jako pretekst, przecież nie upadli na łeb, żeby importować prostytutki.

— Nie martw się, wygląda na to, że wszystkim jest legalne.

— Słuchaj — wpadł nagle na pomysł — a może byś tam poszedł?

— Ja? A po co?

— Żeby sprawdzić, jak tam jest.

— Idź sam.

— Nie. To wywrze na niej złe wrażenie, to nie będzie naturalne. A jeśli ty pójdziesz, to będzie niby przypadkiem... Najlepiej, żebyś wziął kogoś z sobą.

— Musiałby to być Belg, przecież ci wszyscy Polacy tutaj... Za samą gębę nigdzie nie wpuszczą.

— Namów Dukacka.

— Ani mowy. To nie jest człowiek do takich rzeczy.

— No więc idź sam, masz dobry wygląd...

— Nie truj. Skąd wezmę forsy, sam mówię, że tam piekielnie drogo.

— Wyłóż. Oddam ci. Przecież pracujemy razem.

— Wiesz co? Najpierw odłóż, a potem dasz mi dwadzieścia tysięcy i mogę tam wejść. Co zostanie, to ci zwrócę.

Duch zamyslił się głęboko. Nie uśmiechało mu się pracować dziesięć dni za darmo, po to, żeby ją mógł napić się z Georgią szampa w ekskluzywnym burdelu.

Stuknął się pięścią w czoło.

— Niech to krew zaleje! Przecież ona ma forsy w ziemli!

Podszedł do półki i zdjął grubą książkę, polską, z dużym tytułem na okładce: „Ziemia”.

— To nam przysłała teściowa w podzięk za paczkę — powiedział z goryczą. — I pół litra wódki, za które musiałem zapłacić o wiele więcej, niż cena tej wódki w tutejszym sklepie. Oni myślą, że polska wódka to taki rytas, a tymczasem jest to belt nie do przecięnienia, jak tylko spróbujesz fińskiej, albo „Smirnoff”...

Przekartkował „Ziemie” i wyciągnął banknoty. Było tego około dwustu tysięcy.

— Patrz, jaka bezczelna — pogroził pięścią książeczkę. — Wczoraj prosiłem ją o tysiąc, powiedziała, że nie ma grosza.

— Ale wierzy w ciebie, ma zaufanie, inaczej by nie zostawiała.

— No, to się pomylili — mruknął, chowając forsy do kieszeni. — Każda uczciwość ma swoją cenę. Gdyby było dziesięć tysięcy, to bym nie ruszył, ale tyle?

Wyszedł z domu, na ulicy odpałił mi dwadzieścia kawalków i wydał ostatnie polecenia:

— Tylko pamiętaj, żebyś nie puścił pary. Ona myśli, że ja się wstydję tej pracy do tego stopnia, że nikomu nie mówię... I faktycznie, jesteś pierwszym, który to wie.

— I ostatnim — powiedziałem z przekonaniem. — Ale moim zdaniem za dużą wagę przykładasz do tej sprawy. Żadna praca nie hańbi. Jestem przekonany, że dziewczyna robi w lewo frajerów, ale nie daje. To by ją za dużo kosztowało psychicznie.

— Kto wie — powiedział w zamyśleniu Duch — już kilka lat temu wspominała coś o Murzynie...

— Miał Murzyna?

— Nie, miała ochotę na Murzyna. Męczyło ją to. Wiesz, jeśli tam przychodzi Murzyn...

Zasmiałem się i zostawiłem Ducha na środku ulicy z jego troskami. Niewiele myślał, poszedł wprost do klubu. Mieścił się niedaleko, przy rue d'Escoffe. Mijałem to miejsce wiele razy i nigdy mi nie przyszło do głowy, że może tam mieścić się coś interesującego. Kamienne wąskie schodki, ciemne drzwi z okuciami, nad drzwiami półokrągła markiza z przykurzonym napisem: „Moet et Chandon — Cordon Rouge” i jeszcze coś, czego nie pamiętam. Może nazwa klubu. Wyglądało to wszystko jak wejście do biura przedstawiciela wytwórni tych szampanów.

Wszedłem i znalazłem się w innym świecie. Palmy, cicha muzyka, półmrok — wszystko dokładnie tak, jak to opisał mi Janek. Ale nie wiedział o czymś niezwykle ważnym, o zapachu, jaki tam panował. Było to coś, czego nie umiem nazwać. Bardzo egzotyczne, bardzo kurwiskie i eleganckie zarazem. Podobny zapach spotkałem wiele lat później w pałacu pewnej damy w Indach, w mieście Kalcata. Spędziłem tam trzy dni w towarzystwie ciemnoskórych dziewczyn, ich włosy miały właśnie zapach podobny do tego w Brukseli, tylko bardziej intensywny. Ciekawe, jak odbierały ten zapach żony tych frajerów, wyrzucających tu forsy na szampany, przecież ubranie natychmiast tym przesłania. I ciekawe, że Duch nie poczuł tej woni od Georgii. Możliwe, że była płytka i po pół godzinie ułatniała się bez śladu.

Georgia zaniemówiła, kiedy mnie ujrzała. Dosłownie przez kilka sekund miała otwarte

usta, i to sprawiło mi większą przyjemność niż orgasm. Podeszedł do baru, trzy elegancie, dobrze umalowane dziewczyny siedziały na stolikach, patrzyły na mnie z dyskretnym zainteresowaniem. Barmanka powiedziała coś do mnie bardzo grzecznie, sciszonym, pełnym szacunku tonem, uśmiechnęła się miło... Ale pa-trzyłem na Georgię, i ta odnalazła się wreszcie, zresztą zagrała to bardzo ładnie:

— Oh, how nice to see you again, dear — rzekła — I didn't expect you back from New York so soon...

Co się wyklada mniej więcej: o, jak przyjemnie znow cię zobaczyć, mój drogi, nie spodziewałam się ciebie z Nowego Jorku tak szybko...

Podeszła blisko i podała mi rękę, nadstawiając policzek, na którym złożyłem lekki pocałunek. Ujęła mnie pod ramię i zaprowadziła do stolika w kącie, po drodze dając dyskretny znak barmance, żeby podała dwie butelki.

W kącie zapytała szeptem, gorączkowo:

— Jak się tu znalazłeś? Powiedział ci, co? Nie kłam, nie zapieraj się! Ukręć łeb skurwysynowi.

Posłała miły uśmiech dziewczynie z butelkami. I znow byliśmy sami.

— Napijmy się — powiedziałem. — Nie bój się, zapłacę.

— Nie o to chodzi. Dlaczego tu przyszedłeś?

— Kochanie, ostatni raz byliśmy w łóżku sześć tygodni temu. Nie mam innej dziewczyny. Poderwałem trochę forsy i chcę ją adekwatnie wykorzystać.

— On ci musiał powiedzieć. Zresztą wszystko jedno. Tutaj nie znajdziesz tego, czego szukasz. Te dupy mają swoich statych. Zrozumi, to są metresy, czy jak to tam się dawniej mówiło. Z tym, że bez wyjątkowości, znaczy, jak przyjdzie tu kilka razy i upodobaś sobie jakąś, i tylko z nią będziesz spędzał swoją godzinę tygodniowo, lub częściej, to możesz z nią ustawić pewne arrangements... Z tym, że ona musi znać wprawdzie twoje możliwości, musi wiedzieć, że nie jej z twojej strony nie grozi, pensja powinna być w miarę możliwości stała. Widzisz, tutaj to jest salonik do odatchnięcia podczas dnia, możliwość poznania coraz to nowych klientów. Jedni przyprowadzają drugich, dziewczyny są rekomendowane, przekazywane. To kosztuje majątek, bracie. To nie dla ciebie, fabrykanci i właściciele sklepów, ale całych sieci sklepów, oraz finansści tu przychodzą...

— Dobra praca, Georgia — powiedziałem poważnie. — Jak długo masz zamiar to wykonywać?

— Zdziwisz się, jak ci powiem, że już niedługo. Już mam namotanego faceta, zupełnie niesamowitego. Spokrewniony z rodziną królewską, tak przynajmniej o nim mówią. Forsy jak lodu na Wiele w czasie śpietrenia. Andrzej, tego faceta będę miała za męża, jak to się u bajkach pięknie mówi.

— W bajkach. Gdzie go poznałaś?

— Tu. Dokładnie przy tym stoliku. Siedział na twoim miejscu.

— Mówiłem ci kilka razy, że jesteś niedobra kurwa, pazerna i ostra. Ale nie powiedziałem ci nigdy, że jesteś naiwna jak wieśniak. Teraz ci to mówię.

Popatrzyła na mnie długo i z uwagą, jakby się nad czymś zastanawiała. Znam takie spojrzenia. Są to spojrzenia ludzi wiedzących coś, czego rozmówca nie wie. I nagle zaczynam wierzyć, że Georgia będzie miała nowego męża, spokrewnionego z rodem królewskim, faceta, którego najbliższa rodzina posiada połowę Luksemburga, którego bracia mają firmy handlowe w Stanach, w Brazylii i w Australii, tak, wierzyłem jej we wszystko, co płała mi przyciszonym głosem, podczas gdy syczyłem szampa, nawet niezłego, martwiąc się, czy dwadzieścia tysięcy starczy na te dwie małe butelki.

Roztoczyła przede mną wizję zupełnie filmową: podróże po całym świecie, najlepsze hotele, wspaniałe stroje, samochody takie jak Porsche i Ferrari, wystawy malarskie — jej własnych obrazów! — w galeriach europejskich stolic, masa recenzji, wywiadów, artykułów we wszystkich cywilizowanych językach, słowem, widziałem świat wirujący wokół jej smukłej osoby, odzianej w długą, aksaminną suknię z niezbyt odważnym dekoltem, świat wirujący zbyt szybko, jak na moją oszołomioną szampanem i egzotycznym zapachem głowę.

Oczywiście wypiliśmy jeszcze dwie butelki, i ona powiedziała, że pokryje to, bo na pewno nie mam tyle forsy, a kiedy protestowałem, chciała się założyć, nie mogłem, oczywiście, bo bym przegrał, powinienem przygotować prawie pięćdziesiąt tysięcy. I powiedziała, że kiedyś jeszcze pójdzie ze mną do łóżka, bo z nikim nie było jej tak dobrze, przynajmniej ostatnio. Podziękowałem za uznanie.

Janek Duch czekał niecierpliwie na sprawozdanie.

— Jasiu — powiedziałem — nie martw się o nią. Ona ma swój świat marzeń, w którym czuje się dobrze. Nie wytrącaj jej z tego snu, to lepsze, niż alkoholizm.

— To aż tak z nią źle? — zapytał z troską.

— Aż tak. A może nawet gorzej — powiedziałem chłodno.

C.D.N.

Na biurku leży granat. Niby nic takiego — ot, brelok do kluczy, aczkolwiek autentycznych rozmiarów. Daje to jednak przedsmak tego, co się dzieje w Oddziale Pirotechnicznym Zbigniewa Janiszewskiego, wchodzącego w skład Zakładu Inscenizacji Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi.

Na trzy istniejące w kraju wytwórnie filmowe — wyjaśnia Lidia Kalczak, kierowniczka Zakładu — jedynie łódzka dysponuje zespołem 10 pirotechników, którzy są zatrudniani przez kierowników wszystkich filmów, jako że nie sposób wyobrazić sobie dzieła kinowego bez szczypty pirotechniki. Każdy z nich jest byłym saperem i przeszedł przeszkolenie w zasadniczej służbie wojskowej. Oprócz wykazywania zmysłu artystycznego, inteligencji, posiadania przynaj-

mniej się z pieniędzmi, więc chaty były zbudowane z juty nasyczonej gipsem, a tylko szkielety domostw — drewniane. Niektóre elementy dekoracji, mimo że „spłonęły”, musiały zostać ocalone na potrzeby następnych scen albo innych filmów.

Wies musiała płonąć wielkim ogniem z dodatkami dużego dymu, więc pirotechnicy użyli popularnego wówczas napalmu, spełniającego wymagania twórców. Dla „kapłana” nie ma nic trudnego, jeśli reżyser zażyczy sobie dużego ognia bez dymu. Jest to kwestia właściwego wymieszania składników, składających się na masę pirotechniczną.

Arkadiusz Rożczak uczestniczył w zabiegach pirotechnicznych w czasie powstawania „Złotego pociągu” Bohdana Poreby. Miał za zadanie wysadzić tor kolejowe przed jadącym skła-

tylko kamera przestała pracować, ogień zniknął jak za dotknięciem różdżki czarodziejki. „Opla” nie można było uszkodzić również dlatego, że kręcił się duble, aby przy montażu reżyser miał w czym wybierać.

Spłonek używają wtedy, kiedy trzeba pokazać na ekranie, jak zostaje postrzelony człowiek. Opowiadają anegdotę o tym jak na filmie rozgrywanym się w dobie wojen napoleońskich, polski szlachcic zasadza się i strzela w serce do rosyjskiego żołnierza. Normalnie ładunek powinien rozsarpać mundur i ochlapać go krwią. Jego siła okazała się jednak za mała, a sukno za grube. Po strzale mundur jedynie wzdęło na chwilę, bohater upadł, a ekipa zaśmiewała się do łez potwarzając, iż najędźca umarł na zawal serca.

Jeśli chodzi o rozległe rany,



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
sluchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

3 listopada — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godzina 10—15.

10 listopada — MAREK KOPROWSKI — godzina 10—15.

Relacja z dyżuru przy telefonie z dnia 27 października 1988 roku.

Cieżkie czasy, „gorąca” jesień, choć chłód za oknem to i telefonów sporo, coraz więcej anonimowych. Ciekawe zjawisko; nawet telefonujący w sprawie przeciekającego dachu proszą o zachowanie danych osobowych do wiadomości redakcji. W obawie przed „zemstą” administracji? A może wstyd przed znajomymi? Pewnie, niechże redaktor, jak chce, nazwiskiem się podpisuje i przysłowiowego Iba nadstawia, a najlepiej gdyby sprawę załatwił pomyślnie...

Ot, telefonuje z Wrocławia (!) pani o uroczym głosie i zastrzegając sobie pełną anonimowość prosi o pomoc w sprawie mamy — nauczycielki, która dostała nakaz eksmisji ze służbowego mieszkania w szkole w jakiejś miejscowości... Kobieta się tuliła po znajomych i rodzinie, ale córka obawiając się, jak twierdzi, rozmaitych niesympatycznych reperkusji — nie podaje żadnych szczegółów całej sprawy...

Jerzy S. mieszkający starej kamienicy przy ulicy Mazurskiej 25 opowiedział mi szczegółowo o osypujących się ścianach domu, stolarce nadającej się wyłącznie do wymiany, podobnie jak podłogi. „Czy administracja przy ul. Karpiowej zainteresuje się nimi na serio dopiero wówczas gdy wydarzy się w posesji jakiś nieszczęśliwy wypadek?” — zapytuje zgnębiony Czytelnik.

Pani Jolanta S. szalenie barwnie i dowcipnie (choć humor był to zdecydowanie wiesielczy...) opowiedziała mi o klasycznym „polskim” remoncie przeprowadzonym w Szkole Podstawowej nr 150 przy ulicy Zwirki. Trwa on nieprzerwanie od kilku miesięcy. Wiosną zmieniono instalację centralnego ogrzewania, w czasie letnich wakacji wymieniono kilka okien, ale we wrześniu roboty ruszyły „z kopcia” i na początek rozpoczęto „wędzić” dzieciaków oparami klejów, przy pomocy których mocowano kafele. Potem przyszło malowanie klas, no i obecnie uczniowie mają małą przerwę, bo — podąża się instalację centralnego do sieci miejskiej.

zupelnym drobiazgiem jest przemianowanie sali gimnastycznej na magazyn materiałów budowlanych, w końcu nie jest jeszcze tak zimno i dzieciaki mogą ćwiczyć na boisku. Albo iść do parku. Tym bardziej, że w grudniu może się zdarzyć smolowanie dachu lub dalsza wymiana stolarki okiennej...

Pani J. C. (ale w tym przypadku popieram anonimowość Czytelniczki), jakby na potwierdzenie listu pensjonariusza Państwowego Domu Opieki Społecznej przy ulicy Przybyszewskiego 255 w Łodzi, opowiedziała mi inne jeszcze, mroźne krew w żyłach historie. To znaczy potwierdziła wiarygodność zdarzeń opisanych we wspomnianym liście, który opublikowaliśmy w poprzednim numerze „Odgłosów”. Pani J. C. odpowiada tam trzy zaprzyżnionym osoby i opowiada jak to personel wynosił pełne torby jedzenia, pensjonariuszki traktowane są lekceważąco, bywa — znieważane, okradane z kieszonkowego, a korespondencja — przeglądana, często zatrzymywana. Niestety, każda z osób przebywających w Domu boi się wręcz zaszczerzać, nie mówiąc już o głośnym sprzeciwie czy skardze. „Bojąc się o swoją dalszą egzystencję, a ta całkowicie uzależniona jest od personelu, który niemilosierdzie wykorzystuje zwłaszcza osoby samotne, nikomu obcemu, dziennikarzowi też, pensjonariusze słowa skargi nie piszą.” — tłumaczyła mi Czytelniczka.

Pani Teresa Korezyńska telefonowała w sprawie bezdomnego psa, koczującego na przystanku autobusowym w rejonie ulic: Rojna — Rydzowa. Ponoć pracownicy MPO poinformowani przez zatrudnionych przechodniów nie chcą zabrać do schroniska biednego psa. — Nie tyle nie chcą co nie mogą — dowiedziałem się w MPO. — Kilkakrotnie już po psa jechałiśmy, sprawę znamy, ale cwaśniak — ucieka, a typowym sprzętem do łapania nie dysponujemy. — No ale jak prasa nalega, to spróbujemy jeszcze raz... Po czym wymieniliśmy

poglądy na temat potrzeby istnienia łapacza psów czyli — hyla, wyrzucanych jesienią do lasu przez znudzonych właścicieli, plagi kundlo-burków; niestety, nie wiedzieć czy chorych i szczepionych wałęsających się niemal po każdym osiedlu etc. etc. Rozmowa upłynęła w szczerej, rzeczowej atmosferze...

Pan Michał P. zamieszkały przy ulicy Cieszkowskiego 22 od trzydziestu trzech lat, niemal tylko samo walczy z różnymi instytucjami w sprawie niedogrzanego mieszkania. Jak twierdzi, mimo „baterii” kilkunastu zamontowanych dodatkowo grzejników, temperatura zimą często nie przekracza 11—12 stopni Celsjusza. Pan Michał P. otrzymuje stosowny ekwiwalent i różne pisma, z których wynika głównie tak zwana niemoc. Czy nazwiemy to mało wydajnym wymiennikiem czy nieodpowiednią siecią podziemną i zanizonym „czynnikiem grzewczym” — w mieszkaniu jest zimno! Pociągają naszego Czytelnika w pismach różnych, że tak jest na całym osiedlu „Obywatelska”. Samo życie!

A tu dzwoni pan Bohdan Piatkowski, że w bibliotece dzielnicowej przy Armii Czerwonej 28 jeszcze nie grzeją kaloryfery. A czy rzeczywiście muszą? (patrz wyżej). Czy w ogóle ktoś coś musi i za coś w tym kraju odpowiada?... Jeden z nielicznych telefonujących, który nie miał nic do ukrycia, pan Feliks Mieszczankowski, w imieniu swoim i wszystkich lokatorów kamienicy przy ulicy Rewolucji 1905 r. numer 48 żalił mi się na prywatnego administratora tejże. Wszyscy tam ponoć dbają o czystość klatki schodowej, śmiecia ni niedopałka tam nie dojrzą (że są jeszcze takie domy?...), ale lokatorzy nie mogą dojść do porozumienia z administratorem. — Sylwestrem W., który nie tylko, że nie kwapi się do pomocy, współpracy to jest jeszcze w ocenie mieszkańców domu niegrzeczny i opryskliwy. — Nerwy mamy skołowane, komitet domowy się rozwiązał, zrezygnowani i zrozpaczeni jesteśmy wszyscy, jak można tak postępować ze... starszymi ludźmi, przyzwyczajonymi lokatorami? — żalił się pan Feliks. Czyżby klasyczny przykład choroby naszych czasów...?

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

„Kapłani” ognia i zniszczenia

mniej średniego wykształcenia, musi przez rok terminować u mistrza, aby pomarzyć o samodzielnej pracy.

Tego zawodu można się wyuczyć jedynie na planie filmowym. Tylko w Związku Radzieckim istnieje szkoła dla takich specjalistów. Ma to z pewnością związek z nie tak znowu przebrzmiałą specyfiką kinematografii radzieckiej. „Kapłani” ognia i zniszczenia z krajów socjalistycznych co 4 lata spotykają się dla wymiany doświadczeń i poglądów na temat organizacji pracy. Ostatnie sympozjum zorganizowało w 1986 r. Studio Filmowe BOJANA w Sofii.

Przed przystąpieniem do produkcji, kierownictwo filmu musi ustalić plan usług pirotechnicznych w odniesieniu do każdej sceny. Rzadko kiedy widz zdaje sobie sprawę z tego, że udział pirotechnika wymagają nawet tak banalne, wydawałoby się, efekty jak: opary, mgła czy ogień w kominku, który musi być pilnowany przez „kapłana”, aby nie spłonęły od niego dekoracje.

Starszy pirotechnik Mirosław Marchwiński terminował pod okiem emerytowanego już dziś mistrza Henryka Piotrowskiego przy paleniu wsi na planie filmu „Kazimierz Wielki”. Ewy i Czesława Petelskich. Widowskowi pożar był inscenizowany przy okazji tatarskiego najazdu. Ponieważ nawet przy bardzo spektakularnych scenach twórcy muszą

dem. Na ekranie widać fajermę, a faktycznie nie tylko nie ucierpiał podkłady kolejowe, prawdziwe szyny, ale ocalały nawet reflektory lokomotywy.

Przed zdetonowaniem filmowej bomby, miny, granatu pirotechnicy przez kilka dni przygotowują się do ujęcia. Sprawdzają każdą garść ziemi, w której nastąpi eksplozja. Szukają kamieni, nawet kawałków drewna, które w wyniku podmuchu mogłyby zagrozić komukolwiek z ekipy. Gdy grunt jest niebezpieczny, sprowadza się torf. Jeżeli ma wylecieć w powietrze dom, ekipa specjalistów musi przewidzieć, jaki będzie kierunek wybuchu i dokąd dolecia fragmenty dekoracji.

W Łodzi dla potrzeb artystycznych miał być wysadzony jeden z zakładów Harnama przy ul. Smugowej. Scena przedstawiała zamach dywersantów. Pirotechnicy tak pokierowali trwającą sekundy eksplozją, że III zmianą pracowników nie przerwała pracy. Sceny z fabryką po wybuchu zostały dokrecone gdzie indziej — w prawdziwej, porozińkowej ruinie.

W serialu „Na kłopoty Bednarski” pirotechnicy musieli tak „zniszczyć” ładunkiem wybuchowym zabytkowego „Opla” z lat trzydziestych, aby po eksplozji właściciel nie znalazł najmniejszego zadraśnięcia na karoserii. Konstrukcje wozu zabezpieczyli znanymi sobie sposobami. Kiedy

niektórzy reżyserzy zadowalają się użyciem masy charakterystycznej. Naturszczycy natomiast każą sprowadzać z rzeźni mięso, wnętrzności, mózżki cielęce oraz przede wszystkim krew. Amerykanie pokazali to doskonale na „Kaskaderze z przypałami”.

„Kapłani” ognia mają najwięcej kłopotów z palącymi się kaskaderami. Jeszcze pół biedy, kiedy człowiek jest w ochronnym ubraniu i dopiero na nim palą się odpryski palnej substancji. Najtrudniej pokazać palące się nagie ciało. Muszą tak zabezpieczyć skórę, aby nie uciepiała od ognia, ale żeby też widzieć nie potłapał się w oszustwie. Całymi dniami biedzą się nad przygotowaniem odpowiedniej substancji.

Podczas zdjęć do „Baltazara Kobera przypadków miłosnych” Wojciecha Hassa pirotechnik Sławomir Maślanka na własną rękę wypróbował działanie tej mikstury, przyrządzonej przez jego kolegę Mirosława Marchwińskiego. Dziś z dumą pokazuje prawie, że „Operacja plastyczna” — powiada — dała doskonałe rezultaty. Na rękę nie ma śladów po oparzeniach w bliznach. Pirotechnik ma już taką naturę, że woli sam zaryzykować niż narażać kogokolwiek z ekipy.

WŁODZIMIERZ KUPISZ

A może do kina?



W tym tygodniu proponujemy węgierską komedię satyryczną pt. „Walc na skórze banana”, zrealizowaną przez mistrza tego gatunku — PETERA BACSO. Bohaterem dwudziestego pierwszego filmu reżysera jest współczesny 36-letni inteligent, którego kariera przebiegała gładko, bez żadnych trudności i zapowiadała kolejne sukcesy. Ale los lubi płać figle. Bohater, choć nieco zbawiany, nazbyt rozpieszczony sukcesami, nie wyżył się jednak zwykłych ludzkich odruchów. Taki gest jest w jego karierze tytułową „skórką banana”, na której ślizga się i... traci, co miał. Ale fortuna kołem się toczy i wszystko może skończyć się dobrze...

W filmie występują m.in. Mihály Dész, Dorottya Udvaros, Juli Bésti, Dezső Garas i inni.

Fakty ♦ Plotki ♦ Anegdotki

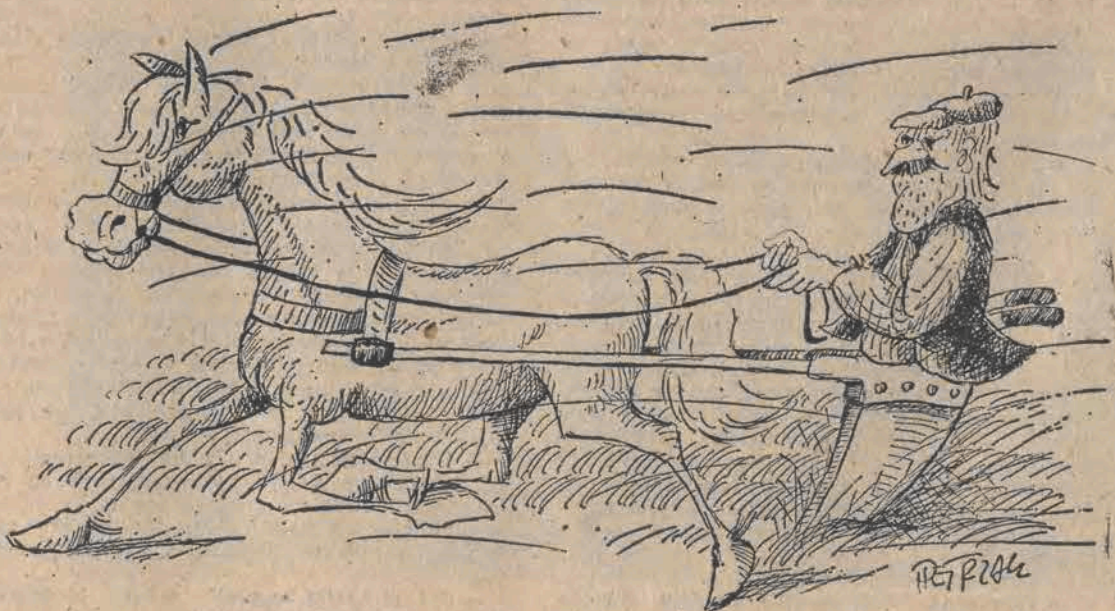
Za film zakupiony w krajach socjalistycznych telewizja płaci ok. 1,3 mln zł, za film kupiony w krajach kapitalistycznych — 800 tys. do 1,5 mln, zaś za półtoragodzinny film przez siebie zrealizowany — 45 mln zł (ceny z początku roku). Wydawać by się więc mogło, że nie ma nic prostszego, jak za jednego „gniotu” produkowanego u siebie kupić kilka dobrych filmów za granicą. Jednak pomijając fakt, że za zachodnie filmy trzeba płacić w dewizach, których telewizja nie ma w nadmiarze oraz inne względy, to jednak trzeba sobie uświadomić i to, że nasza telewizja emituje rocznie ok. 1000 filmów (polskie filmy, łącznie z powtórkami stanowią ponad 10 proc.). Takiej ilości dobrych filmów na dostępną telewizyjnym rynekach po prostu nie ma i kupuje ona nie tyle to, co by chciała, ile to, co kupić może. Dlatego o bok filmów wartościowych artystycznie czy głośnych na świecie, a nie pokazujących wcześniej w Polsce, których emitowanie zwłaszcza w ostatnich dwóch latach jest niewatpliwa zasługa telewizji, proponuje ona i będzie to robić nadal — filmy po prostu złe. W tym niestety, większość własnych filmów.

Dzieje się tak dlatego, że telewizja ocenia TV według ilości i jakości filmów. Ale jeśli tak, to czy warto kupować wszystko jak leci i realizo-

wać dzieła, które już na etapie scenariusza powinny budzić popłoch? Wydaje się, że w TV też zadają sobie takie pytania, skoro zmniejszać się będzie ilość filmów, a zwiększać o wiele tańszych spektakli teatralnych, które wprowadzić widzom nie lubi, ale które powstają z o wiele lepszym, a często wręcz znakomitym rezultatem.

Nie znaczy to, że cierpiąca na głód filmu TV nie będzie ich produkować. Sporo będzie seriali, które rządzą się własnymi prawami i osiągają tzw. najwyższą oglądalność. Po aktualnie emitowanym serialu „Śmieciarz” Jacka Butymowicza, kolejnym serialem będzie „Ballada o Januszu”, Henryka Bielskiego z Lidą Szukoszną oraz „Królewskie sny” Grzegorza Warchały o ostatnich latach Władysława Jagiełły z Gustawem Holoubkiem. Trwają zdjęcia do serialu „Dziwczyną z Mazur” Juliana Dziedziny. Na początku przyszłego roku Andrzej Konik rozpocznie drugą część (24 odcinki) „Pogranicza ognia”, Paweł Komorowski — serial według własnego scenariusza „Ucieczka do zapachu świateł” o losach 17-letniej dziewczyny w pierwszych latach powojennych, a Stanisław Janicki — „Orły na sarkofagach”, przedstawiający próbę zjednoczenia Polski przez Piastów Śląskich po rozbiu dzielnicowym.

Byle do przodu!



• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

ZADUSZKOWE TRADYCJE

Kiedy w listopadowe święto odwiedzamy groby naszych bliskich, aby uczcić ich pamięć, nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego, że zwyczaj palenia świec na ubranych kwiatami grobach jest w znacznym stopniu pozostałością dawnych uroczystych obchodów zwanych „dziadami”. Były to obrzędy ku czci duchów przodków, mające jednocześnie zapewnić spokój zmarłym.

Już najdawniejsi Słowianie powszechnie wierzyli w istnienie duszy (i to nie tylko u ludzi, ale także i u zwierząt). Duszę wyobrażano sobie w sposób realistyczny pod postacią ptaka, motyla, pszczoły, świetliki itp. lub jako odmaterializowany sobowtór człowieka (widmo, mara). Na najstarszym zachowanym polskim zabytku plastyki nagrobkowej — wąskiej płycie kamienną, pochodzącej z XII wieku, a znajdującej się w kolegiacie tumskiej pod Łęczycą — duszę zmarłej osoby dorosłej (rycerza w krótkiej tunice, z drzewkiem u stóp jako symbolem życia) przedstawiono w postaci dziecka, unoszonego przez anioła.

Wiele dawnych obrzędów wiązało się z ciałą dusz zmarłych i wiarą w życie pozagrobowe. Słowianie uważali, że życie pozagrobowe stanowi kontynuację życia ziemskiego i dlatego też starali się zapewnić zmarłym zaspokojenie ich materialnych potrzeb. Stąd naczyń z jadem w pochówkach lub na powierzchni grobów, wyposażenie zmarłych w broń, ozdoby stroju, ale bardzo rzadko w narzędzia pracy.

Od zamierzonych czasów na naszych ziemiach był silnie rozwinięty kult przodków. Oddawano im cześć, przywołując ich, paląc ognie i sprawując uczty ofiarne na miejscach chowania zmarłych — żalach lub żalnikach, którymi to określeniami jeszcze gdzieś w ludności nazywa wielokierowe cmentarzyska. Także i w czasach późniejszych gromadząca się na cmentarzach ludność przynosiła zmarłym jado i w blaskach świec, wśród modlitw, zaklęć i różnych praktyk przyzywała ich duchy. W XIV i XV wieku gromili kazańdziej swych słuchaczy, aby nie palili ognisk gorących ku pamięci dusz ich bliskich.

Zwyczaj składania posiłków zmarłym praktykowany był nie tylko wśród Słowian, ale przez wszystkie ludy niecywilizowane. W Europie znany był już w starożytności i wiązał się z powszechnym przekonaniem o obecności dusz zmarłych podczas obchodów im poświęconych.

Mimo kultu przodków, realistyczne wyobrażenie życia pozagrobowego było przyczyną obaw przed powrotem zmarłego do grona żywych. Już znaczna część obrzędów pogrzebowych miała na celu utrudnienie czy też uniemożliwienie tego powrotu. Krańcowym tego przykładem były zabiegi wobec zmarłych posądzonych o wampiryzm.

Szczególne właściwości jako apotropaje (środki do ochrony przed złem ze strony duchów, przyrody i ludzi) miały przedmioty ostre lub klujące. Poważną rolę odgrywał tu również ogień i okadzanie. Przed wampirami broniono się przez ucinanie głowy zmarłemu, przebijanie go kółkami osikowym itp. Duże znaczenie przypisywano też kregom, którymi otaczano chroniony obszar. Krag magiczny stanowił między innymi kółka obstawy kamienne wokół grobu. W obawie przed złymi duchami oborywano cmentarze. Miało to chronić przed złem lub nie wypuszczać zła ze swego obszaru.

Prawdopodobnie w odległych czasach przedchrześcijańskich obrzędy związane z kultem zmarłych występowały kilka razy do roku. Kościół katolicki starał się związać te obrzędy z jednym dniem — z Zaduszkami (popularna nazwa Dnia Zadusznego) i nadał im charakter chrześcijański. Wprowadzając Zaduszki jako święto zmarłych, w końcu XIII wieku, miał on na celu wyparcie, względnie częściowe zniwelowanie dawnych wierzeń i zwyczajów ku czci zmarłych.

Według wierzeń ludowych, których echa istnieją u nas jeszcze gdzieś tam do dziś, w przeddzień Zaduszek, tj. we Wszystkich Świętych, zmarli opuszczali groby. Widywano ich ponoć w pobliżu cmentarzy, przed kościołami i podczas obchodzenia swoich domostw. Po zapadnięciu zmroku starano się nie wychodzić z domów, pustoszały wówczas drogi oraz ulice wsi i miast, gdyż noc z 1 na 2 listopada napawała strachem ludzi minionych czasów. Wieczorem na stole bądź ławie rozkładano nakrycie w postaci ręcznika lub obrusa i ustawiano na nich pożywienie (najczęściej pieczywo i sól) dla zmarłych. Noszono też produkty żywnościowe, względnie niewielkie ilości zboża na groby.

Kościół zwalczał te pozostałości pogańskiej przeszłości lub starał się je przekształcać. Zamiast dostarczać jado na groby, coraz częściej w Zaduszki gospodynie, przenosząc w wężach albo koszykach żywność, dawały ludziom biednym, głównie żebrakom, których nie brakowało w tym dniu przy bramach cmentarnych.

Takie to zwyczaje i wierzenia związane z kultem zmarłych istniały dawniej w naszym kraju. O tych wierzeniach i zwyczajach nie należy zapominać, gdyż stanowią one część wiedzy o życiu naszych przodków i wiążą się z pewnymi i dzisiaj stosowanymi formami czczenia pamięci zmarłych.

HENRYK SZUBERT

WALKI W ŁODZI 11 LISTOPADA 1918 ROKU

Na przełomie lat 1911/1912 powstały w Łodzi pierwsze grupy skautowe. W roku 1912 powstała 2 Łódzka Drużyna Harcerzy im. mjr. Waleriana Łukasińskiego. Jej drużynowym był jeden z inicjatorów harcerstwa łódzkiego, Jerzy Szletyński. Działalność drużyn skautowych w Łodzi miała charakter konspiracyjny. Zarząd się też rozwijał skautowy ruch żeński. Powstała 1 LDH im. Emilii Plater.

W niedzielę 9 sierpnia 1914 r. grupa skautów łódzkich odśpiewała w kościele Sw. Krzyża zakazaną przez władze pieśń „Boże coś Polskę”. W nocy z 11 na 12 października 1914 r. przybyła do Łodzi grupa oficerów legionowych. Wśród nich był por. Lis-Kula, J. Berner-Nil i Mieczysław Trojanowski. Założyli oni w budynku Gimnazjum Męskiego przy ul. Mikołajewskiej (Sienkiewicza) Łódzką Komendę Legionów Polskich.

12 października 1914 r. w gmachu Towarzystwa Sportowego „Sokół” zaczął formować się oddział skautowy pod dowództwem Jerzego Szletyńskiego. Wkrótce skauci przenieśli się do gmachu gimnazjum przy ul. Mikołajewskiej, gdzie utworzyli ochronny pluton wartowniczy Komendy Legionów.

W pomieszczeniach, gdzie przed wybuchem wojny znajdowała się siedziba carskiej policji tajnej „Ochrony” urzędowała w październiku 1914 roku żandarmeria polowa Legionów Polskich, zaś w urzędzie pocztowym przy ul. Przejazd 65 skauci zorganizowali w roku 1915 polową pocztę Legionów dla utrzymania łączności między przebywającymi na froncie legionistami, a ich rodzinami w Łodzi. Tajni kurierzy kursowali na trasie Łódź—Piotrków i z powrotem.

28 października 1914 r. skauci pod wodzą swojego komendanta po uroczystej mszy w kościele Sw. Krzyża wyruszyli do Czeszochowy, gdzie formował się batalion Legionów. Po przeskoczeniu dołączyli do batalionów legionowych pod Krzywopłotami (pomiędzy Zawierzem a Olszowem) gdzie 18 listopada 1914 r. stoczyli swoją pierwszą bitwę z wojskami carskimi.

Po zwycięstwie skautów do Legionów pozostało w Łodzi wielu tych, których ze względu na młody wiek nie przyjęto do wojska. Oni byli współzałożycielami powstających drużyn harcerskich. W roku 1915 zorganizowali 4 LDH im. hetmana Stefana Czarnieckiego. W 1916 r. rozpoczęła działalność 3 LDH im. Romualda Traugutta

zorganizowana wśród uczniów gimnazjum polskiego im. Mikołaja Kopernika oraz drużyna w Rudzie Pabianickiej. Cztery drużyny harcerzy powstały w roku 1917. Były to 5 LDH im. Henryka Sienkiewicza, 6 LDH im. plk. Jana Kilińskiego, 7 LDH im. ks. Józefa Poniatowskiego oraz 12 LDH im. ks. Stanisława Konarskiego. Do nich doszła jeszcze w roku 1918 zorganizowana przy gimnazjum Towarzystwa Oświaty 8 LDH im. Adama Mickiewicza. Ogółem do końca roku 1918 powstało 10 harcerskich drużyn męskich.

W pierwszych dniach listopada 1918 roku dotarli do Łodzi wieści o rozbrajaniu w Krakowie żołnierzy austriackich, a rankiem 11 listopada informacja o rozbrajaniu Niemców w Warszawie. Zaczęły się zbiórki legionistów, peowiaków i skautów, wydobywanie z ukrycia broni. Sformułowane naprędce oddziały zaatakowały Niemców.

Ciężkie walki toczyły się o dworzec kolejowy Łódź—Fabryczna. Podczas pierwszego nieudanego ataku padł Bolesław Sataciński, były legionista i żołnierz oddziału POW. Został on zakłuty bagnietami przez Niemców. Dopiero w czasie drugiego ataku zdobyto dworzec.

Oddział łódzkich skautów maszerujący pod dowództwem Stefana Linke został ostrzelany z gmachu policji niemieckiej przy ul. Spacerowej. Zginął Stefan Linke. Był uczniem I Gimnazjum Polskiego im. Mikołaja Kopernika.

Wieczorem 11 listopada oddziały polskie zdobyły przy ul. Piotrkowskiej 137/139 gmach niemieckiej Komendy Miasta („Orts Kommandantur”). Wieczorem na Nowym Rynku nastąpiło starcie z silnym oddziałem piechoty niemieckiej nadchodzącym z koszar przy ul. Konstantynowskiej. Zginęli ppor. Józef Bukowski lat 29, były żołnierz korpusu Dębora Muśnickiego, Eugenia Wasiak lat 20, Jan Gruszczyński lat 16 i drukarz Stefan Andrzejczak lat 20. Byli też ranni. Po starciu Niemcy wycofali się do koszar.

11 listopada w budynku ówczesnego niemieckiego Domu Żołnierza (Soldaten Heim) odbywały się pertraktacje pomiędzy komendą POW okręgu łódzkiego i przedstawicielami polskich partii politycznych (PPS, Narodowy Związek Robotniczy, a niemiecką Radą Żołnierską). W pertraktacjach po stronie polskiej m.in. brał udział por. Roman Starzyński brat Stefana, późniejszego prezydenta miasta stołecznego Warszawy. Rankiem 12 listopada Niemcy podpisali umowę o złożeniu broni i wyjeździe ich oddziałów do Rzeszy. Łódź była wolna!

W środę, 13 listopada z kościoła Sw. Krzyża wyruszył kondukt pogrzebowy, w którym łódzianie na własnych ramionach nieśli trumny ze zwłokami sześciu poległych w walkach podczas rozbrajania Niemców. Pochowano ich na starym cmentarzu łódzkim przy ul. Ogrodowej.

MIECZYSLAW KOZAK

MITY

Jeśli ktoś ma w miarę dobrze funkcjonującą pamięć — nie może zaprzeczyć, że wiele powojennych lat było poświęconych huculowaniu różnych mitów. Nie twierdząc, że na coś się one nie przysłużyły. Może i tak. Gdy jednak dziś jesteśmy świadkami obalania najgłębszych kiedyś podstaw istnienia i „wiar” (oczywiście w coś) powstaje pytanie: jak dalece można wykorzystywać świadomość społeczną?

I. Mity polityczne. Wkładano społeczeństwu do głowy, że przykłady z naszego obozu są do powielania, że Josip Broz Tito to „klat narodu”, że pospieszne zjednoczenie partii w 1948 roku to zwycięstwo, że interwencja w Czechosłowacji to obrona obozu etc... Tych przykładów można by przytoczyć kilkadziesiąt. Nie powiem o mitach z przełomu lat 1980/1981. Teraz odkręcanych

II. Mity ekonomiczne. Za każdym razem jest winien „ktoś”. A to źle inwestowano, a to źle handlowano albo nie osiągnęto spodziewanych wyników ekonomicznych. Opozycja mówi: „zmniejszyć wydatki i zbliżyć się do rzeczywistości”. Jeśli nawet — to trudno założyć że jest to jedyna przyczyna. Państwo nasze jest niesfety nadmierne, opiekuńcze, a owa „opieka” nie zawsze ma coś wspólnego z rzeczywistymi zasługami „podopiecznych”. Drukujemy więc pieniądze bez zastanowienia, choć ich pokrycie w towarze wynosi obecnie ca 30 proc. Ale jesteśmy „dobrym” socjalistycznym państwem! Decydując nigdy nie ryzykują własnym majątkiem. Fachowość i efektywność działania dopiero od dochochodzą do słowa, a najbardziej udani w tym względzie są odpowiedzialni traktowani przez fiskus, rad dofinansowywać tych, którzy są gorsi, z jakichś tam podobno „obiektywnych” przyczyn. Zresztą cały system podatkowy jest niespójny i niezrozumiały.

III. Mity prawne. Utało się w wypowiedziach nawet najwyższych dostojników, w prasie, TV itd., że jak tylko zostaną wydane nowe przepisy, to wszystko zmieni się na lepsze. Nie bardziej błędne! Proszę zauważyć, że przepisy natury ogólnej (kodeksy etc.) trwają po kilkadziesiąt lat. Kiedy zaś prawem ustalić się sterować ekonomikę — to na pewno nie z tego nie wyjdzie! W szczególności dlatego, że te przepisy nie piszą prawnicy, tylko urzędnicy nie zastanawiający się o spójność, tylko dbający o interesy własnego resortu. Na żądanie mógłbym przytoczyć szereg przykładów. Działających „wstecz”, co w ogóle jest zaprzeczeniem praworządności

Komu i czemu społeczeństwo ma dawać wiarę, tak dalece że doświadczone i nieufne? Skąd wykrzesać „wotum zaufania” zarówno w stosunku do sił rządowych, jak i zawodowych opozycjonistów którzy wkładają się w sprzecznych oświadczeniach i których przedstawiciele są tak samo mało wiarygodni jak i sztafeta przywódcy „legalnych” stronnictw?

Wydaje się, że obydwie siły igrają ze społeczeństwem, które chce w miarę spokojnie żyć i pracować. Czy przeciętny człowiek w PRL chce zbyt dużo? Myślę, że nie. Niech to stwierdzenie utkwi w pamięci tych, którzy w najbliższym czasie będą decydowali o naszej przyszłości.

W. AFELT

OD REDAKCJI. W dwóch sprawach nie możemy się zgodzić z autorem powyżej drukowanego listu. Pierwsza dotyczy „nadmiernej opiekuńczości” państwa, jakim ma być nasze państwo. Druga — ignoracja ze społeczeństwem.

Odnosząc sprawy pierwszej. Są w Europie państwa wcale nie socjalistyczne, które więcej dają swoim potrzebującym obywatelom niż nasze — biedne w końcu — państwo. To, co ono daje, nie spada mu z nieba, jest to rezultat pracy nas wszystkich. Autor zwalczając jedne mity popada w inne.

Odnosząc sprawy drugiej. Mógłby się W. Afelt zdecydować w czym imieniu przemawia: „społeczeństwa” czy „przeciętnego człowieka”? Dokonując się w naszym kraju przemiany, polegającej między innymi na odejściu od stalinowskiego modelu socjalizmu, sprawdźmy się do tego, aby nie przemawiać w imieniu innych, czy to „społeczeństwa”, czy „przeciętnego człowieka”, ale dać mu możliwość wypowiedzenia się samemu. I aby to zdanie było brane pod uwagę. Dlatego najlepiej jest przemawiać we własnym imieniu.

REDAKTOR DYŻURNY

KREDYT W BANKU

Przy piśmie z 4 września 1988 r. otrzymaliśmy materiał krytyczny pt. „Czy w banku można dostać kredyt?”. Sprawę skargi waszego Czytelnika wyjaśnia pismo Banku Gospodarki Żywnościowej z 20 ub. m. którego kserokopię załączamy.

W notatce „Od redakcji” postawiono kilka pytań dotyczących ogólnych zasad działalności kredytowej banków obecnie i w warunkach zreformowanego systemu bankowego.

Stosownie do przepisów ustawy „Prawo bankowe” z 26 lutego 1982 r. banki organizują obieg pieniężny i kształtują go stosownie do ustaleń planu kredytowego. Ogólne zasady udzielania przez banki kredytów określa w drodze rozporządzenia Rada Ministrów. Wielkość (puła) kredytów kształtowana jest stosownie do ustaleń zawartych w planie kredytowym uchwalanym co rok przez Sejm PRL. Aktualnie kredytowanie ludności wykonują PKO Bank Państwowy i Banki Spółdzielcze.

Taki tryb kreowania kredytu i obsługi kredytowej ludności ulegnie zmianie w wyniku reformy systemu bankowego. Nowy system bankowy oparty będzie na zasadzie samodzielności i samofinansowania banków. Skala kredytowania przez banki będzie uzależniona od ich zdolności gromadzenia środków finansowych.

Banki kredytowe będą bankami uniwersalnymi, wykonującymi wszystkie czynności bankowe w stosunku do osób prawnych i fizycznych. Każdy bank będzie mógł decydować o przedmiocie swojej działalności i stosownie do posiadanych możliwości oferować swoje usługi. Istotną nowością będzie prawo wyboru banku przez klienta. Nastąpi to po wstępnym okresie funkcjonowania nowych struktur bankowych. Wykształcone zostaną mechanizmy ekonomiczne takie jak różnicowanie co do wysokości stopy procentowej, opłaty prowizje stwarzające możliwości konkurencji między bankami.

Co się tyczy warunków przyznania kredytów, to bank będzie uzależniał jego przyznanie od posiadania przez kredytobiorcę zdolności do spłaty zaciągniętego kredytu wraz z odsetkami w umownych terminach spłaty oraz od przedłożenia przez kredytobiorcę dokumentów i informacji niezbędnych dla dokonania tej oceny.

mgr TADEUSZ ŁUCZYCKI

Odpowiadając na Wasze pismo z dnia 1988-09-13 w sprawie poruszonej w liście do redakcji „Odgłosów”, dotyczącej kredytowania zakupu, bądź remontów samochodów dla taksówkarzy, przekazujemy wyjaśnienie w tym temacie.

Opierając się na obowiązujących przepisach wydanych przez Zarząd Banku Gospodarki Żywnościowej Banki Spółdzielcze mogą udzielać kredytów na zakup pojazdów samochodowych (nowych i używanych).

— we wszystkich uprawnionych do prowadzenia sprzedaży jednostkach gospodarki uspołecznionej przyjmując, że bez względu na stosowane przez te jednostki formy sprzedaży i ustalone ceny pojazdów, kredyt może być ustalony do wysokości 80 proc. ceny urzędowej nowego samochodu lub wyceny wartości pojazdu dokonanej przez rzeczoznawcę,

— w ramach przetargów organizowanych przez jednostki gospodarki uspołecznionej, przyjmując do ustalenia wysokości kredytu cenę wywoławczą,

— w ramach eksportu wewnętrznego przy, czym przedmiotem kredytu może być tylko część ceny samochodu płacona w złotych.

Kredytowaniu nie podlegają zakupy samochodów w ramach prywatnej sprzedaży giełdowej. Ponadto kredytowaniu podlegają remonty pojazdów samochodowych, w oparciu o zestawienie kosztów planowanego remontu.

Informujemy także, że kredyty przyznawane są przed dokonaniem zakupu czy przeprowadzeniem remontu samochodu, dlatego w momencie składania wniosku Bank nie żąda dokumentów stwierdzających zrealizowanie celu, na który klient ubiega się o kredyt.

Z treści listu skierowanego do redakcji „Odgłosów” wnioskuje, że obywatel ten nie złożył w Banku Spółdzielczym Rzemiosła w Łodzi wniosku kredytowego, jak również w pełni nie zrozumiał informacji, udzielonej przez pracownika tego Banku.

Nadmieniamy, że Bank Spółdzielczy Rzemiosła w Łodzi udziela dużo kredytów dla taksówkarzy zarówno na zakup pojazdów w formie dopuszczalnej przepisami i na remonty.

mgr inż. MARIA PIECHOWSKA

TELEFON: 36-77-70.

W związku z ukazaniem się w tygodniku „Odgłosy” materiału krytycznego odcienie „Dni kuchni rosyjskiej” uprzejmie wyjaśniamy, że kuchnia rosyjska była prezentowana w dniach 14—17.09.88 r. w sali restauracyjnej hotelu „Światowit”, o czym informowały afisze umieszczone w oknach wystawowych. Nieprawdą jest, że „Dni kuchni rosyjskiej” zostały urządzone w małej sali. W sali bankietowej odbyła się jedynie w dniach 14.09. br. o godz. 14 prezentacja potraw rosyjskich dla przedstawicieli środków masowego przekazu. Wyeksponowane w tym dniu potrawy stanowiły tło do przeprowadzenia wywiadów z delegacją radziecką.

Nieprawdą jest również, że rosyjscy kelnerzy narzekali na brak zainteresowania ze strony łodzian, gdyż kuchnia rosyjska cieszyła się bardzo dużym powodzeniem u naszych konsumentów.

Pragniemy jednocześnie poinformować, że przewidujemy kontynuowanie współpracy branżowej z Iwanowem i nasi klienci będą mogli spróbować smacznej kuchni rosyjskiej również w latach następnych.

mgr ZDZISŁAW KWAPISZ

WYJAŚNIAMY.

W ostatnim numerze „Odgłosów” na str. 2 nie z winy autora omyłkowo podaliśmy błędnie nazwisko dyrektora Okręgowego Przedsiębiorstwa Przemysłu Mięsnego w Łodzi. Nazywa się on ZYGMUNT KRYSZTOFIK. Przepraszamy.

AUTO-CASCO

AUTO-CASCO

to ubezpieczenie pojazdu lub jego wyposażenia na wypadek uszkodzenia, zniszczenia lub utraty.

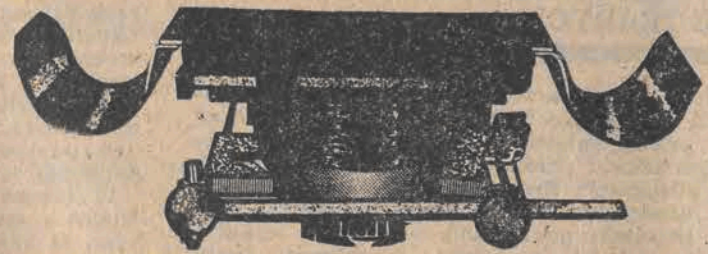
CZY WIESZ, ŻE DLA PEŁNEGO ZABEZPIECZENIA POJAZDU MOŻESZ SKORZYSTAĆ Z NASTĘPUJĄCYCH UBEZPIECZEŃ W PZU.

- ▲ **AUTO-CASCO** pojazdów nie objętych ubezpieczeniem ustawowym komunikacyjnym. Składka roczna uzależniona od wysokości udziału własnego i pojemności skokowej cylindrów silnika oraz od kraju, w którym pojazd został wyprodukowany.
- ▲ **UBEZPIECZENIE DODATKOWEJ WARTOŚCI** pojazdu (do wysokości średniej ceny rynkowej). Składka obliczana jest od zadeklarowanej, dodatkowej wartości samochodu i uzależniona od kraju, w którym samochód został wyprodukowany (inna dla samochodów produkcji krajów RWPG i Jugosławii i inna dla samochodów produkcji pozostałych państw).
- ▲ **UBEZPIECZENIE DODATKOWEGO WYPOSAŻENIA** (radio, radiomagnetofony, odtwarzacze, pokrowce, taksometry itp.). Składka obliczana jest od wartości dodatkowego wyposażenia.
- ▲ **Ponadto w Państwowym Zakładzie Ubezpieczeń zawrzeć można:** ubezpieczenie obniżenia udziału własnego samochodów objętych ubezpieczeniem ustawowym komunikacyjnym.
- ▲ **Ubezpieczenie ryzyka udziału w imprezach motorowych.** Składka uzależniona jest od czasu trwania imprezy. Szczegółowych informacji udzielają i ubezpieczenie przyjmują właściwe tereno-wo INSPEKTORATY PZU lub upoważnieni pośrednicy ubezpieczeniowi.
- ▲ **SZKODY** należy zgłaszać bezzwłocznie we właściwych inspektoratach i przed dokonaniem oględzin nie dokonywać żadnych zmian w uszkodzonym pojeździe oraz nie podejmować naprawy.
- ▲ **ODSZKODOWANIE** wypłacane jest w ciągu 30 dni od dnia zgłoszenia szkody. W szkodach nie przekraczających 10 proc. ceny nowego pojazdu, odszkodowanie może być wypłacone „OD RĘKI”!

P A M I Ę T A J, Z E!
P — rzezorny Z — awsze U — bezpieczoney
w PAŃSTWOWYM ZAKŁADZIE UBEZPIECZEŃ.

3023/K

UWAGA FOTOMATORZY!



OTRZYMASZ BEZPŁATNIE FILM KOLOROWY.

jeżeli

- z Twojego negatywu wywołanego u nas wykonamy co najmniej 20 dobrych zdjęć!
- Wywoływanie filmów ORWO, AGFA, KODAK i innych w urządzeniach najlepszych firm światowych,
- Odbitki barwne robione wyłącznie w automatach AGFA i GRETAG na papierach polskich i zagranicznych,
- Odbitki ze slajdów wykonywane techniką specjalną na papierze odwracalnym.

STUDIO FOTOGRAFICZNE AFP
Z A P R A S Z A !

adres: 03-318 Warszawa, ul. Ogińskiego 5a, tel. 11-50-95.
00-545 Warszawa, ul. Marszałkowska 72,
tel. 28-32-29.

Prace można również nadsyłać pocztą.

2506/K

		SPÓŁKA Z O.O. W ŁODZI	
		Oferuje jednostkom gospodarki uspołecznionej: 12-miesięczna gwarancja oraz serwis	
KALKULATORY: — 10-cio i 12-sto miejscowe — z taśmą lub bez — kieszonkowe + zasilacze TELEFAXY TELEXY SPRZĘT AUDIO-VIDEO		Zapraszamy do filii naszego biura tel. 33 98 00 w 208, 209 tel. 33 99 02 ŁDK ul. Traugutta 18	

WESTA

SPÓŁDZIELCZY ZAKŁAD UBEZPIECZEŃ

„WESTA”

Przedstawicielstwa na woj. skierniewickie, sieradzkie, piotrkowskie i m. łódzkie

P R O P O N U J A

zawarcie na korzystnych warunkach następujących ubezpieczeń:

ubezpiecza nowoczesnych

- rodzinne na życie — dla pracowników jednostek gospodarki uspołecznionej oraz dla osób fizycznych (w tym rolników indywidualnych),
- od następstw nieszczęśliwych wypadków — dla pracowników jw.,
- renty natychmiast płatnej i odroczonej,
- mieszkań i ich wyposażenia,
- kredytów,
- kosztów leczenia i renty,
- błędów w leczeniu,
- mienia od ognia i kradzieży (spółdzielnie, spółki, zakłady rzemieślnicze, osoby fizyczne),
- wycieczek,
- odpowiedzialności cywilnej — w pracy zawodowej oraz w życiu prywatnym,
- auto-casco (w tym double ubezpieczenie do ceny giełdowej),
- gwarancyjne,
- posagowe (zaopatrzenia dzieci),
- na wypadek zachorowań na AIDS,
- oraz szereg innych ubezpieczeń do uzgodnienia z klientami.

Ubezpieczenia te można zawierać bezpośrednio w biurach Przedstawicielstwa.

W razie zaistniałej szkody zapewniamy sprawne przeprowadzenie likwidacji i bezzwłoczne wypłacenie należnego odszkodowania.

Zapraszamy do skorzystania z naszej oferty.

NASZE ADRESY:

- Rawa Mazowiecka, ul. Polna 8, tel. 44-26
- Sieradz, ul. Polna 17/13, tel. 54-99
- Bełchatów, Oś. Tysiąclecia, bl. 7, m. 54, tel. 48-69-05
- Łódź, ul. Nowotki 8, tel. 32-56-61

3022/K

14 ODGŁOSY

NR 45 (1597), 5 LISTOPADA 1988 R.

Trochę bez echa przeszło wydanie dziennika Jerzego Andrzejewskiego z lat 1979-81 pt. „Gra z cieniem”. A przecież pisanie to jest bardzo interesujące i warto bliżej się z nim zapoznać. Pamiętam, że przed laty dziennik ów drukowany w „Literaturze” mocno mnie denerwował. Ale teraz zmieniłem całkowicie moją ocenę i muszę przyznać raczej jednemu z kolegów, który wówczas zapamiętał broń zapisków autora „Miazgi”.

Tyle się wtedy działo dookoła, że spokój i dystans do rzeczywistości bijący ze stron dziennika po prostu odrzucał. Szukało się wszak czegoś, co bardziej trafiało w stan podniecenia, w którym się człowiek znajdował, szukało się rzeczy jeszcze bardziej podniecających. I dziwna sprawa, czytywałem przecież wcześniej notatki Andrzejewskiego te drukowane w „Literaturze” pt. „Z dnia na dzień” i lubiłem je, a tu nagle, w latach 1980-81, całkowicie zmiana i teraz znowu zmiana, tym razem jednak już na stałe.

Niemniej jednak powiedzieć warto, nie, by się usprawiedliwiać, ale by stwierdzić pewien fakt, że zapiski prowadzone przez Jerzego Andrzejewskiego zyskują bardzo, gdy czyta się je razem. Drukowane w odcinkach tracą swój niepowtarzalny nastrój, w który tak dobrze się wchodzi podczas lektury całego tomu. Ręka starego pisarza prowadzi nas w świat spokojniejszy, ale to nie znaczy, że oderwany od rzeczywistości. Nie pisarz patrzy tylko z pewnej odległości, z której, jak się okazuje, znacznie lepiej widzieć. Wydaje się, jakby mówił: spojrz z tej perspektywy, z której ja patrzę, a zobaczysz więcej, świat jest wielością i zdecydowane wyolbrzymienie tylko jednej strony powoduje jego degradację. Tylko, że na podobny dystans może sobie pozwolić czło-

Lektura na niespokojne czasy

wiek o takim doświadczeniu i dojrzałości jak Jerzy Andrzejewski.

Napisal na przykład: „Młodość szuka odpowiedzi. Wiek dojrzały i podeszły — przede wszystkim pytań. Czego szuka starość? Jeszcze nie wiem. Może milczenia? A może i pytań i odpowiedzi?”

I już w tych pytaniach znalazła się odpowiedź, a właściwie odpowiedź jest cały ów tom zapisków, pełny przecież pytań i odpowiedzi zarazem. Jerzy Andrzejewski jako artysta wie doskonale, gdzie jest jego miejsce, wie, jakich wartości musi bronić w sobie przed naporem tej wielkości sił, których źródła tkwią w rzeczywistości naszej, pełnej emocji, nieufności, strachu przed przyszłością, uproszczeń zbyt wielkich, słowem, tej nienormalności, w której przyszło nam żyć. Odnaleźć w tym kraju własne miejsce i bronić go zdecydowanie, bronić całym sobą, to rzecz niezwykle trudna, ale i cenna. Bo u nas większość ludzi nie robi tego, co powinna robić, do czego najlepiej się nadaje. Przykładów tu wiele, ale to już temat na zupełnie inny tekst.

Autor „Apelacji” wie, że: „Wśród zamętu rzeczy w tak małym stopniu suwerennych, chciałbym — o ile to tylko możliwe — zachować suwerenność własną, jako artysta i jako człowiek, jeśli artysta w ogóle coś znaczy, zawsze ze stanem współczesnym jest związana i jakiegokolwiek czasu oraz zdarzenia penetruje — zawsze w bieżących źródłach siły czerpie. Pod osłoną tematyki współczesnej łatwo znaleźć mogą schronienie wszelkiego rodzaju latwizny oraz rządzących doradców sukcesów. Chronienie się w czasy odległe również może być obciążone skazą ucieczki. Cała trudność w tym, aby głos wewnętrzny artysty mógł brzmieć czysto. Lecz zaraz powstaje pytanie o naturę, gdzie rejonem, że artysta dobrze siebie słyszy? Największe oszustwa dokonują się w sumieniu”.

Autor dziennika wie na pewno, że nie jest politykiem i wie, że swoich notatek nie może włożyć w nurt polityki, bo przestana one być tym czym są, przestana być dziennikiem literackim i intelektualnym, a staną się politycznym zapisem dnia codziennego i po latach będą już tylko wartościowe dla wąskiej grupy historyków, badaczy tego okresu. Oczywiście, to nie znaczy, że na kartkach dziennika nie pojawia się polityka, ale występuje ona w tak umiarkowanych, doborowych proporcjach, że nie przytłacza, a wręcz przeciwnie, pozwala autorowi na widzenie rzeczywistości w najróżniejszych jej przejawach, co jak się okazuje, daje możliwość wniosków politycznych o wiele bardziej ciekawych i trafnych od tych wyciąganych przez zawodowych polityków.

Pod datą 25 maja 1981 roku Jerzy Andrzejewski zapisał: „Brak mi niestety, uspokajającej pewności, iż rzeczywistość cały naród zdaje sobie sprawę, z jak ciężkimi wysokościami, a także z ciemnymi przepaściami przyjdzie nam się zmierzyć”.

I może tylko zbyt często autor starał się wyjaśnić, dlaczego tak mało miejsca poświęca na sprawy z polityką związane. Choć z drugiej strony, daje to obraz stanu, w jakim Jerzy Andrzejewski wtedy się znajdował. Gdy teraz czyta się te wyjaśnienia, wydają się one niepotrzebne, ale wtedy przecież wszyscy byli pochłonięci tym, co działo się dookoła i autorowi zarzucano, że w tak wzniosłych chwilach pisze na przykład o swoich fascynacjach Anną Kareniną.

Świat opisywany przez Jerzego Andrzejewskiego jest bardzo różnorodny. Jest w nim jego choroba i szpital, są wakacje spędzone w Obornikach i opisy obornickiego parku, są czytane lektury i wrażenia z oglądanych widowisk teatralnych, jest także dzielenie się z czytelnikami kłopotami z własnym piśmieniem, jest wreszcie — przeszłość, ta najodleglejsza, przedwojenna i okupacyjna i ta z okresu zaraz powojennego, pominięta są tylko, że zrozumiałych względów, czasy socrealizmu. A w owych wspomnieniach oczywiście są ludzie, ludzi zresztą na kartkach dziennika — i tych z przeszłości i tych obecnych — całe mnóstwo. Mile są, na przykład, zapiski odnoszące się do wspólnie spędzonych dni z Czesławem Miłoszem.

Jest także opisana radość, gdy Czesław Miłosz otrzymał Nagrodę Nobla, choć czemu trudno się dziwić, zabarwiona kroplą gorczy, że to on a nie ja. Ale ta cała różnorodność jest uporządkowana, nie ma tu chaosu, wszystko jest na swoim miejscu. Może właśnie dlatego „Gra z cieniem” to bardzo dobra lektura na obecny, niezbyt spokojny przecież czas. Z dobrym przewodnikiem, a takim na pewno jest autor owych zapisków, warto wyruszyć w ten tak spokojnie opisywany świat, w którym tyle się dzieje.

I trzeba także podczas lektury zwrócić uwagę na wielość ludzkich myśli, które występują w dzienniku Jerzego Andrzejewskiego. Na dobrą sprawę starczyłoby ich na następną, całkiem obszerną książkę, której można by dać tytuł: „Myśli i aforyzmy”.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

NR 45 (1597), 5 LISTOPADA 1988 R.

1

Lewym okiem

Gdy w Ogrodzie Botanicznym...

Powtarzając się w warszawskich komunikatach Polskiego Radia apele wzywają do ofiarności publicznej na rzecz ratowania stołecznego Ogródu Botanicznego przy Alejach Ujazdowskich. W jednym z takich komunikatów podano, że ogród ten jest najstarszym ogrodem botanicznym w Polsce, przy czym wymieniono tylko kilka istniejących, w jeszcze paru miastach naszego kraju, nie wspominając o Łodzi.

Spędziłem w Warszawie dzieciństwo i moją krótką, przedwojenną, niezbyt udaną, młodość. Kilka wizyt w Ogrodzie Botanicznym wciąż jeszcze pamiętam jako jedne z najmilszych momentów mojego życia. Jakież to było uroczyste miejsce! Wiosną i przez całe lato, przez wakacyjne miesiące, Ogród Botaniczny rozkwitał jak przepiękny bukiet, tysiączne odmiany kwiatów witały tam niecierpliwych gości, przede wszystkim młodzież akademicką, a więc tych samotników, którzy tu przychodzili uczyć się do egzaminów i tych zakochanych, którzy szukali samotności na ustronnych ławeczkach.

„Gdy w Ogrodzie Botanicznym zakwitła bzy...” — śpiewało się przecież i do dziś na dźwięk tej piosenki ogarnia mnie mgiełka wzruszenia. Myślę niestety z smutkiem, że warszawski Ogród Botaniczny w swoim przedwojennym kształcie i ze swoją ówczesną atmosferą jest nie do odwołania i nie do uratowania. Opasują go dziś ulice szybkiego ruchu, nie ma zakątka do którego nie dobiegłby warkot mknących po tych ulicach samochodów, miasto dookoła tętni gwałtownym, nowoczesnym rytmem. Nie ma żadnych rezerw terenowych, które pozwoliłyby rozbudować i rozszerzyć malutką oazę zieleni i piękna. Już zresztą powstał nowy ogród botaniczny w Powsinie, daleko od śródmieścia, w okolicy nie zabudowanej jeszcze wieżowcami, nie zatartej doszczętnie wylęgami spalin. Za parę pokoleń tam będą jeździć warszawscy zakochani. Ogród Botaniczny przy Alejach Ujazdowskich niech zostanie jako uroklivy skansen niedzisiejszych wzruszeń mieszkańców naszej stolicy.

Wracajmy jednak do Łodzi. Tu przecież też jest Ogród Botaniczny Miejski w nim dużo, powietrza i nieba pod dostatkiem, położony za Ogrodem Zoologicznym, a więc na skraju miasta, nie stał się, jak dotychczas, miejscem masowych, weekendowych spacerów łodzian. No i dzięki Bogu, bo może właśnie dzięki temu jest wciąż jeszcze piękna, zielona enklawa miasta. W porównaniu z parkami leżącymi w środku Łodzi, a zamienionymi od dawna w śmietniki, w porównaniu ze zdeptanymi, strątanymi trawnikami i skwerkami, łódzki Ogród Botaniczny urzeka wielkim porządkiem i ładem, czystością. Trochę tam za mało lawek, a te, co są, nie mają oparcia. Bardzo to duży mankament dla ludzi starszych, niepełnosprawnych. Ale jest czysto, ptaki śpiewają, kołyszą się tataraki na stawie nie wszystkie aleje zdołano założyć betonem. Gdyby odwiedził mnie ktoś bliski z zagranicy, co się raczej nie zdarzy, to tylko tam zaprowadziłbym go bez żenady, tylko tamten park mógłby pokazać jako porządne, mile tereny zielone naszego miasta.

No, może jest jeszcze takie miejsce, ale już trzeciego trudno by szukać w granicach wielkiej Łodzi. Jest nim w moim przekonaniu, malutki, cichy i skromny park Jana Matejki przy ulicy Gabriela Narutowicza. Niedaleko leży tu jeszcze park Stanisława Staszica. Porównajcie te dwie nie-

duże oazy zieleni. W jednej trawniki przeddeptane setkami ścieżek potamane krzakami, wysypiska śmieci wokół każdej lawki. W drugiej cichutki kwadrat zieleni otoczony wysokimi, strzyżonymi żywopłotami, czysto, bardzo zielono, nikt jakoś tutaj na skróty przez klomby nie chodzi. Nie wiem, na czym polega sekret takiej różnicy. Słuszną sprawą wydało mi się ukazanie jej, zwrócenie uwagi na fakt, że są w naszym mieście wzory godne naśladowania, że moglibyśmy żyć w mieście o ileś ładniejszym, bardziej kulturalnym, gdyby wszystkie tereny zielone, w obrębie wielkiej Łodzi, wyglądały tak jak Ogród Botaniczny i park Jana Matejki. O ile też ładniejsze byłyby za pięćdziesiąt lat, pisane na łamach „Odgłosów”, wspomnienia dzisiejszych licealistów...

WŁODZIMIEŻ KRZEMIŃSKI

2

Pod prąd

Ponad wszelką wątpliwość

Udowodnić można wszystko. Wystarczy postawić pożądaną w danej chwili tezę, niechby i zupełnie nieprawdopodobną, po czym — w przebiegającej skarbownicy ludzkiej myśli odnaleźć odpowiedni fakt, teorię, czy cytat, który posłuży za podstawę dowodu. Fakty, teorie, cytaty mają bowiem to do siebie, że można je interpretować rozmaicie, częstokroć wręcz dowolnie. Zwłaszcza, jeśli są to fakty niesprawdzone, dla przeciętnego człowieka, teorie — autorów, którzy już nie żyją, a cytaty — z dzieł niby powszechnie znanych, ale rzadko czytanych.

Przykłady takich „udowodnionych” ponad wszelką wątpliwość tez można by wymienić w nieskończoność, gdyż metoda znana jest od bardzo dawna i w długich dziejach ludzkości nagminnie stosowana. Ograniczmy się zatem do kilku wybranych, takich jak:

Ziemia jest płaska. Ludzie o czarnym kolorze skóry z natury rzeczy nie mogą dorównać przedstawicielom białej rasy. Jedynym sposobem uratowania opętanej przez diabła, jest spalanie jej na stosie. Władza królewska pochodzi od Boga. Ustrój socjalistyczny pod każdym względem przewyższa kapitalizm. Marszałek Tuchaczewski był zdradą ojczyzny. Tyłko systematyczne rozwijanie przemysłu ciężkiego i wydobywczego może postawić Polskę w gronie najbardziej rozwiniętych państw świata. Każda cząstka elementarna musi mieć masę.

Każda z przytoczonych tu tez uważana była w swoim czasie za jedynie prawdziwą, powszechnie obowiązującą, a każde odstępstwo od niej — traktowane jako przejaw głupoty, niewiedzy, złej woli lub też — łamania prawa, które karano nawet śmiercią. Później jednak okazywało się, że prawda jest trochę inna i kolejne sztaby naukowców, historyków, polityków męczyły się, aby sprawę jakoś odkreślić, wyjaśnić po nowemu, czy też ewentualnie wyrazić swój żal, iż poprzednicy tak bardzo się mylili.

Potrzeba udowodnienia jakiejś tezy może wynikać z pychy, naiwności, chęci zdobycia bądź utrzymania władzy, chęci ukrycia czyichś błędów. Katalóg motywacji jest oczywiście znacznie obszerniejszy, te jednak wydają się najczęściej spotykane i najbardziej brzemienne w skutkach. To ostatnie dotyczy w szczególności motywacji numer trzy, jako, że władza nie znosi głosów sprzeciwu, a nieraz choćby i zwą-

pień. Stosownym przykładem mogłaby tu być niejedna z kart historii Kościoła, czy — dla przeciwwagi — historii Związku Radzieckiego. Charakterystyczne przy tym, że w obu przypadkach wyjątkowo chętnie korzystano przy udowadnianiu czegoś z cytatów. W pierwszym — z Biblii, w drugim — z prac teoretyków marksizmu-leninizmu. Tak się bowiem składa, że oba te źródła są na tyle obszerne i nasyczone treścią, iż nie trzeba przy nich odwoływać się już do żadnych innych. No i oba uchodziły a dla wielu nadal uchodzą za nieomyłne.

Dlaczego o tym wszystkim piszę? Powody są dwa. Pierwszy — aby uświadomić, że prawie każda tzw. prawda obiektywna jest jednak względna i zależna od wielu czynników, z których najważniejszym bywa przyjęty punkt widzenia. I drugi — ponieważ strasznie denerwuje mnie, kiedy ktoś usiłuje przekonać wszystkich dookola, że jeśli zrobi się to i to, wówczas MUSI zdarzyć się to i tamto. I na dowód przytacza dowolnie dobrane fakty z bliższej lub dalszej przeszłości, że niby kiedyś tak właśnie się już zdarzyło; albo też daje nam publicznie słowo honoru, że on to na pewno wie, więc trzeba mu wierzyć, gdyż inaczej po prostu być nie może.

Przyznaję szczerze, iż kiedyś wierzyłem święcie takim zapewnieniom, byłem przekonany, nie miałem żadnych wątpliwości. Dziś — już nie. Dziś już wiem, że nie nie MUSI, a tylko MOŻE. A to przecież poważna różnica.

Nigdy nie jesteśmy w stanie przewidzieć absolutnie wszystkich okoliczności wydarzeń, które ma dopiero nastąpić. Nigdy nie nie zdarza się dwa razy dokładnie tak samo. Już choćby z tej przyczyny, że gdyby tak było, gatunek ludzki do obecnej chwili siedziałby jeszcze na drzewach, żyłby się surowym mięsem i korzonkami i nie miał najmniejszego pojęcia, czym różni się od kuzynki, małpy. O ile w ogóle doszłoby do wykształcenia się w toku ewolucji gatunku ludzkiego.

JÓZEF RETMAN

3

Sport

Być sobą

W latach chwały polskiej piłki nożnej, kiedy drużyna kierowana przez Kazimierza Górskiego święciła triumfy, krążył taki oto dowcip. Rozmawia młoda para.

ONA: — Jak będzie syn, jak mu damy na imię?

ON: — Robert.

ONA: — A jak będzie córka?

ON: — Gadocha.

Wielu mieliśmy znakomitych piłkarzy: Grzegorz Lato, Andrzej Szarmach, Zbigniew Boniek — że wymienię tylko niektórych. Pozostały po nich sukcesy, wspomnienia, puchary i medale. To były piłkarskie indywidualności. Byli sobą na boisku i w życiu. Nikogo nie udawali.

Tacy są nie tylko piłkarze. Tacy bywają sportowcy z różnych dziedzin sportu. Chcą walczyć i zwyciężać. Uważają to za naturalne. Wiedzą, że w walce raz się przegrywa, raz się wygrywa. Wiedzą, że po sukcesach przychodzi czasem załamanie, że wtedy trzeba się przemóc i znów zwyciężać. Nie biegają po boisku przebiegając czarnymorkowe kursy dolara, marki niemieckiej, funta szterlinga. Nie narzekają na los, klub, trenera i wszystkich świętych. Po prostu walczą.

Irena Szewińska została matką i wszystkim wydawało się, że pożegna się już na zawsze ze sportem. Stało się inaczej. Wróciła na bieżnię i jakże pięknie zwyciężała. Miło się dziś o tym wspomina.

Przychodzi jednak taka chwila, gdy sportowiec żegna się z boiskiem, bieżnią, pływalnią, stadionem. I jeśli przez cały czas był sobą, to ten przykry moment szybko mija, człowiek dalej robi to, co do tej pory robił obok sportu.

Miss Seulu 88 — Teresa Folga, 15 października tego roku, w wieku 22 lat, w dniu swoich imienin, zakończyła karierę sportową i poświęca się z gimnastyką artystyczną.

— Myślę teraz o balecie — powiedziała. — Marzę, żeby dobrze tańczyć.

Pokochała ruch i ten ruch jest dla niej ogromnie ważny. Mam nadzieję, że sprawdzi się również w balecie.

— Griffith Joyner — powiedziała Teresa Folga „Przekroju” — spotkałam w stołowie. Jest to kobieta o efektywnej urodzie, ale to bardzo umięśnione nogi psują wrażenie.

Griffith Joyner, mimo umięśnionych nóg, fascynuje dziś kibiców sportu na całym świecie. Być może, a nawet chyba właśnie dlatego, że jest sobą. Jest najszybszą kobietą, doskonałą sprinterką. Jej wyniki w biegu sprinterskim były do tej pory uważane za nieosiągalne dla kobiety. A ona udowodniła, że kobieta może je osiągnąć. Ale stało się tak nie tylko dlatego, że jest fenomenalnie szybka, ale i dlatego, że jest uparta. Uparcie dąży do celu.

Griffith Joyner nosi czasem 15-centymetrowe... paznokcie. Są to swego rodzaju dzieła sztuki. Na przykład maluje na nich maleńkie zielone palmy. Te paznokcie stały się powodem, że nie mogła wystartować w sztafecie na olimpiadzie w 1984 roku. Uznano, że paznokcie uniemożliwiają jej dokładne podanie pałeczki. Co zrobiła? Nie wystartowała.

Jej mąż, Al Joyner tak mówi o niej:

— Ale jest także wściekle twarda, co ludzie nie zawsze zauważają. Niczym nie da się jej złamać.

Dla nas szokujące może być to, że Griffith Joyner pracuje, jest świetną krawcową, doskonałą fryzjerką i... pisze książki dla dzieci.

Wymyśliła na przykład „jednonogie” kombinony. Któregoś dnia po prostu obcięła nogawki kolorowych rajstów. Okazało się to interesujące. Jej matka była zawodową krawcową. I ona nauczyła Griffith zycia. Jej babka była kosmetyczką i fryzjerką i ona nauczyła Griffith układać fryzury. Griffith Joyner daje nawet na te fryzury... pięćdziesięcioletnią gwarancję.

Gdy była dzieckiem nosiła na szyi węża boa. Teraz skórą tego węża ozdabia swoje sportowe kostiumy. Pomysł ma przeróżne. W Indianapolis wystąpiła w kostiumie z... koronki, co nazwała „Lekkomyślnym neglizmem”.

Studiowała ekonomię i psychologię. Pracuje codziennie przez 4 godziny w biurze pośrednictwa pracy. Dużo trenuje. Każdego dnia wykonuje między innymi tysiąc przysiadów. Podnosi ciężary — 160 kg. Uwielbia gotować. Był czas, że zamierzała wycofać się ze sportu. Zaczęła wtedy pisać wiersze i książki dla dzieci. Pracowała w banku. Wróciła na bieżnię, ale... nie przestała pisać.

Jest kobietą, która umie i musi znaleźć sobie miejsce w życiu. Musi pokonywać przeciwności. Jest sobą. To wielka umiejętność — być sobą. Taka umiejętność sprawia, że gdy człowiek decyduje się zakończyć sportową karierę, to nie tkwi uparcie w przeszłości, rozpamiętując swoje minione sukcesy, nie jest bezradny, lecz rozpoczyna nowy rozdział swego życia. Znajduje nowe w nim miejsce.

BOGDA MADEJ

ODGŁOSY 15

A jednak, kiedy tą samą drogą, którą przemierzali Piastun i jego trzech towarzyszy, ruszyło potem sześciuset tarczowników pod wodzą wojewody kowala Awdanica — wiele wiosek i grodów stało się w ogień. Za tarczownikami jechała banderia czterystu Lestków i oni to czynili potem największe spustoszenie, bo tak kazał robić Piastun, aby zatrwożyć księcia Sieradza.

Również i od strony Ziemi Łęczyców, przeszło Ner i ruszyło w głąb kraju Ludzi Skrzydlatych — dwustu tarczowników i trzystu konnych Lestków dowodzonych przez młodzieńckiego Powalę. Towarzyszył mu Fulko, i jego trzynaście najmitów z Jumna. Przysięgli sobie Fulko, że pierwszy stanie u bram grodu Sieradza i gdy tylko tarczownicy powstrzymali pierwsze uderzenie skrzydlatej konnicy, odłączył się od Olta Powalę, paląc i grabiąc zaczął się szybko przedzierać ku Warcie, nad którą stał gród Sieradza.

Z Poznani w górę rzeki wypłynęło trzydzieści szybkich łodzi wiosłowych, a w każdej po czterech pieszych Lestków. Dowodził nimi Piastun, który postanowił niespodziewanym atakiem od strony rzeki napaść gród Sieradza i zdobyć go bez większych strat. Łodzie płynęły tylko nocą, aby nikt nie donosił Sieradzowi o podstępie Piastuna. Dlatego rybacy łowiący przy łuczynie ryby na rzece bywali zaskakiwani widokiem bezszelestnie pojawiających się w ciemnościach uzbrojonych wojowników w łodziach, a potem zabijani bezlitośnie. Tak przed innymi swoimi wojskami dotarł Dago pod Sieradzę i ukrył swoich żołnierzy w krzakach wikliny na wyspie naprzeciw bram grodu. Z owych krzaków mógł niewidoczny widzieć i cały gród, podgrodzie i główną wysoką bramę, z której w wielkim pośpiechu raz po raz wyjeżdżali konni skrzydlatcy rycerze. Nie miał Piastun gotowego planu, w jaki sposób z siłą tylko stu dwudziestu Lestków zdobyć gród, choć bramy grodu były otwarte, a tylko sześć lat pływaczka dzieliła ukrytych na wyspie jego żołnierzy od bramy grodu. W Sieradzu, co wynikało z obserwacji, znajdowały się jeszcze dziesiątki żołnierzy Sieradza, a coraz nowi przybywali z pół wsi, gdzie ponieśli klęskę. Na noc bramy grodu zamykano, pod bramą zaś nocowało przy ogniskach wielu tych, co dopiero powrócili z walki na północy. Nie mógł więc Piastun przedostać się niepostrzeżenie do grodu, a jeśli by i nawet to uczynił, zostałby tam ze swoimi ludźmi zamknięty jak w klatce i zamordowany. Nie zależało mu zresztą, aby teraz i zaraz zdobyć Sieradzę, bo „przedej, czy później nadejść miały tu wojska Awdanica i Powalę. Chciał porwać kapłankę Eponję i wydobyć od niej tajemnicę długowieczności. Wpatrywał więc z krzaków, czy nie ujrzy wychodzącej przed gród miedzy powracających wojowników młodej tłustej kobiety w białej szacie wyszywanej złotymi nićmi — bo tak ją opisywano. Wtedy to dopiero zdecydowałby się na nagły atak przez płyciznę i schwytanie jej, choćby kosztem wielu poległych Lestków. Lecz „owe, Eponję ciągle nie było, choć przecież jako wielką kapłankę Skrzydlatych powinna chyba przed warownią witać znojących walką żołnierzy, dodawać im otuchy, zamawiać krew płynącą z ran. Może zresztą w ogóle nie znajdowała się w Sieradzu, ale w którejś z owych słynnych grot w Górach Wenedyjskich, gdzie odbywały się tajemne obrzędy? W jaki sposób ją wówczas znaleźć? W jaki sposób otrzymać upragnioną długowieczność? Może da się to uczynić, jeśli schwyta jej ojca, księcia Sieradza i za jego życie otrzyma od niej długowieczność?

Nad ranem przeszedł ostrożnie mieliznę i schwytał śpiącego pod warownią wojownika. Znim go zabił, wiedział się od niego ważnej nowiny i zdecydował się dalej czekać w ukryciu.

Oto książę Sieradz uświadomił sobie nagle pełnię swej klęski. To, co się wydawało niemożliwe, stało się możliwe. Wydrwił prośbę Piastuna, aby go uczyniono długowiecznym i tamten spełnił swoją groźbę: zaatakował Kraj Ludzi Skrzydlatych, pokonał i rozproszono zostały skrzydlate wojska. Z powodu przekonania o ich niezwyciężalności nie były przygotowane do obrony i oblężenia ani gród Sieradz, ani gród Ruda, ani inne pomniejsze grody i warownie. Przed Ludźmi

Skrzydlatymi i rodem Sieradza otwierała się droga do Nawli, prosty lud czekała niewola barbarzyńskich Polan, gdyż nie nie wydawało się zdolne do pokonania straszliwych kolczastych kul żelaznych. Na wkraczającą do kraju Skrzydlatych jedną armię Polan uderzył najstarszy prawnuk Sieradza, książę Neklan, i musiał uciec z pola walki prowadząc za sobą połowę swych żołnierzy. Drugą armię Polan, wkraczającą od strony rzeki Ner — zaatakował wnuk księcia, Mnat, i sam zginął, tracąc więcej niż jedną trzecią wojowników. Tak przez kraj Ludzi Skrzydlatych maszerowali tarczownicy Piastuna, a za nimi — szła konnica i niszczyła wszystko co żyło i co się poruszało. Północną część kraju zasnęły dymy palących się wiosek i grodów. Mściła się na Skrzydlatych ich wiara w konie i skrzydła. Nie mieli piechoty, łuczników i tarczowników, aby zmierzyć się z tarczownikami

czuła teraz tylko łatwa do przebycia płycizna, pełna wysp, lach piaszczystych i mielizn. Jak długo można się było bronić za niewysokimi wałami i trzema rzędami spróchniałych ostrokołów? Gdy pod Sieradzę spotkały się wszystkie wojska Piastuna, po tygodniu wędry się na wały, dokonując straszliwej rzezi, spalać dwór i domy. Czy nie lepiej było pozostawić gród otwartym dla najeźdźcy i mieć nadzieję, że przez to samo okaże on litość dla podbitego ludu?

— Niewiele mamy wozów obciążonych kobietami i dziećmi oraz skarbami nie zdolając uciec pogoni, nawet jeśli pójdziesz z mną cała reszta armii. Cóż zresztą wart jest władca, który pozostawia swój lud na łaskę zwycięzcy? Jaką mogę mieć pewność, że mimo wszystko on nie spali grodu, nie wymorduje wszystkich jego mieszkańców?

— Ja tu zostanę — oświadczyła Eponja. — Zostanę tutaj

wały przeznaczone. Wychodziły za mąż dopiero po trzydziestym roku życia, do tego czasu pilnując i odprawiając religijne obrzędy. Obecnie główną kapłanką była Eponja, prawnuczka księżnej. Miała dwadzieścia pięć lat i do trzydziestki winna była żyć bez męża, z wszystkimi mężczyznami kraju, co oczywiście było tylko pustymi słowami. Tak naprawdę żyła tylko z tymi młodzieńcami, którzy chcieli osiągnąć długowieczność. Podobnie książę Sieradz był mężem wszystkich kobiet w swym państwie, lecz w istocie miał tylko trzy żony, w tym najstarszą posiadającą władzę, osiemdziesięcioletnią Lugę. Opowiadano i snuto domniemania, że zarówno obyczaj jak i wiara Ludzi Skrzydlatych, ich kult koni i kobiet, władzy upodabniał ich nieco do owych słynnych Dzikich Kobiół, albowiem w pradawnej przeszłości wiele ich tego samego nauczyli tajemniczy Celtowie, którzy zniknęli w mro-

tojejsz ze swych dwóch armii. Lecz przecucie kapłanki szkolonej od dziecka do tajemnych obrzędów, narzucało inne przekonanie. Piastun musiał być blisko, niemal o wyciągnięcie ręki. Piastun pierwszy zjawił się przed bramami Sieradza, aby spotkać Eponję i uchronić ją przed jakąkolwiek krzywdą ze strony swoich żołnierzy. Za wałami grodu setki kobiet i dzieci, a także rannych wojowników, dygotały z trwogi przed nadejściem wojsk Piastuna, ona jedna nie czuła strachu i była pewna, że nie poleje się więcej ani kropla krwi. Tak będzie przez miesiąc, zanim uczyni Piastuna długowiecznym. Potem — jak to mówił sen — on zginie, choć to wydawało się niemożliwe, skoro miał żyć bardzo długo. Ale nawet ona, kapłanka, nie do końca umiała wyjaśnić sens wszystkich snów, które ją dręczyły po nocach. Nigdy nie pojawiły się w jej snach kolczaste żelazne kule na łańcuchach, a przecież to

mojej choroby, która zwie się Żądzą Czynnów, a niczego nie będę pragnęła.

— Jeśli chcesz stać się długowiecznym, nie możesz przez jeden miesiąc przeleć ani jednej kropli krwi mego ludu. Przysięgnij mi, że nie puścisz się w pogon za księciem Sieradzem, twój żołnierz nie będzie grabić grodu, zabijać jego mieszkańców, gwałcić kobiety.

Dago pogardliwie wzruszył ramionami.

— Nie przywykłem składać przysięg. Twój pradziad odszedł do państwa Visulan i tam będzie najemnikiem Karaka. Ten kraj aż do Góry Wenedyjskiej jest moim, a własnego kraju nie pozwolę grabić. Ty też jesteś moją i moje są twoje tajemnice.

To mówiąc ruszył ku niej z wyciągniętymi rękami, a ona, przerażona, cofnęła się aż pod bramę grodu. Na górze w wieży bramnej znajdowało się jeszcze kilku Skrzydlatych. Gdyby teraz któryś z nich zrzucił na dół ciężki kamień, zmiażdżyłby Piastuna. Ale ci żołnierze nie mieli rozkazu walczyć, ale na polecenie Eponji otworzyć gród zdobywcom.

— Przysięgnij, że nie przelejesz ani kropli krwi... — błagalnie powiedziała Eponja.

W tym momencie z drugiego brzegu rzeki doleciał ich głośny okrzyk wydobyci z kilkudziesięciu męskich gardzieli. Potem zaś z głośnym pluskiem rzuciło się w rzekę prawie dwudziestu konnych najmitów grafa Fulki, przepłynęło główny nurt i oto wydobyło się już na płyciznę Wargi grafa Fulki dygotały z żalu i wściekłości. Czyż nie przysięgał sobie i swym żołnierzom, że pierwszy staną u bram Sieradza? Czy, aby osiągnąć ten cel, nie rzucali się w największy wir walki, nie ginęli jeden po drugim, nie tratowali Skrzydlatych, aż wreszcie wysforowali się na czoło armii i oto są już u bram Sieradza. Ale tutaj czeka na nich Piastun i kobieta w białej, a bramy grodu są zamknięte.

Podniósł do góry prawą dłoń Dago Piastun, rozkazując na brzegu rzeki zatrzymać się Fulce i jego żołnierzom. Zaryły się więc w piasek kopyta ich koni o kilka kroków od Piastuna i jego pieszych Lestków. Wargi Fulki jeszcze bardziej dygotały z wściekłości.

— Książę Sieradz odszedł stąd dziś o świcie... pozostawiając nam gród — oświadczył Dago. — Od tej chwili ten kraj należy do mnie i nie może być przelecia ani kropla krwi tego ludu.

Z trudem, bo gardło ścisnęło mu gniew, przemówił Fulko:

— Zmusiłem nas do głodowania. Nie dawaliśmy przyrzeczonego żołądka, bo mówili, że powinniśmy walczyć ze Skrzydlatymi. A kiedy zwyciężyliśmy i znaleźliśmy się pod bramami grodu, aby nareszcie napelnić nasze brzuchy, grabić i mordować, ty mówisz, że nie wolno przeleć ani kropli krwi.

— Tak mówię — skinął głową Piastun.

— Głupiec, ty największy z kłamców — wrzasnął Fulko, wyciągnął z pochwy miecz i rzucił się na Dagona. To samo uczyniło prawie dwudziestu najmitów z Jumna.

Osiatł się Dago tarczą przed ciosem Fulki, a potem przyklepnął ręką łeb Fulki do kolan. Obciągnął suknię na swych ogromnych piersiach, sprawdziła czy biały czepiec starannie okrywa jej jasne włosy, przemyrzyła powieki, ponieważ nadchodził od wschodu i wschodzące słońce raziło ją w oczy. Tak, prawdę mówiono, że Piastun jest pięknym mężczyzną. Ale nie był wyższy ani rośniejszy od wielu innych, czyżby więc opowiadano kłamstwa, że począł go olbrzym z plemienia Spalów?

— Czego chcesz? — zapytała, gdy byli od niej już tylko o kilkanaście kroków i Piastun wyszedł z wody na syki suchy piasek nad brzegiem rzeki.

— Każ otworzyć bramę grodu, Eponjo — powiedział Piastun, po szacie wyszywanej złotymi nićmi i po ogromnej tuszy tej kobiety poznając kapłankę. — Jam jest Dago Pan i Piastun, który zwyciężył Ludzi Skrzydlatych.

— Prosiłeś mnie o długowieczność... — zaczęła, ale jej przerwał.

— To było kiedyś. Teraz pragnę wszystkiego. Całego kraju i długowieczności.

— Nie można mieć wszystkiego naraz.

— Dlaczego? Wylecz mnie z

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Glane

Piastuna i zatrzymać ich marsz.

— Sprawdziły się twoje sny, Eponjo — powiedział książę Sieradz do swej prawnuczki kapłanki, przez otwarte okno dworu w Sieradzu patrząc w północną stronę, gdzie widziało się chmurę czarnego dymu. — Widziałeś we śnie czterech jeźdźców, którzy obcinali nam skrzydła. I tak się stało. Nie było jednak w twoich snach niczego o kolczastych kulach.

— Sny nie mówią wszystkiego i bywają niejasne — odparła Eponja.

— Co mam czynić? — z rozpaczą w głosie zapytał stary książę. — Czy tej nocy nie miałas snu, który daje nadzieję?

— Jeśli chcesz się ocalić, weź tej nocy resztki naszej armii oraz tyle wozów, ile zdołasz. Wsadź na nie trochę kobiet i dzieci, zabierz nasze skarby. Nad ranem odejdziesz do kraju Visulan, gdzie książę Karak jest ci życzliwy i da ci schronienie.

— Czy wrócę tutaj?

— Tak. Kiedy Visulanie uderzą na Polan. Wczoraj kazałam poderżnąć gardło wziętemu od niewoli tarczownikowi Piastuna. Jego krew popłynęła w kierunku północnym, to znaczy, że nie tylko na południu u Karaka, ale i na północy szukać trzeba ratunku.

— Na północy jest Piastun.

— Czy zapomniałaś, że jesteśmy spokrewnieni z Dzikimi Kobiętami? Na Mazowii panuje Zylfika. Opowiada się o niej, że nienawidzi Piastuna, chociaż teraz mu służy.

— A może jednak pozostać tutaj i bronić się w oblężonej Sieradzu? — zastanawiał się stary książę. — Mój posłaniec dotarł zapewne do księcia Karaka i on wkrótce pośpieszy nam z pomocą.

To były tylko słowa. Sieradz był grodem dużym i ludnym, ongiś zbudowano go na wyspie w samym środku głównego nurtu rzeki Warty. Po latach kapryśna rzeka nagle odstąpiła od grodu i niezbitym murem ufortyfikowane wały otaczała teraz tylko łatwa do przebycia płycizna, pełna wysp, lach piaszczystych i mielizn.

i spełnić to, o co nas prosił Piastun. Dam mu długowieczność. Jak wiesz, panie, ten, co ubiega się o długowieczność przez miesiąc nie może przeleć kropli naszej krwi. Nie będzie więc Piastun gonil ciebie i twoich wozów, nie pozwoli swej armii mordować naszego ludu. Miałam zresztą dziwny sen. Widziałam jak jeździec w białym płaszczu spada z białego ogiera. Mówiono mi, że białego ogiera dosiada Piastun, a to znaczy, że wkrótce przestanie panować.

— Jak mogę zginąć, jeśli ty dasz mu długowieczność?

— Nie wiem, panie. Sny nie są jasne.

Skinął jej głową książę Sieradz i opuścił dwór, aby wydać rozkaz zebrania niedobitków swej armii i przygotowania wozów do drogi. Na wozy miały być wzięte tylko kobiety i dzieci ludzi możnych, spokrewnionych z rodem władcy.

Książę Sieradz należał do długowiecznych. Miał osiemdziesiąt lat, rzadkie siwe włosy i ptaś nos, jak hak zwisający mu nad ustami. Z licznej gromady synów i córek uznał tylko trzech, którzy mieli już po pięćdziesiąt i więcej lat.

Władcy u Skrzydlatych nie dziedziczyli się po ojcu, ale po matce, ale pierwsza żona Sieradza była mimo swych osiemdziesięciu lat. A skoro żyła — nikt nie mógł rzadzić z wyjątkiem jej męża, starego księcia Sieradza. Inaczej jednak bywało z córkami i ich rolą kapłanek, bo do tego by-

wał przeznaczony. Wychodziły za mąż dopiero po trzydziestym roku życia, do tego czasu pilnując i odprawiając religijne obrzędy. Obecnie główną kapłanką była Eponja, prawnuczka księżnej. Miała dwadzieścia pięć lat i do trzydziestki winna była żyć bez męża, z wszystkimi mężczyznami kraju, co oczywiście było tylko pustymi słowami. Tak naprawdę żyła tylko z tymi młodzieńcami, którzy chcieli osiągnąć długowieczność.

Podobnie książę Sieradz był mężem wszystkich kobiet w swym państwie, lecz w istocie miał tylko trzy żony, w tym najstarszą posiadającą władzę, osiemdziesięcioletnią Lugę. Opowiadano i snuto domniemania, że zarówno obyczaj jak i wiara Ludzi Skrzydlatych, ich kult koni i kobiet, władzy upodabniał ich nieco do owych słynnych Dzikich Kobiół, albowiem w pradawnej przeszłości wiele ich tego samego nauczyli tajemniczy Celtowie, którzy zniknęli w mro-

tojejsz ze swych dwóch armii. Lecz przecucie kapłanki szkolonej od dziecka do tajemnych obrzędów, narzucało inne przekonanie. Piastun musiał być blisko, niemal o wyciągnięcie ręki. Piastun pierwszy zjawił się przed bramami Sieradza, aby spotkać Eponję i uchronić ją przed jakąkolwiek krzywdą ze strony swoich żołnierzy. Za wałami grodu setki kobiet i dzieci, a także rannych wojowników, dygotały z trwogi przed nadejściem wojsk Piastuna, ona jedna nie czuła strachu i była pewna, że nie poleje się więcej ani kropla krwi. Tak będzie przez miesiąc, zanim uczyni Piastuna długowiecznym. Potem — jak to mówił sen — on zginie, choć to wydawało się niemożliwe, skoro miał żyć bardzo długo. Ale nawet ona, kapłanka, nie do końca umiała wyjaśnić sens wszystkich snów, które ją dręczyły po nocach. Nigdy nie pojawiły się w jej snach kolczaste żelazne kule na łańcuchach, a przecież to

mojej choroby, która zwie się Żądzą Czynnów, a niczego nie będę pragnęła.

— Jeśli chcesz stać się długowiecznym, nie możesz przez jeden miesiąc przeleć ani jednej kropli krwi mego ludu. Przysięgnij mi, że nie puścisz się w pogon za księciem Sieradzem, twój żołnierz nie będzie grabić grodu, zabijać jego mieszkańców, gwałcić kobiety.

Dago pogardliwie wzruszył ramionami.

— Nie przywykłem składać przysięg. Twój pradziad odszedł do państwa Visulan i tam będzie najemnikiem Karaka. Ten kraj aż do Góry Wenedyjskiej jest moim, a własnego kraju nie pozwolę grabić. Ty też jesteś moją i moje są twoje tajemnice.

To mówiąc ruszył ku niej z wyciągniętymi rękami, a ona, przerażona, cofnęła się aż pod bramę grodu. Na górze w wieży bramnej znajdowało się jeszcze kilku Skrzydlatych. Gdyby teraz któryś z nich zrzucił na dół ciężki kamień, zmiażdżyłby Piastuna. Ale ci żołnierze nie mieli rozkazu walczyć, ale na polecenie Eponji otworzyć gród zdobywcom.

— Przysięgnij, że nie przelejesz ani kropli krwi... — błagalnie powiedziała Eponja.

W tym momencie z drugiego brzegu rzeki doleciał ich głośny okrzyk wydobyci z kilkudziesięciu męskich gardzieli. Potem zaś z głośnym pluskiem rzuciło się w rzekę prawie dwudziestu konnych najmitów grafa Fulki, przepłynęło główny nurt i oto wydobyło się już na płyciznę Wargi grafa Fulki dygotały z żalu i wściekłości.

Czyż nie przysięgał sobie i swym żołnierzom, że pierwszy staną u bram Sieradza? Czy, aby osiągnąć ten cel, nie rzucali się w największy wir walki, nie ginęli jeden po drugim, nie tratowali Skrzydlatych, aż wreszcie wysforowali się na czoło armii i oto są już u bram Sieradza. Ale tutaj czeka na nich Piastun i kobieta w białej, a bramy grodu są zamknięte.

Podniósł do góry prawą dłoń Dago Piastun, rozkazując na brzegu rzeki zatrzymać się Fulce i jego żołnierzom. Zaryły się więc w piasek kopyta ich koni o kilka kroków od Piastuna i jego pieszych Lestków. Wargi Fulki jeszcze bardziej dygotały z wściekłości.

— Książę Sieradz odszedł stąd dziś o świcie... pozostawiając nam gród — oświadczył Dago. — Od tej chwili ten kraj należy do mnie i nie może być przelecia ani kropla krwi tego ludu.

Z trudem, bo gardło ścisnęło mu gniew, przemówił Fulko:

— Zmusiłem nas do głodowania. Nie dawaliśmy przyrzeczonego żołądka, bo mówili, że powinniśmy walczyć ze Skrzydlatymi. A kiedy zwyciężyliśmy i znaleźliśmy się pod bramami grodu, aby nareszcie napelnić nasze brzuchy, grabić i mordować, ty mówisz, że nie wolno przeleć ani kropli krwi.

— Tak mówię — skinął głową Piastun.

— Głupiec, ty największy z kłamców — wrzasnął Fulko, wyciągnął z pochwy miecz i rzucił się na Dagona. To samo uczyniło prawie dwudziestu najmitów z Jumna.

Osiatł się Dago tarczą przed ciosem Fulki, a potem przyklepnął ręką łeb Fulki do kolan. Obciągnął suknię na swych ogromnych piersiach, sprawdziła czy biały czepiec starannie okrywa jej jasne włosy, przemyrzyła powieki, ponieważ nadchodził od wschodu i wschodzące słońce raziło ją w oczy. Tak, prawdę mówiono, że Piastun jest pięknym mężczyzną. Ale nie był wyższy ani rośniejszy od wielu innych, czyżby więc opowiadano kłamstwa, że począł go olbrzym z plemienia Spalów?

— Czego chcesz? — zapytała, gdy byli od niej już tylko o kilkanaście kroków i Piastun wyszedł z wody na syki suchy piasek nad brzegiem rzeki.

— Każ otworzyć bramę grodu, Eponjo — powiedział Piastun, po szacie wyszywanej złotymi nićmi i po ogromnej tuszy tej kobiety poznając kapłankę. — Jam jest Dago Pan i Piastun, który zwyciężył Ludzi Skrzydlatych.

— Prosiłeś mnie o długowieczność... — zaczęła, ale jej przerwał.

— To było kiedyś. Teraz pragnę wszystkiego. Całego kraju i długowieczności.

— Nie można mieć wszystkiego naraz.

— Dlaczego? Wylecz mnie z

(26)